



DIANA  
PALMER

*Odzyskane  
uczucia*

**Diana Palmer**

# **Odzyskane uczucia**

Tłumaczenie:  
Ewelina Grychtoł

Drodzy Czytelnicy!

Czasami książki powstają pod wpływem niezwykłego impulsu. Ta, którą teraz trzymasz w ręku, jest jedną z nich. Od jakiegoś czasu nie dawała mi spokoju scena rozgrywająca się na tle zimowego krajobrazu. Śnieg, mężczyzna i zagubiona, zapłakana dziewczynka w pokrwawionej kurtce.

Ta scena zainspirowała mnie do napisania całej książki. Tym razem skupiłam się na pogłębionej charakterystyce postaci. Losy dwojga głównych bohaterów pochłonęły mnie do tego stopnia, że od pewnego momentu zaczęłam im współczuć. Ich historię pisałam z pasją i przyjemnością, chociaż chwilami stanowiło to dla mnie prawdziwe wyzwanie.

Powieść dedykuję Betty, mojej zmarłej niedawno kuzynce, która, podobnie jak jej córka Amanda, była zapaloną czytelniczką moich książek. Pamiętam dobrze nasze pierwsze spotkanie. Przyjechała do nas pewnego poranka z ojcem, nieżyjącym już Bobbym. Przedtem pływali w rzece i długie ciemne włosy Betty były całkowicie mokre. Na zawsze zachowam w pamięci właśnie taki obraz Betty – jako pięknej młodej dziewczyny. Dla mnie nigdy się nie zestarzała. Była miłą, uroczą i wyrozumiałą kobietą, kochaną przez całą rodzinę. Będzie nam jej bardzo brakowało.

Diana Palmer

*Pamięci Betty Patton Hansen (1956-2017), ukochanej kuzynki. Zostawiła córkę Amandę i syna Johnny'ego, a także siostrę Gail Davis oraz sześcioro wnucząt. Była miłą i życzliwą osobą, wszyscy ją kochaliśmy. Będzie nam jej brakowało.*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Colie Thompson wpadła w lekką panikę. Jej brat Rodney zaprosił na obiad swojego przyjaciela J.C. Calhouna. J.C. miał trzydzieści dwa lata i niedługo kończył służbę w wojsku. Poznali się przed czterema laty na misji w Iraku, a gdy się okazało, że pochodzą z tego samego miasta, zbliżyli się do siebie.

J.C. szybko zaskarbił sobie szacunek i podziw Rodneya. W odróżnieniu od młodszego kolegi służył w wojsku niemal całe dorosłe życie. Pierwsze dwa lata zawodowej kariery przepracował w policji, a od dwunastu lat był żołnierzem.

Rod wrócił do domu przed oficjalnym zakończeniem misji. Nikomu nie powiedział, dlaczego dowódcy wcześniej zwolnili go ze służby. J.C. dołączył do niego kilka miesięcy później; na początku często odwiedzał dom Thompsonów, ale odkąd Rodney znalazł nową pracę, widywali się coraz rzadziej. Pewnego razu przyszedł na urodziny Colie i podarował jej kota. Była zaskoczona takim prezentem, a zarazem uradowana. Nazwała wielkiego syjamskiego kocura Tomem i pozwoliła, żeby spał w jej łóżku.

Choć J.C. rzadko ich odwiedzał, Colie widywała go w Catelow. Było to małe i bardzo żyte miasteczko, nieopodal którego mieszkali. Colie, która naprawdę nazywała się Colleen, pracowała jako recepcjonistka i sekretarka w miejscowej kancelarii prawniczej.

Choć był przystojny i nieżonaty, J.C. zwykle unikał kobiecego towarzystwa, co prowokowało plotkarzy do

działania, jednak za każdym razem, kiedy widział Colie, zatrzymywał się, żeby z nią porozmawiać. Był uprzejmy i sympatyczny, niekiedy nawet pozwalał sobie na delikatny flirt. Raz, kiedy był u nich w domu, a Colie musiała wyjąć listy ze skrzynki, pomógł jej założyć kurtkę. Niespodziewanie jego dotyk okazał się przyjemny i ekscytujący. Od tej pory Colie tym bardziej go pragnęła, im częściej się spotykali.

Rodney kilkakrotnie zapraszał J.C. na obiad, ale dopiero teraz zgodził się przyjść. Było to niedługo po ich ostatnim spotkaniu. Colie właśnie szła do pracy, kiedy rozpętała się śnieżycą. J.C., który akurat przejeżdżał, zaproponował, że ją podwiezie. Siedząc z nim w dobrze ogrzanym i przytulnym wielkim czarnym SUV-ie, Colie marzyła, by droga trwała jak najdłużej. Rozmawiali o nadchodzących wyborach prezydenckich, o sytuacji w kraju i o tym, jak pięknie Catelow wygląda zimą. J.C. zauważył, że w taką pogodę Colie powinna nosić kozaki zamiast szpilek. W odpowiedzi zwróciła uwagę, że kozaki nie wyglądałyby zbyt ładnie z jej elegancką garsonką. Wówczas rzucił jej znaczące spojrzenie i oznajmił, że wyglądałyby ładnie we wszystkim. Zakłopotana i rozpromieniona jednocześnie, z niechęcią wysiadła z samochodu i weszła do biura.

J.C. mieszkał na ranczu niedaleko Catelow, ale od czasu do czasu wyjeżdżał, by prowadzić w Iraku szkolenia dla policjantów. Za kilka miesięcy miał tam wrócić, by przeszkolić nową grupę. Na co dzień pracował jako szef ochrony dla Rena Coltera, miejscowego hodowcy bydła.

Wydawanie rozkazów było tym, na czym J.C. znał się najlepiej. Był przystojnym, władcym mężczyzną; miał krótkie, czarne włosy i szare oczy, tak jasne, że w słońcu wydawały się srebrne. Szczupły i umięśniony, wyglądał jak

ktoś, kto spędził całe życie na ciężkiej fizycznej pracy. Colie uwielbiała na niego patrzeć, zwłaszcza że nigdy nie poznała mężczyzny, który by go przypominał. Nic dziwnego, bo nieczęsto można spotkać dziecko rdzennego kanadyjskiego Indianina i rudowłosej Irlandki. Colie dowiedziała się o jego pochodzeniu od Rodneya, ponieważ sam J.C. nigdy rozmawiał na ten temat.

Colie bardzo chciała założyć rodzinę. Dwa lata temu jej matka zmarła na raka kości. Choć miała bolesną świadomość, że choruje na nieuleczalną chorobę, do samego końca zachowała optymizm i pogodę ducha. Ojciec Colie był pastorem; kochali go wszyscy w miasteczku, nie tylko jego parafianie. Kochali też matkę Colie. Ta drobna kobieta, która nazywała się Beth Louise, ale wszyscy mówili na nią Ludie, zawsze była pierwsza do pomocy. Opiekowała się chorymi, dziećmi, a nawet psami i kotami z lokalnego schroniska, które czekały na adopcję.

Razem z nią wszystko to minęło. Ich dom stał się cichy i pusty. Jared Thompson, ojciec Colie, po śmierci żony pogrążył się w bezdennej rozpacz. Tylko wiara pozwoliła mu przetrwać. Jakiś czas po pogrzebie powiedział Colie, że nie należy opłakiwać kogoś, kto żył pełnią życia, a po śmierci odszedł do lepszego świata. Dla ludzi wiary śmierć nie oznacza końca. Trzeba pogodzić się z tym, że Bóg niekiedy odbiera tych, których kochamy, z powodów, które nie zawsze są dla nas do odgadnięcia.

Colie i Rodney równie ciężko przeżyli śmierć matki. Rodney spędził na służbie prawie cztery lata, w trakcie których tylko kilka razy pojawił się w domu. Zanim wyjechał, był miłym, posłusznym chłopcem. Wrócił odmieniony. Wpadł w obsesję na punkcie drogich samochodów i markowych ubrań, choć ze

swoim skromnym budżetem nie mógł sobie pozwolić ani na jedno, ani na drugie. Nic go nie zadowalało, wciąż chciał więcej i więcej.

Jednak najbardziej martwiło ją to, że brat przez większość czasu wydawał się trochę nieprzytomny. Miał przekrwione oczy, czasami się zataczał. Obawiała się, że podczas służby został ranny i zataił to przed nimi. Wiedziała, że przyczyną nie jest alkohol, bo Rodney nigdy nie brał go do ust. Cała ta sprawa wydawała się coraz bardziej podejrzana.

Jeszcze w Iraku, kiedy Rodney dostawał przepustkę, lubił wychodzić z J.C. na miasto. W jednym z listów do siostry napomknął, że J.C. nie tyka mocnych alkoholi. Wypijał najwyżej jedno piwo, podobnie jak Rodney. Ale brat, który z nią żartował, przynosił jej kwiaty i oglądał z nią telewizję, zniknął. Mężczyzna, który wrócił z wojska, był kimś innym. Stał się człowiekiem, w którym czaił się mrok, i który pragnął tylko rzeczy, materialnych rzeczy.

Często krytykował dom, w którym mieszkał z siostrą i ojcem. Twierdził, że meble i sprzęty są przestarzałe, a budynek błaga o remont, choć zdaniem Colie niczego tu nie brakowało. Kanapa była przykryta nową, wiśniową narzutą, tak jak i fotel ojca. Na czystych drewnianych parkietach leżały porządnie wytrzepane dywany. Salon ozdabiał marmurowy stolik, który ojciec kiedyś wypatrzył w sklepie z antykami, a w kominku wesoło palił się ogień.

Colie też nie wyglądała najgorzej. Miała falujące czekoladowe włosy do ramion i duże zielone oczy. Miękkie rysy twarzy może nie były piękne, ale z pewnością przyjemne dla oka, a krągłe biodra i długie nogi dobrze wyglądały w ulubionych błękitnych dżinsach. Do pracy ubierała sukienki lub garsonki, w domu najlepiej czuła się jednak



w spodniach i swetrach. Ten, który włożyła tego dnia, miał ładny odcień butelkowej zieleni i dekolt w serek, który podkreślał małe jędrne piersi, nie przekraczając przy tym granic dobrego smaku. Nigdy nie ubierała się wyzywająco; ostatecznie jej ojciec był pastorem. Nie robiła niczego, co mogłoby go zawstydzić przed parafianami, nawet nie przeklinała.

Rodney przeklinał. Ostatnio ciągle musiała go za to upominać.

Właśnie kiedy o tym myślała, Rodney stanął w drzwiach, wpuszczając do środka lodowaty wiatr i tuman śniegu. Otrzepał buty na ławce przed wejściem i zamknął drzwi za sobą.

- Kuźwa, jaki ziąb! – wysapał, ściągając rękawiczki.

- Czy nie mógłbyś się trochę pohamować? Tata jest pastorem!

Rodney miał takie same zielone oczy jak Colie, ale jego włosy były proste i jaśniejsze. Był wysoki, przystojny, a z jego twarzy nie schodził łobuzerski uśmiech. Będąc w liceum, wiecznie pakował się w jakieś kłopoty. W wojsku najwyraźniej zachowywał się nieco lepiej, skoro został wcześniej zwolniony ze służby.

- Tata też przeklina – odgryzł się. – Nie słyszałaś?

- Tak, Rodney. Mówi „do diaska”. Ty, kiedy stracisz nad sobą panowanie, używasz trochę innych słów. – Co ostatnio zdarzało się często.

Wzruszył ramionami.

- Wiem, że mam z tym problem. Pracuję nad nim. Musisz pamiętać, że spędziłem kilka lat wśród żołnierzy.

- Staram się brać to pod uwagę – odparła Colie. – Ale czy nie mógłbyś się choć trochę pohamować? Dla taty?

Przewrócił oczami.

- Wiesz, ciężko sprostać twoim wymaganiom. – Westchnął ciężko. – Nigdy nie zrobiłaś nic złego. Nie dostałaś mandatu za złe parkowanie, przekroczenie prędkości, nawet nie przeszłaś na czerwonym świetle. Cóż za wzór do naśladowania!

- Staram się zachowywać tak, jak nauczyła mnie mama. – Wspomnienie o matce sprawiło, że Colie posmutniała. – Nie tęsknisz za nią?

- Oczywiście, że tęsknię. Była najwspanialszą kobietą, jaką znałem. No, oprócz ciebie. – Rodney uśmiechnął się i uścisnął ją mocno. Przez kilka sekund znów był jej ukochanym starszym bratem. – Jesteś najlepsza, siostrzyczko.

- Ja też cię kocham... – Zmarszczyła nos. – Co to za zapach, Rodney?

Puścił ją i odwrócił wzrok.

- To tylko papierosy. Takie specjalne, importowane. Mam znajomego, który mi je dostarcza.

- Nie J.C. On nie pali – zauważyła Colie.

- Masz rację, to nie on. Dostaję je od jednego faceta z Jackson Hole. Trochę się kumplujemy.

- Och. – Colie się uśmiechnęła. – Myślałam, że to marihuana.

Rodney uniósł brwi.

- Nie wiesz, że gdybym palił marychę w tym domu, tata zadzwoniłby po szeryfa Banksa i raz dwa zamknęliby mnie

w areszcie?

- Masz rację. - Nie dodała, że wielu młodych ludzi paliło w ukryciu przed rodzicami. Jedna z jej koleżanek w liceum otwarcie się tym chwaliła.

Sama Colie nigdy nie próbowała żadnych narkotyków, zwłaszcza takich, które trzeba palić. Miała słabe płuca. Nie paliła, koniec kropka.

- Wspominałeś, że J.C. przyjdzie na kolację, prawda? - zapytała po chwili, skrywając ekscytację.

- Owszem - odparł Rodney, zaciskając z dezaprobatą usta. W jego siostrze można było czytać jak w otwartej księdze. - Będzie tu za kilka minut. Musiał coś załatwić dla Rena.

- Okej, mam jeszcze trochę indyka ze Święta Dziękczynienia, purée ziemniaczane i sałatę. Na deser mogę podać szarlotkę. Mam nadzieję, że J.C. lubi indyka? - zapytała z niepokojem.

- Nie jest zbyt wybredny, jeśli chodzi o jedzenie. - Rodney wyszczerzył zęby. - Powiedział mi kiedyś, że wąż nie jest taki zły, jeśli ma się czym go posolić...

- Fuj! - wyrwało się Colie.

- Był kiedyś w jednostce specjalnej - kontynuował Rodney.  
- Ci goście mogą zjeść wszystko. Robaki, węże, co tylko uda im się znaleźć. Jeden facet z jego oddziału ugotował starego kota, bo nie było nic innego.

- To okrutne! - Colie się wzdrygnęła.

- To był bardzo stary kot - odparł Rodney. - A oni umierali z głodu. - Zawahał się. - Podobno smakował okropnie i wszyscy się pochorowali.

- I bardzo dobrze!

Rodney roześmiał się i znowu ją przytulił.

- Ależ ty jesteś wrażliwa. Całkiem jak mama. Kochała wszystkie zwierzęta. - Rozejrzał się dookoła. - Gdzie jest Tom?

- Na zewnątrz, gania króliki - odparła Colie. Jej wielki syjamski kocur uwielbiał polować. Tylko na noc wracał do domu, kryjąc się przed większymi drapieżnikami - lisami, wilkami i niedźwiedziami. Dom Thompsonów stał na uboczu, w sosnowym lesie niedaleko Catelow. Ich jedynym sąsiadem był Ren Colter.

- Zabawne - powiedział nagle Rodney.

- Co jest zabawne?

- To, że J.C. dał ci kota.

Ten niezwykley prezent naprawdę wzruszył Colie. J.C. znalazł kocura, który błąkał się po lesie niedaleko jego domu. Zabrał go do weterynarza, który go zbadał, wykąpał i zaszczepił, a następnie przywiózł go Colie. Okazało się, że Tom wcześniej mieszkał już w domu, korzystał z kuwety i drapak, nie rozrabiał i nie niszczył mebli. Często dotrzymywał Colie towarzystwa.

- To bardzo miły kot - oznajmiła.

Rodney parsknął śmiechem.

- J.C. lubi zwierzęta, ale nie tak bardzo jak ty. Dobrze radzi sobie z bydłem. Nawet wilk Willisa pozwala mu się głaskać. To spory wyczyn, uwierz mi. Ta pieprzona bestia prawie odgryzła mi rękę...

- Rodney!

- Kuźwa...

- Rodney!

- Postaw w kuchni słoik. – Westchnął z rezygnacją. – Za każdym razem, kiedy się zapomnę, wrzucę do niego piąta.

- Jeśli to zrobię, za miesiąc uzbieramy na wakacje w Dubaju – parsknęła Colie.

- No wiesz!

- Znajdę duży słoik, a ty będziesz wrzucał ćwierćdolarówki. Za każdym razem.

Rodney się uśmiechnął.

- Dobrze, Joanno d’Arc.

Colie odwzajemniła uśmiech, po czym poszła do kuchni, żeby wyjąć szarlotkę z piekarnika.

J.C. wyglądał niesamowicie seksownie w kożuchu, dżinsach, wysokich skórzanych butach i z włosami przyprószonymi śniegiem.

- Nigdy nie nosisz czapki – zwróciła uwagę Colie, lekko drżącymi rękami biorąc od niego kożuch.

- Nie cierpię czapek – oświadczył J.C.

Kiedy Colie odwróciła się, żeby powiesić kożuch, pozwolił sobie rzucić okiem na jej szczupłe, krągłe ciało. Zgadywał, że ma dwadzieścia kilka lat. Rodney wspominał, że niedawno skończyła szkołę, ale musiało mu chodzić o studia. Wiedział o niej niewiele, tylko tyle, ile powiedział mu Rodney.

- Zauważyłam – odparła, odwracając się z uśmiechem.

Mimowolnie spojrzał na jej małe, jędrne piersi. Ich widok natychmiast obudził w nim pożądanie. Miewał już kobiety, ale

ta z jakiegoś powodu wydawała mu się szczególnie pociągająca. Zmarszczył brwi, przez chwilę zastanawiając się nad tym fenomenem.

- To nie była krytyka – dodała szybko.

J.C. wzruszył ramionami.

- Nic się nie stało. Co będzie na obiad?

- Indyk w sosie żurawinowym, purée ziemniaczane, zielona sałata i szarlotka na deser. – Colie się zawahała. – Lubisz?

Uśmiechnął się szeroko.

- To wszystko brzmi pysznie. Uwielbiam indyka. Lubię też kurczaki, choć zwykle jem je z kubeczka...

- Masz na myśli wiaderko? Takie jak to, do którego doi się krowy?

- Nie. Mam na myśli KFC. Wiesz, skrzydełka, burgery...

Colie się zaczerwieniła.

- Och, wybaczone. Zwykle nie odwiedzam takich miejsc. Eee... chodźmy do jadalni! Tata już na nas czeka.

Rodney ruszył w stronę jadalni, ale kiedy Colie spróbowała pójść jego śladem, J.C. wsunął długi palec za kołnierz jej swetra i zatrzymał ją w miejscu. Zbliżył się na tyle, że poczuła za sobą ciepło jego potężnego ciała. Serce zatrzepotało jej w piersi; mało brakowało, aby ugięły się pod nią kolana.

- Sprawdziałem cię – szepnął jej do ucha.

Colie gwałtownie wciągnęła powietrze, a J.C. chwycił ją mocno za ramiona i przytrzymał w miejscu.

- Lubisz chodzić do kina? – szepnął, muskając wargami jej

szyję.

- Tak...

- W sobotę jest premiera nowej komedii. Pójdź ze mną. Po drodze wstąpimy do smażalni ryb.

Colie obróciła się gwałtownie.

- Chcesz... chcesz pójść ze mną na randkę? – zapytała z błyszczącymi oczami.

- Tak, właśnie tego chcę – odparł z uśmiechem.

- W sobotę?

- Tak.

- O której godzinie?

- Przyjadę po ciebie o piątej.

- Byłoby cudownie – szepnęła rozpromieniona Colie.

- Doskonale – wymruczał, patrząc na jej usta.

- Colie, obiad! – zawołał ojciec z jadalni.

- Obiad – powtórzyła w otępieniu. – Och, obiad! Tak! Już podaję!

J.C. poszedł za nią, skrywając uśmiech satysfakcji. Uprzejmie odsunął jej krzesło, po czym usiadł obok.

- Cieszymy się, że przyszedłeś, J.C. – powiedział pastor. – Colie, czy możesz zmówić modlitwę?

J.C. w osłupieniu patrzył, jak wszyscy pochylają głowy. Nie miał za wiele do czynienia z religią, ale zrobił to samo. Jak to mówią, kiedy wejdiesz między wrony...

To był przyjemny wieczór. Wielebny Thompson wspomniał o najnowszych odkryciach archeologicznych w Izraelu,

a w odpowiedzi J.C., ku radości i zaskoczeniu pastora, nawiązał do jego pasji:

- Moja matka pochodziła z Irlandii. Była katoliczką – dodał cicho. – Często prosiła miejscowego księdza, żeby pożyczał jej książki o archeologii.

- Nie mogła ściągnąć ich z internetu? – zdziwił się Rodney.

J.C. parsknął śmiechem.

- Mieszkaliśmy w Jukonie, Rod. Nie mieliśmy internetu ani nawet telewizji.

- Nie mieliście telewizji?! – Rodney wyglądał na wstrząśniętego. – To co robiłeś całymi dniami?

- Polowałem, łowiłem ryby, pomagałem rąbać drewno. Uczyłem się obcych języków od moich sąsiadów. Czytałem książki. Do dziś nie mam telewizora.

- Słyszałeś to? – wtrącił wielebny Thompson, wskazując na J.C. – Tak należy spędzać wolny czas, a nie oglądać, jak ludzie zdejmują ubrania i używają brzydkich wyrazów!

- To jego ulubiony temat – powiedział z zadowoleniem Rodney. – Pozwala mi oglądać telewizję tylko dlatego, że za nią płacę.

- Świat jest pogrążony w chaosie i demoralizacji – oświadczył pastor.

- No już, już, tato. Przecież są też dobrzy ludzie, tacy jak ty.  
- Colie uśmiechnęła się łagodnie.

Pastor odwzajemnił jej uśmiech.

- Ty jesteś najlepszym, co mi się w życiu przytrafiło. Jesteś taka jak twoja matka. Była dobrą kobietą, nigdy nie podążała za tłumem.



- Nie lubię tłumów – powiedziała Colie.

- Ja też – dodał Rodney.

- Ja nie lubię ludzi – oświadczył J.C., patrząc w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. – Nawet najlepsi odwrócą się od ciebie, jeśli tylko dać im szansę.

- Synu, to bardzo skrajne podejście – powiedział ostrożnie pastor.

J.C. dokończył indyka i napił się czarnej kawy.

- Przepraszam. Jesteśmy tacy, jakimi uczyniło nas życie. – Spojrzał na pastora pustym wzrokiem. – Zostałem zdradzony przez tych, których kochałem najbardziej. Dlatego nie ufam ludziom.

- Musisz zrozumieć, że każdy ma jakiś cel na tym świecie – powiedział filozoficznie Jared. – To, że nasze ścieżki krzyżują się z tymi, a nie innymi ludźmi, nie dzieje się przypadkiem. Niektórzy wyzwalają w nas dobro, a inni zło. Nasze życie jest sprawdzianem.

- Jeśli naprawdę nim jest, to ja go oblałem. – Rodney westchnął. – Colie postawiła w kuchni słoik. Za każdym razem, kiedy przeklnę, muszę włożyć do niego ćwierćdolarówkę. Niedługo zbankrutuję! – jęknął.

Wielebny Thompson roześmiał się w głos.

- Dobrze pomyślane, młoda damo!

- Ukłoniłabym się, ale przecież nie chcecie, żebym upuściła szarlotkę – zażartowała Colie, nakładając ciasto na talerzyki.

Ukradkiem patrzyła, jak J.C. ze smakiem pochłania swój kawałek. Podniósł głowę, zobaczył, że mu się przygląda i uśmiechnął się do niej. Colie zarumieniła się i utkwiała wzrok

w talerzu.

Wielebny oglądał ich z rozbawieniem i niepokojem jednocześnie. Wiedział, że J.C. stroni od życia rodzinnego, ponieważ wielokrotnie dał temu wyraz, natomiast Colie marzyła o mężu i dzieciach. To niedopasowanie mogło skończyć się tragedią dla jego córki. Żałował, że nie może jej zapobiec.

Mieli krewnych w Comanche Wells w Teksasie. Mógłby wysłać do nich Colie, odseparować ją od J.C.

Po chwili zastanowienia odrzucił ten pomysł. Colie kochała Catelow, tu żyła i pracowała. Poza tym, sądząc po tym, jak zachowywała się w obecności J.C., i tak było już za późno.

Colie nigdy nie spotykała się z mężczyznami, nie licząc jednej podwójnej randki z koleżanką w liceum. Właściwie nie spotykała się prawie z nikim. Pracowała, gotowała, sprzątała i czytała książki. Nawet pastor zdawał sobie sprawę, że to nie jest odpowiedni tryb życia dla młodej kobiety, która powinna poznać trochę świata.

Szkoda tylko, że miała poznać tę jego część, której nie pochwalał. Spojrzał na J.C., zauważył, jak patrzy na Colie i coś ścisnęło go w gardle. Odwrócił wzrok. Nie wiedział, co robić. Wiedział tylko, że to, co wydarzy się między nimi, nie będzie miało szczęśliwego zakończenia.

Colie odprowadziła J.C. na werandę. W ogrodzie było bardzo biało i bardzo cicho. Padał gęsty śnieg, a nad ich głowami paliła się latarnia.

- Podobno ma napadać piętnaście centymetrów śniegu - z westchnieniem oznajmiła Colie.

- Nie martw się - odparł z uśmiechem. - Poradzę sobie,

nawet gdyby miało napadać pięćdziesiąt. Jeśli kino będzie otwarte, to pójdziemy na film. Jeśli nie, możesz pojechać ze mną do domu i nauczę cię grać w szachy.

Spojrzała na niego z oszołomieniem. Naprawdę chciał z nią być. Nie żartował. Patrzyła w jego szare oczy i niczego nie pragnęła bardziej, niż znaleźć się w jego ramionach.

Jej zachowanie rozbawiło J.C. Była naprawdę niezłą aktorką. Z niezwykłą naturalnością udawała niewinną dziewczynę, która przeżywa swój pierwszy romans. Oczywiście nie uwierzył jej. Zbyt wiele doświadczonych kobiet grało przed nim niewiniątka tylko po to, by w łóżku zmienić się w doświadczone kochanki. Nie ufał kobietom. I miał dobry powód, by tak je traktować.

Ale mógł dołączyć do jej gry. Czemu nie? Znał kilka sztuczek, które mogły ją zaskoczyć. Zbliżył się i położył dłoń na jej talii.

- Zmarzniesz – wymruczał, pochylając głowę. Dzieliły ich od siebie milimetry.

- Nie jest mi zimno – szepnęła Colie. Wpatrywała się w jego usta, nie potrafiąc ukryć pożądania.

- Doprawdy? – Jego głos był niski, aksamitny. J.C. powiódł dłonią po jej talii i wyżej, zatrzymując się tuż pod biustem.

Colie rozchyliła usta. Całe jej ciało było wrażliwe, wyczułone na najłżejszy dotyk. Nie wiedziała dostatecznie dużo o tych sprawach, żeby zrozumieć, co J.C. jej robi. To była gra, zabawa w kotka i myszkę, obliczona na to, by zapragnęła więcej.

- Muszę już iść – szepnął.

Był tak blisko, że czuła na twarzy jego oddech.

- Na pewno? – Mimowolnie wspięła się na palce, niemal błagając o dotyk jego ust.

- Na pewno. – Nagle zrobił krok do tyłu, a Colie owionął nieprzyjemny chłód. – Nie stój na zimnie, przeziębisz się.

- D...dobrze.

Ku jego zadowoleniu Colie wyglądała na rozczarowaną. Uśmiechnął się.

- Do zobaczenia w sobotę. Piąta?

- Piąta.

- Dobranoc, Colie.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, J.C. zszedł po schodkach i ruszył w stronę czarnego SUV-a. Wsiadł, włączył silnik i wyjechał na ulicę, ani razu nie oglądając się za siebie.

Colie wróciła do środka. Była zmarznięta i sfrustrowana. Dlaczego jej nie pocałował? Była pewna, że chciał to robić. Gdy patrzył na jej usta, widziała głód w jego oczach. Ale odsunął się od niej. Dlaczego?

Żałowała, że nie ma żadnej bliskiej przyjaciółki, kogoś, z kim mogłaby porozmawiać o mężczyznach i ich zachowaniu. Jej najbliższą koleżanką była Lucy z kancelarii, ale była mężatką i Colie wstydziła się wypytywać ją o takie sprawy. Wiedziałyby, dlaczego pyta, i drążyłaby tak długo, aż Colie powiedziałyby jej całą prawdę.

Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego J.C. jej nie pocałował. Przecież widziała, że tego chce! Strzępy plotek, filmy i programy w telewizji najwyraźniej nie wystarczyły, by zrozumiała, w jaki sposób myślą mężczyźni. Na ten moment jego zachowanie wydawało jej się całkowicie bezsensowne.

Weszła do salonu i zaczęła zbierać ze stołu brudne naczynia.

- J.C. dał radę wyjechać? – zapytał ojciec.

- Tak, chociaż znowu pada śnieg.

- Zauważyłem. – Wciąż siedział przy stole, popijając drugą filiżankę kawy. Wziął głęboki oddech. – Colie, wiem, co czujesz do J.C. – powiedział niespodziewanie. – Ale musisz pamiętać, że on nie chce zakładać rodziny.

Przerwała zbieranie talerzy i podniosła wzrok na ojca. Jej spojrzenie było pełne bólu i bezradności.

- Nigdy jeszcze nie znałaś kogoś takiego jak on – kontynuował cicho. – Większość chłopców, z którymi się spotykałaś, była taka jak ty: niewinna, nieznaną świata. J.C. zjeździł go wzdłuż i wszerz. Żył wśród ludzi, których nie chciałaś spotkać...

- Wiem o tym, tato – powiedziała miękko Colie. – Po prostu... – Przygryzła wargę. – Nigdy nie czułam się tak jak teraz.

- Masz dziewiętnaście lat. To naturalne. Ale powinnaś rozumieć, że niezależnie od tego, jakie zwyczaje panują w wielkim świecie, ludzie wierzący postępują wedle pewnych zasad. Biorą ślub, a potem mają dzieci. Nie uprawiają seksu bez ślubu, nie żyją w związkach pozamałżeńskich.

- Wiem, ojciec.

- Przeżywanie takich emocji jest czymś naturalnym, w końcu wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Ale to, że wielu z nas zachowuje się niemoralnie, niczego nie usprawiedliwia. Colie, jeśli jakiś mężczyzna naprawdę cię pokocha, to będzie chciał wziąć z tobą ślub, mieć z tobą dzieci, chodzić z tobą do

kościół. Jeśli będziesz się zadawać z kimś, który nie ma Boga w sercu, wpadniesz w tę samą pułapkę, w jaką wpada dużo młodych kobiet. Wiele razy byłem świadkiem tego typu sytuacji, nieraz też przychodziły na świat nieślubne dzieci. Nie chcę, żeby moją córkę spotkał taki los.

Colie chciała skwitować, że jest coś takiego jak antykoncepcja, ale ugryzła się w język. Jej ojciec widział pewne sprawy inaczej niż reszta świata. Nie rozumiał, co w dzisiejszych czasach jest naturalne dla młodych kobiet.

Pragnęła J.C. Dlaczego sypianie z kimś, kogo się kocha, miałoby być złe? To było tak naturalne, jak oddychanie. A przynajmniej tak jej się wydawało. Nigdy dotąd nie spała z mężczyzną. Jedyne chłopak, z którym się spotkała, włożył jej ręce pod bluzkę, ale jego niezdarne wysiłki nie zrobiły na niej wrażenia.

Za to J.C. wzbudzał w niej pożądanie. Nie musiał się specjalnie starać, po prostu pragnęła go i była pewna, że on czuje to samo. Nie rozumiała tylko, dlaczego tak nagle się odsunął, dlaczego jej nie pocałował. Niepokoiło ją to.

- Pomyśl o swojej matce – dodał pastor, widząc, że jego argumenty do niej nie trafiają.

- O mamie? – Colie podniosła wzrok. – Co ona ma z tym wspólnego?

- Była najszlachetniejszą osobą, jaką znałem. Czekala do ślubu. Ja też czekałem, Colie – dodał cicho. – Kochałem ją do szaleństwa. Gdyby nie moja praca i powołanie, życie bez niej nie miałoby sensu. Trzymam się, bo wiem, że tego by chciała. – Spojrzał córce w oczy. – Chciałaby, żebyś żyła tak jak ona.

Z jednej strony się z nim zgadzała. Z drugiej rodziło się pytanie, że być może jej matka nie potrzebowała tego tak

bardzo jak ona? Rodzice dorastali w innych czasach, kiedy w małych miasteczkach radykalny konserwatyzm obyczajowy był wszechobecny. Na litość boską, większość dziewczyn w jej wieku miała już chłopaka!

- Jeśli jesteś z kimś naprawdę blisko, masz szansę go poznać – zwróciła uwagę. – Dowiedzieć się, czy pasujecie do siebie na tyle, żeby spędzić razem całe życie.

Jej ojciec westchnął i napił się kawy.

- To twoja decyzja, Colie – powiedział łagodnie. – Jesteś dorosłą kobietą. Nie mogę ci mówić, jak masz żyć. Mówię tylko, że wielu ludzi, którzy zaczynają wspólne życie w nieformalnych związkach, już nigdy nie bierze ślubu. Brakuje im prawdziwego zaangażowania. Do tego trzeba małżeństwa i dzieci, a J.C. nie chce mieć dzieci.

- Może zmienić zdanie.

- Może, ale wątpię, żeby to zrobił. Ile on ma lat, trzydzieści dwa? Jeśli w tym wieku wciąż tak uważa, to raczej przy tym zostanie. Jest jeszcze coś – dodał cicho pastor. – Nie możesz się z kimś wiązać, licząc na to, że zmienisz to, co ci się w nim nie podoba. Ludzie się nie zmieniają.

- Gdyby sam miał dziecko, mógłby zmienić zdanie – podsunęła Colie, a kiedy ojciec zamknął oczy i westchnął ciężko, zawstydzona i zraniona Colie wybuchnęła: – Tato, nie mogę nic poradzić na to, co do niego czuję! Szaleję za nim, rozumiesz?!

- Rozumiem. – Popatrzył na córkę i ujrzał w jej oczach nieugięte postanowienie. Dopił kawę, wstał i cmoknął Colie w policzek. – Pamiętaj, że cokolwiek się stanie, zawsze będziesz mogła się do mnie zwrócić o pomoc. Nie odwrócę się od ciebie. Jestem twoim ojcem i zawsze będę cię kochać.

Colie poczuła, jak do oczu napływają jej łzy. Odłożyła talerze, mocno uściskała ojca, który poklepał ją po plecach i pocałował w czubek głowy, jak to robił za dawnych czasów, kiedy obijała sobie kolano i potrzebowała pocieszenia.

- Wszystko się ułoży - powiedział pastor. Sam nie wiedział, czy mówi do niej, czy do siebie.

- Oczywiście, że tak - odparła Colie, powstrzymując łzy.



## ROZDZIAŁ DRUGI

W sobotę Colie była gotowa do wyjścia już o piętnastej. Bez celu kręciła się po domu, odchodząc od zmysłów ze zdenerwowania. J.C. powiedział, że zabierze ją do smażalni ryb, ale nie wiedziała, czy chce, żeby ubrała się w sukienkę, spodnie czy jeszcze coś innego. Nigdy nie widziała go w garniturze, więc przypuszczała, że jak zawsze założy dzinsy.

Ostatecznie wybrała dzinsy z koronkowymi wstawkami wzdłuż szwów i białą letnią koszulę, której dekolt także był ozdobiony koronką. Ze swoją oliwkową skórą i ciemnymi włosami wyglądała w niej interesująco, a nawet egzotycznie. Miała naturalnie gładką cerę, więc tylko przypudrowała nos i pomalowała usta błyszczkiem.

Jej długie błyszczące włosy były umyte i wyszczotkowane. Uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze. Nie wyglądała najgorzej. Może tym razem J.C. ją pocałuje? Wyobraziła to sobie, i aż zadrżała na myśl o spodziewanej rozkoszy. J.C. na pewno doskonale całował. Miała nadzieję, że ją nauczy, bo nie miała pojęcia, jak się to robi.

- Aleś się wystroiła - skomentował Rodney. - Ładnie wyglądasz, siostrzyczko.

- Dzięki. - Colie się uśmiechnęła.

- Wiesz, J.C. niezbyt lubi życie rodzinne - powiedział Rodney. - Ma trudne doświadczenia w tym względzie. Jego matka zmarła, a z ojcem nie rozmawia. Nie jestem pewien,

czy w ogóle wie, co się dzieje z jego staruszkiem.

- Dlaczego? – spytała zdumiona Colie.

- Nie chciał mi powiedzieć. Kiedyś tylko wspomniał, że kiedy miał dziesięć lat, został adoptowany przez rodzinę w Jukonie. Żył z nimi przez jakiś czas, niestety oboje zginęli w pożarze. Od tego czasu J.C. jest sam.

- Ma ciebie – zauważyła Colie.

- Może to zabrzmie dziwnie, ale choć się przyjaźnimy, to nie jesteśmy aż tak blisko. J.C. nie ufa ludziom, nie dopuszcza ich do siebie. – Rodney zmarszczył brwi. – Wiem, co czujesz. Może jeszcze się zmieni – dodał, widząc ból na jej twarzy. – Po prostu nie pozwól, żeby cię skrzywdził, dobrze?

- Co masz na myśli?

- Ma złe doświadczenia z kobietami. Sam nic mi o tym nie mówił, ale dowiedziałem się od jednego z chłopaków z jego oddziału. Była prostytutką, a on o tym nie wiedział. Po prostu był młody i naiwny i zakochał się w niej na zabój. A potem podsłuchał, jak rozmawia o nim z klientem i nabija się z J.C., że tak łatwo owinęła go sobie wokół palca. Powiedziała, że od dawna udaje niewinną dziewczynę, bo to nakręca klientów. J.C. dostał szału, podobno tamten facet trafił do szpitala. Chłopak, z którym rozmawiałem, powiedział, że po tym incydencie J.C. zmienił się nie do poznania. Gdy odchodził z wojska, był całkiem innym człowiekiem.

- Biedaczysko – westchnęła Colie.

- Jak to mówią, przezorny zawsze ubezpieczony – podsumował Rodney. – To nie tak, że J.C. mści się na kobietach, ale od tego czasu z żadną nie został na dłużej.

Cole spuściła wzrok. Nie była pewna, czy chciała o tym

wiedzieć.

- Wielu mężczyzn tak się zachowuje, prawda? Ale z czasem im to przechodzi. Ustatkowują się, żenią, mają dzieci...

- Nie licz na to. Przemoc jest wpisana w jego życie, nie zauważyłaś? Zarządza ochroną rancza i szkoli policjantów w najbardziej niebezpiecznych miejscach na świecie. Lubi ryzyko. To nie jest taki człowiek, który w każdą niedzielę chodzi do kościoła i pomaga dzieciom odrabiać lekcje.

Colie z każdą minutą czuła się coraz gorzej. Rodney to zauważył i dodał łagodniejszym tonem:

- Wiem, co do niego czujesz, i właśnie dlatego ci o tym mówię. Wiesz, że tata nie idzie z duchem czasu. Żyje w świecie fantazji, pod hasłem „żyli długo i szczęśliwie”, bo jego związek z mamą tak wyglądał. Jednak u większości ludzi dzieje się inaczej. Bierzymy od życia tyle, ile możemy, a potem idziemy dalej.

- Masz na myśli, że powinniśmy cieszyć się chwilą i nie patrzeć przed siebie?

- Tak, coś w tym stylu. – Wziął głęboki oddech. – Colie, nie chcę, żebyś była rozczarowana. Po prostu powinnaś wiedzieć, z kim masz do czynienia. J.C. jest moim przyjacielem, ale ty jesteś moją siostrą. On nie szanuje kobiet.

Colie poruszyła się niespokojnie.

- Uważasz, że nie powinnam się z nim spotykać?

Rodney się zawahał. Istniały też inne powody, dla których nie chciał, żeby siostra spotykała się z jego przyjacielem. J.C. ślepo przestrzegał prawa. Póki nic nie wiedział, Rodney był bezpieczny; ale jeśli Colie go wyda, choćby przypadkiem, to nie chciał nawet myśleć, co się stanie. Nie mógł dopuścić,

żeby zbliżyli się do siebie.

Z drugiej strony, jej szczęście nie było mu zupełnie obojętne.

- Słońce, zrobisz tak, jak uważasz – powiedział. – Jestem po twojej stronie, nieważne, co postanowisz. Rozumiesz?

Colie spontanicznie go uścisnęła, kładąc policzek na jego piersi.

- Dzięki, Rod. – Odsunęła się. – Tata też powiedział, że cokolwiek się stanie, będę mogła na niego liczyć. – Podniosła wzrok. – Myśli, że nie potrafię się oprzeć J.C.

- Żadna kobieta, której zapragnął, nie potrafiła mu się oprzeć. – Rodney skrzywił się, gdy zrozumiał, co właśnie powiedział.

- W porządku. – Colie uśmiechnęła się sztucznie. – Mówią, że lubi różnorodność.

- Teraz tak. Podobno przedtem był tradycjonalistą. Tamta prostytutka nieodwracalnie go zmieniła.

- Ktoś powinien potraktować ją tak samo!

- Kobiety takie jak ona nic nie czują. Ich serce jest zimne jak lód. Prostytuują się, bo to szybki i łatwy zarobek. Możliwe, że lubią też władzę, jaką mają nad mężczyznami dzięki urodzie i... zawodowej perfekcji.

Colie tylko skinęła głową. Nie miała pojęcia o tych sprawach.

- Może uda ci się przywrócić dawnego J.C. – dodał łagodnie Rodney. – Kto wie?

Colie się uśmiechnęła.

- No właśnie, kto wie? – Zmarszczyła nos. – Rod, znowu

paliteś?

- Mój kolega z Jackson Hole wpadł w odwiedziny. Mieszka w pobliskim motelu. Dzisiaj muszę się z nim spotkać, więc późno wrócę do domu. Jesteśmy umówieni z jego znajomym z Zachodniego Wybrzeża.

Colie milczała, bo nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Spotykamy się w sprawach zawodowych, chodzi o sklep – dodał szybko Rodney. – Ma nam pokazać swoje narzędzia.

- Och! Rozumiem. – Colie odetchnęła z ulgą. Poczucie winy, jakie na sekundę pojawiło się na twarzy Rodneya, umknęło jej uwadze.

Zgodnie z jej przewidywaniami, J.C. miał na sobie dżinsy, a także niebieską koszulę w kratę i kozuch. Uśmiechnął się, gdy zobaczył, że też ubrała się zwyczajnie, choć zarazem zadbała o dyskretną i ładną stylizację.

- Miałem nadzieję, że zrozumiesz, że to zwykłe wyjście do kina, a nie kolacja przy świecach. Powinienem od razu ci o tym powiedzieć.

- W porządku – zapewniła go Colie. – Czytam w myślach. – Gdy J.C. uniósł brwi, spytała: – Nie wierzysz mi? – A w jej zielonych oczach zabłysło rozbawienie.

- Skoro tak mówisz... Gotowa do drogi?

- Jasne.

Jej ojciec wyszedł na korytarz i powiedział z uśmiechem:

- Miłej zabawy. Colie, nie wracaj zbyt późno do domu, dobrze?

- Dobrze, tato. – Cmoknęła go na pożegnanie w policzek.

Choć w dalszym ciągu się uśmiechał, w jego oczach

dostrzegała cień obawy. Ani słowem nie odezwał się do J.C.

- Tata jest trochę nieśmiały – powiedziała, kiedy wsiedli do czarnego SUV-a. – Wiem, że to niespotykane jak na pastora, ale tak właśnie jest.

- Zauważyłem.

- Nie chodzi o to, że cię nie lubi – bezskutecznie próbowała zaprzeczyć temu, co oczywiste.

- W porządku – odparł z uśmiechem. – Nie zadręczaj się tym.

Colie z ulgą odwzajemniła uśmiech.

- Okej, nie będę.

- Lubisz ryby?

- Bardzo! Smażone, grillowane, w każdej formie. A ty?

- Dorastałem w Jukonie wśród rzek i jezior. Dziadek nauczył mnie łowić ryby, kiedy miałem dziesięć lat.

Zauważyła, że ani słowem nie wspomniał o ojcu. Przypomniała sobie, co powiedział jej Rodney.

- Kiedy się urodziłam, moi dziadkowie już nie żyli – powiedziała. – Miałam tylko jedną babcię, która zmarła, kiedy byłam w przedszkolu.

- To smutne. Mój dziadek był z nami aż do śmierci mojej matki. Był wspaniałym człowiekiem. Pochodził z plemienia Siuksów – dodał, uśmiechając się do wspomnień. Jego rodzina pochodzi z Calgary. – Zauważył, jak Colie marszczy brwi. – To w zachodniej Kanadzie. Słyszałaś o rodeo w Calgary? Mój dziadek brał w nim udział.

- O, naprawdę? Tak, coś o nim słyszałam.

- Mój ojciec nie interesował się rodeo, ale czasem dotrzymywał mu towarzystwa. Pewnego razu zobaczył na trybunach drobną Irlandkę, która dopingowała go z entuzjazmem. Po zawodach nawiązał z nią rozmowę. Był zachwycony jej urodą, a ona fascynowała się rdzennymi Amerykanami, takimi jak mój ojciec. Spotykali się przez tydzień, po czym wzięli ślub.

- To niesamowite, że twoja matka miała rude włosy - zauważyła Colie, przyglądając mu się. Jego włosy były czarne jak smoła.

- Niezbyt to po mnie widać, co?

- Ani trochę.

- Odziedziczyłem po niej oczy. Jej były jasnoszare, takie same jak moje.

- Kochałeś ją.

J.C. zapatrzył się na zaśnieżoną drogę.

- Tak, bardzo. Wspierała mnie, jak tylko mogła. Wiele ryzykowała, żeby mnie chronić. - Wziął głęboki oddech. Nigdy nie rozmawiał o tych sprawach, nawet z Rodneyem. Jednak w Colie było coś, co sprawiało, że człowiek miał ochotę jej się zwierzać. - Straciłem ją, kiedy miałem dziesięć lat. Zamieszkałem z rodziną zastępczą. - Uśmiechnął się. - Byli dobrymi, ciepłymi ludźmi. Nie mieli własnych dzieci i strasznie mnie rozpuszczali. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Zginęli w pożarze. Właśnie wracałem ze szkoły. Dotarłem tam przed karetką i strażą pożarną. - Odwrócił wzrok. To wspomnienie wciąż bolało. - Nie mogłem ich stamtąd wyciągnąć. Kiedy dotarłem na miejsce, palił się cały dom.

- Tak mi przykro – szepnęła Colie.

Jej współczucie poruszyło w nim jakąś strunę.

- Nie mogłem się przedrzeć przez płomienie – dodał z zadawnioną złością i bólem. – A próbowałem, uwierz mi, że próbowałem. Jeden z sąsiadów mnie odciągnął i przytrzymał, dopóki strażacy nie ugasił pożaru.

Colie skrzywiła się boleśnie. Aż strach było wyobrazić sobie, jak czuł się J.C., gdy bezradnie patrzył na śmierć najbliższych.

Zerknął na nią i ujrzał na jej twarzy szczere współczucie.

- Nie jesteś z tych, którzy naciskają, prawda? – powiedział po chwili, z powrotem skupiając uwagę na drodze. – Po prostu pozwalasz ludziom mówić.

- Nie jestem zbyt interesującą osobą – odparła ze smutnym uśmiechem. – Więcej słucham, niż mówię.

- Tak, to prawda. Bo wiesz, kiedy cię poznałem, od razu zauważyłem, że słuchasz więcej niż inni. Rod opowiadał mi o swojej małej siostrzyczce, która całymi dniami bujała w obłokach i grała na gitarze. Dalej grasz?

- Nie tak często jak dawniej. Pracuję na pełny etat i robię wieczorowy kurs przedsiębiorczości.

- Pracujesz dla Wentwortha i Tartaglii, prawda? – zapytał J.C., mając na myśli znaną kancelarię w Catelow.

- Tak. Zatrudniłam się u nich, kiedy tylko skończyłam liceum.

- Hm, w takim razie zgaduję, że pracujesz tam już całkiem długo?

Dopiero sześć miesięcy. Najwyraźniej J.C. nie wiedział, ile



miała lat, a Colie postanowiła nie wyprowadzać go z błędu. Wiedziała, że on ma trzydzieści dwa. Co, gdyby uznał, że jest zbyt młoda, żeby się z nią spotykać?

- Tak, dosyć długo – odparła wymijająco.

Postanowił nie drążyć tematu. Nigdy nie pytał Roda, ile lat ma jego młodsza siostra. Bo niby jakie to miało znaczenie? Przecież nie zamierzał się z nią żenić. Jej też najwyraźniej nie zależało na poważnym związku, co bardzo mu odpowiadało.

W barze rybnym było tłoczno, ale J.C. udało się zająć ostatni wolny stolik, po czym uśmiechnął się przepraszająco do zawiedzionej pary, którą wyprzedził o ułamek sekundy.

- Nieźle przeprowadzona akcja – parsknęła Colie.

- Dzięki. Mam doświadczenie w przejmowaniu pozycji wroga.

- Widzę, że naprawdę masz do tego talent – skwitowała z uśmiechem.

- Jestem głodny, a to był jedyny wolny stolik. Na co masz ochotę?

Colie chciałyby powiedzieć „na ciebie”, ale była zbyt nieśmiała, żeby otwarcie flirtować. Zamiast tego zaczęła studiować menu.

Jedli kolację w przyjaznym milczeniu, aż wreszcie J.C. spytał:

- Umiesz łowić ryby?

- Umiem. – Podniosła wzrok znad talerza. – Kiedyś często chodziliśmy z tatą na ryby. Całe godziny siedzieliśmy na przystani, czekając, aż coś złapie się na haczyk.

- Przyjedź do mnie wiosną. Zabiorę cię na ryby.

Serce zatrzepotało jej w piersi. To były poważne, długofalowe plany.

- Byłoby wspaniale – szepnęła.

- Też tak myślę.

Pod uważnym spojrzeniem jego szarych oczu puls Colie przyśpieszył, a ręce zaczęły się tak trząść, że widelec z brzękiem spadł na talerz. Zaczzerwieniła się i szybko schyliła, by go podnieść.

J.C. parsknął cichym śmiechem. Jej reakcja na niego była naprawdę niesamowita. Nie przypominał sobie, kiedy po raz ostatni spotkał kobietę, która tak bardzo by go pociągała. Za to do dziś doskonale pamiętał prostytutkę, która zniszczyła jego ego i męską dumę. Ale to było, zanim stał się doświadczonym, wyrafinowanym uwodzicielem. Zanim nauczył się odwracać role, to znaczy sprawiać, by to kobiety pogrążały się w miłości do niego, błagały o jego uwagę i czułość – a potem odchodzić od nich.

Z zamyśleniem spojrział na Colie. Czy mógłby z nią postąpić tak samo? Tak ją omotać, by robiła wszystko, na co miałby ochotę, a potem po prostu odejść? Myśl o tym, że miałby porzucić tę dziewczynę, wydała mu się dziwnie nieprzyjemna, choć przecież ledwie się znali. Po prostu lepiej o tym nie myśleć, uznał w duchu, i cieszyć się chwilą.

Uśmiechnął się do niej.

- Jak ci smakowała ryba?

- Była pyszna – odparła. – Frytki też. Wiesz, że robią je na miejscu? Żadnych mrożonek.

- Zauważyłem. Uwielbiam frytki.

- Czasem robię je dla taty. Lubi rybę z frytkami.

- Za to mnie nie lubi.

- Nie, to nie tak. - Zamilkła na chwilę, szukając właściwych słów. - Jest wobec mnie bardzo opiekuńczy. Zawsze taki był. Chodzę do szkółki niedzielnej i do kościoła, śpiewam w chórze... - Przygryzła wargę. - Komuś tak światowemu jak ty pewnie wydaję się bardzo konserwatywna, ale tutaj to normalne. Choć nie wszyscy wyznają takie wartości. W naszej parafii są ludzie, którzy żyją w nieformalnych związkach, biorą narkotyki, mają nieślubne dzieci, tego typu rzeczy. Tata nigdy ich nie ocenia, po prostu stara się pomóc.

J.C. umknął wzrokiem. Nie szukał żony. Czy Colie o tym wiedziała?

- Wiem, że nie chcesz się ustatkować - powiedziała ku jego zaskoczeniu. - Po prostu lubię spędzać z tobą czas.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Naprawdę czytasz w myślach, co?

- Czasem też przepowiadam przyszłość, ale tylko wtedy, kiedy taty nie ma w pobliżu - wyznała teatralnym szeptem. - Myśli, że jestem czarownicą!

Roześmiał się, ale szybko spoważniał.

- Matka mojego ojca też miała ten dar - powiedział. - Lekarz pewnie powiedziałby, że to halucynacje wywołane migreną, ale jej wizje naprawdę się sprawdzały. Przepowiadała przyszłość.

- Czy kiedykolwiek przepowiedziała twoją?

Odłożył sztućce i podniósł do ust filiżankę z parującą czarną kawą, po czym odparł w zadumie:

- Tak, ale do teraz nie wiem, co miała na myśli.

- Co powiedziała?

Odstawił filiżankę.

- Że kiedyś zapragnę czegoś, co jest poza moim zasięgiem. Podejmę złe decyzje, które zranią zarówno mnie, jak i drugą osobę. Będzie też ktoś trzeci, kto ucierpi najmocniej. - Zaśmiał się, widząc minę Colie. - Zwykle wyrażała się niejasno, a ja wtedy byłem jeszcze dzieciakiem. Powiedziała, że jestem za mały, żeby zrozumieć, co chciała mi przekazać. - Nagle spoważniał. - Straciłem ją w tym samym czasie, kiedy zmarła moja mama, a kontakt z dziadkiem się urwał. Kiedy podrosłem na tyle, żeby go poszukać, od dawna już nie żył.

- Bardzo mi przykro - powiedziała cicho Colie. - Wiem, jak to jest stracić kogoś, kogo się kocha. Przynajmniej wciąż mam tatę i Roda.

Wiedział, co kryło się pod tym wyznaniem. On nie miał nikogo.

Wyciągnął rękę i delikatnie ujął jej dłoń.

- Masz talent do wyciągania ze mnie bolesnych wspomnień. Nie jestem pewien, czy mi się to podoba.

Serce Colie zabiło żywiej. Cudownie było czuć jego rękę na swojej.

- Nie pozwalasz nikomu zbliżyć się do siebie. Ja też - oznajmiła z wahaniem. - Ale różnimy się, bo ja ufam ludziom, a ty nie. Po prostu jestem nieśmiała.

Pogładził kciukiem jej dłoń.

- Lubię własne towarzystwo.

- Ja też.

- Ale lubię też twoje.

- Naprawdę? – Rozpromieniła się.
- Naprawdę. Musimy znowu się spotkać.
- Bardzo chętnie!
- Masz ochotę na deser?
- Dzięki, ale niezbyt lubię słodczy.
- A zatem mamy coś wspólnego. Okej, czas na kino. – Poprosił o rachunek.

Film był zabawny. W innej sytuacji może nawet spodobałby się Colie, ale jej uwaga była skupiona na J.C., który przez cały seans obejmował ją ramieniem. Jego palce jakby od niechcienia błędziły po jej szyi, ramieniu, boku, skutecznie ją rozpraszając.

Choć film zebrał dobre recenzje, w kinie było niewiele osób. Policzek J.C. spoczął na jej włosach; reszta widzów była skupiona na tym, co działo się na ekranie.

- Nareszcie sami – szepnął J.C., muskając wargami jej ucho, a potem szyję.

Colie drgnęła pod wpływem gwałtownej emocji. Nigdy dotąd nie reagowała tak mocno na żadnego mężczyznę. Dotychczas obracała się w towarzystwie rówieśników, którzy mieli niewiele więcej doświadczenia od niej, on natomiast był w pełni dojrzałym mężczyzną. Colie wiedziała, że jeśli zapragnie ją uwieść, nie zdoła mu się oprzeć.

J.C. również był tego świadom, nie przynosiło mu to jednak spodziewanej satysfakcji. Colie nie należała do kobiet, do jakich przywykł przez te wszystkie lata. Zbyt mocno przypominała jego matkę i babkę. One też wyznawały konserwatywne zasady i żadna z nich nigdy nie zdradziła męża. Wiara była dla nich najważniejsza, choć jego matka

była katoliczką, a babka kultywowała wierzenia rdzennych Amerykanów. W hierarchii ważności zaraz po religii stawiąły rodzinę, a J.C. wyrzucił ze swego życia i jedno, i drugie.

Dlatego powinien jak najszybciej pozbyć się Colie... tyle że uwielbiał mieć ją przy sobie i jej dotykać. Po prostu pragnął jej do szaleństwa. Niemal wyczuwał trzepotanie jej serca, słyszał jej krótki, urywany oddech. Miał ochotę pociągnąć ją na podłogę i wziąć ją tu i teraz.

Odsunął się, bo musiał nad sobą zapanować. Dać sobie czas do namysłu. Colie wyglądała na zagubioną, więc odnalazł jej dłoń i uścisnął ją pokrzepiająco.

Odprężyła się. Czuła, że J.C. chce zwolnić, sprawić, by ochłonęli. Ucieszyło ją to, ponieważ wyczuwała jego pożądanie. Wyglądało na to, że bardzo potrzebował kobiety, co ją zaniepokoiło. Skoro nie byli w związku, nie mogła zrobić tego, czego od niej oczekiwał. Nie mogła rozczarować i skompromitować ojca, szczególnie tutaj, w miasteczku, w którym każda plotka rozchodziła się z prędkością światła.

Zmusiła się do uśmiechu i spróbowała skupić się na filmie.

Odwiózł ją do domu, wciąż trzymając za rękę. Bardzo lubił Colie, ale ogarniały go coraz poważniejsze wątpliwości. Pakowanie się w taki związek to duży błąd. Colie zaczynała się angażować, a on nie mógł sobie na to pozwolić. Za bardzo cenił wolność.

Odprowadził ją do drzwi.

- To był naprawdę dobry film.

- Zgadza się - odparła Colie, choć nie zapamiętała choćby jednej sceny.

J.C. obrócił ją przodem do siebie. Na jego twarzy malowała

się powaga.

- To niezbyt mądre, gdy zaczyna się coś, czego nie można dokończyć.

Serce ścisnęło jej się z żalu. Rozumiała, że J.C. nie chce się angażować. Wiedziała o tym wcześniej. Ale i tak zabołało, gdy to powiedział.

Uśmiechnęła się sztucznie.

- I tak było fajnie. Ryba z frytkami, kino.

Skinął głową. Widać było, że bije się z myślami. Gdy bezwiednie dotknął jej policzka, poczuł pod palcami miękką, gładką skórę.

- Żyjesz w konserwatywnym domu i takie zasady wyznajesz - zaczął. - Masz normalną pracę i przewidywalną przyszłość. Ja nie. Lubię zmiany, ryzyko...

Położyła mu palec na ustach.

- Nie musisz tego mówić - powiedziała łagodnie. - Rozumiem.

Złapał jej palce i pocałował je. Potem puścił jej rękę.

- Jesteś miłą dziewczyną.

- Dziękuję.

- To nie był komplement.

Uśmiechnęła się tylko, a on z westchnieniem pokręcił głową. Colie była dla niego prawdziwą zagadką.

Włożył ręce do kieszeni, mając nadzieję, że powstrzyma je od zrobienia tego, na co miał ochotę. Spojrzał na Colie spod zmrużonych powiek.

- O czym myślę?

- Myślisz, że chciałbyś pocałować mnie na pożegnanie, ale boisz się, że się zaangażuję, więc wolisz uciec do samochodu i pojechać do domu.

To było tak bliskie prawdy, że poczuł się nieswojo.

Widząc jego minę, Colie się roześmiała.

- Teraz myślisz, że naprawdę jestem czarownicą. - Gdy jego oddech przyśpieszył, dodała: - A teraz się boisz. W porządku, przywykłam do tego. Jeden z tutejszych chłopaków ożenił się z medium. Podobno ludzie bali się wejść do biura, w którym ta kobieta pracowała.

- Nie boję się jasnowidzów.

- Po prostu czujesz się dziwnie, bo większość ludzi woli ukrywać takie zdolności, przypadłości czy jak to nazwać.

- O mój Boże... - J.C. wybuchnął śmiechem.

- Masz rację, zwykle o tym nie mówię. Nie chciałabym, żeby mój szef mnie zwolnił, bo ludzie baliby się wchodzić do jego kancelarii.

- To rzadki dar.

- Pewnie tak - odparła nieco sztywno Colie.

Przyjrzał się jej uważnie i rzekł w zadumie:

- Widzisz rzeczy, których nie chcesz widzieć. To może być trudne dla ciebie.

- Masz rację. Wiem, kiedy moim bliskim ma stać się coś złego. Gdy ten czas się zbliżał, wiedziałam, że moja babcia umrze. - Przerwała na moment. - Też miała ten dar.

- Co ci przepowiedziała?

- Powiedziała, że moje życie będzie trudne. Że podejmę złą



decyzję i zapłacę za nią wysoką cenę. Wyjdę za mąż, ale nie z miłości, a skutki tej decyzji będą mnie prześladować przez całe lata. Ale potem zawita do mnie szczęście.

Podobieństwo między ich przepowiedniami zaskoczyło J.C.

- Ciekawe, prawda? – odezwała się Colie, jakby wiedziała, o czym myśli. – To znaczy twoja babka powiedziała ci prawie to samo, co usłyszałam od mojej.

- Rzeczywiście ciekawe.

- A może to nic nie znaczy. – Colie się uśmiechnęła. – To tylko przewidywania, które nie muszą się spełnić. Posłuchaj, ja nie przepowiadam przyszłości, nie czytam w jakiejś tajemnej księdze, w której zostało spisane, co i kiedy się wydarzy. To działa inaczej. Mam tylko zimne, nieprzyjemne przeczucia, kiedy ma się zdarzyć coś złego.

- Nigdy nie czułem czegoś podobnego.

- Szczęściarz – mruknęła i spojrzała mu w oczy. – Twoje życie nie należało do łatwych. Nie musiałeś nic mówić; widać to po twojej twarzy. Tyle cierpienia...

- Wystarczy – przerwał jej.

- Przekroczyłam granicę? – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Wybacz. Czasem gadam, co mi ślina na język przyniesie. – Roześmiał się, a ona wyczuła, że J.C. nie potrafi się na nią złościć. – Dziękuję, że zabrałeś mnie na rybę i do kina. To był miły wieczór.

- Owszem. Ale nie będziemy tego powtarzać.

- Oczywiście.

- Biały domek z ogródkiem mnie nie interesuje. Nieważne, kto czekałby na mnie w środku.

- Rozumiem. - W zadumie skinęła głową. - Tak czy inaczej, było fajnie.

- Tak, było fajnie. Dobranoc.

- Dobranoc.

- Powiedz Rodneyowi, że moja propozycja wciąż jest aktualna. Zrozumie - dodał, obracając się do wyjścia.

- Powiem mu.

J.C. zmusił się, żeby podejść do SUV-a, otworzyć drzwi, wejść do środka i zatrzasnąć je za sobą. Nie spojrzał na Colie. Wiedział, że gdyby to zrobił, nie zdołałby odjechać.

Patrzyła, jak się oddala. Nie pomachał jej. Nie obejrzał się za siebie. Przepęłniał ją dojmujący ból, głębokie poczucie straty. Ale wiedziała, że J.C. ma rację: ten związek nie miał przyszłości. Za bardzo różnili się poglądami i stosunkiem do życia. A jednak Colie wiedziała, że J.C. potrzebował kogoś bliskiego. Był taki samotny, taki udręczony...

Gdy otworzyła drzwi i weszła do środka. ojciec właśnie wyszedł z gabinetu. Spojrzawszy na córkę, od razu wiedział, że na randce nic się nie wydarzyło.

- Jak było? - zapytał, skrywając ulgę.

- Fajnie - odparła z uśmiechem. - Byliśmy w kinie i na obiedzie w barze rybnym. Mają tam doskonałe frytki.

- To prawda, są całkiem niezłe. - Pastor skinął głową, po czym spytał: - Umówiliście się na następne spotkanie?

- Nie. J.C. jest bardzo miły, ale nie lubi białych domków z ogródkiem - rzuciła lekko.

Podszedł bliżej. Wiedział, że córka udaje.

- Moja droga - powiedział łagodnie - nic nie dzieje się bez

przyczyny. Czasem trzeba zaakceptować to, że życie toczy się swoim torem. Nigdy nie będzie dokładnie takie, jak sobie wymarzysz.

Colie uścisnęła go.

- I nie powinniśmy przywiązywać się do ludzi, którzy nie są tacy jak my. Wiem. J.C. też mi to mówił. - Zamknęła oczy. - Ale to wciąż boli.

- Oczywiście, to zrozumiałe. Ból z czasem jednak minie, jak wszystko inne.

- Tak. Z czasem... - powtórzyła.

Ale ból nie minął. Za każdym razem, kiedy Rod wspominał o swoim przyjacielu, Colie czuła się, jakby ktoś dźgnął ją nożem w serce. Wprawdzie doskonale wiedziała, że J.C. nie jest dla niej odpowiednim mężczyzną, ale jakoś nie było jej z tym łatwiej. Pragnęła go. Kochała go. Tęskniła za nim.

Szła do pracy, wracała do domu, gotowała, sprzątała, czytała książki, szła spać. Następnego ranka wstawała i robiła to samo. W środku czuła się jednak pusta i wyprana z emocji.

Choć nie mogła o tym wiedzieć, J.C. borykał się z tym samym problemem. Za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział przed sobą jej twarz. Był przyzwyczajony do tego, że kobiety go pragną. Lecz to, że Colie się w nim zakochała, było dla niego nowe. I niepokojące.

Czy mógł ją zdobyć, a potem zostawić? Czy mógł z niej zrezygnować i dalej z tym żyć? To, że nie znał odpowiedzi na te pytania, doprowadzało go do szału.

Nawet jego szef, Ren Colter, zauważył, że nagle stał się dziwnie roztargniony.

- Trzeba ściąć to drzewo – stwierdził, gdy pewnego razu oglądali zniszczony fragment ogrodzenia pastwiska.

- Powiem Willisowi, żeby się tym zajął.

- Co cię gryzie? – zapytał nagle Ren. – Ostatnio nie jesteś sobą.

- Po prostu się nie wyspałem.

- Jasne. I nie ma to żadnego związku z Colie Thompson?

J.C. spojrział na niego spode łba.

- Słuchaj, to, że zabrałem ją do kina...

- Och, daj spokój – przerwał mu Ren. – Od tygodnia snujesz się jak dusza potępiona, która nie może znaleźć sobie miejsca. Słyszałem, że ona robi to samo.

- Naprawdę?

Wyraz twarzy Rena mówił sam za siebie.

- Żeby zobaczyć, dokąd prowadzi droga, najpierw musisz nią podążyć. Zapytaj sam siebie, czy jesteś szczęśliwszy.

- Nie.

- To dlaczego nic z tym nie robisz?

- Jej ojciec jest pastorem, a ja nie chcę się żenić – wyznał niechętnie.

- Nie musisz jej się oświadczać na drugiej randce – padła rozsądna odpowiedź.

- To skomplikuje sytuację. – J.C. westchnął ciężko.

- Życie jest za krótkie, żeby unikać komplikacji, zamiast coś z nimi zrobić.

- Masz rację – odparł J.C. po chwili namysłu.

Gdy Colie wyszła na parking przed kancelarią i wsiadała do swojego zdezelowanego pikapa, obok zaparkował duży czarny SUV. Obejrzała się i ujrzała J.C.

Stanął przed nią zły, sfrustrowany, zaniepokojony.

- Do diabła z tym - rzucił krótko.

- O co chodzi?

Wziął ją w ramiona.

- Postanowiłem cieszyć się tym, co mam, i nie myśleć o przyszłości. Co ty na to? - Nie czekając na odpowiedź, pocałował ją.

Colie chciała zaprotestować, ale w tej samej chwili zmiękły jej kolana. Nie wierząc we własne szczęście, otoczyła J.C. ramionami i wtuliła się w niego, podczas gdy on rozkoszował się dotykiem jej miękkich, chętnych ust.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Minęło sporo czasu, nim J.C. podniósł głowę. Pocałunek wypełnił w nim pustkę, z której istnienia dotąd nie zdawał sobie sprawy. Twarz Colie była zarumieniona, pełne wargi nabrzmiałe, a zielone oczy senne i rozmarzone. Zastanawiało go, dlaczego niemal nie odwzajemniła jego pocałunku, tylko po prostu pozwalała się całować. Być może jej poprzedni partnerzy nie znali się zbyt dobrze na grze wstępnej? Kobiety, z którymi się zadawał, też zwykle nie zawracały sobie głowy pocałunkami.

Rod, choć był synem pastora, nigdy nie odmawiał sobie kobiet. J.C. podejrzewał, że Colie również tylko udaje grzeczną dziewczynkę. Bądź co bądź, nie protestowała.

Trzymał ją w tak mocnym uścisku, że wyraźnie czuła, jak bardzo jest podniecony. Można powiedzieć, że miała w tych sprawach zero doświadczeń, ale czytała dużo romansów i wiedziała, co się dzieje z mężczyzną, gdy pożąda kobiety. I odczuła wielką satysfakcję, gdy przekonała się, jak bardzo J.C. jej pragnie.

Nie chciała go zniechęcać, ale nie była pewna, co zrobić z tym, czego na pewno od niej zażąda. Przez całe życie była grzeczna i posłuszna aż do bólu. A teraz miała przed sobą męskie uosobienie pokusy z jej powodu umierające z pożądania.

Westchnęła.

- To było miłe.

- Miłe? – J.C. rozejrzał się na boki. – Dobrze, że o tej porze nie ma zbyt dużego ruchu. Pragnę cię, wiesz?

- Wiem – szepnęła Colie i natychmiast się zaczerwieniła.

Zmierzył jej włosy.

- Przyjadę po ciebie za godzinę. Zdążysz zrobić obiad dla Roda i ojca?

- Jasne – skłamała Colie. Coś wymyśli. W lodówce były resztki, które mogła odgrzać. – Gdzie jedziemy?

- Do Jackson Hole – odparł z uśmiechem. – Zabieram cię do klubu. Masz co na siebie założyć?

Colie zrzędała mina.

Niech to! Jej ojciec całą pewnością nie pochwała takich rozrywek, pomyślał J.C., a Colie chyba nawet nie ma wieczorowej sukienki.

- Zmiana planów – oświadczył. – Załóż dzinsy, pojedziemy do kasyna koło Lander. Nauczę cię grać na automatach.

- Dobrze zgadłeś – rzuciła ze śmiechem. – Nie mam wieczorowej sukienki.

- Szybko możemy to naprawić.

- Nie, nie możemy – odparła Colie. – Sama za siebie płacę. Na wypadek, gdybyś wpadł na pomysł, żeby kupić mi sukienkę.

- To tylko sukienka...

- Sama za siebie płacę – powtórzyła z zaciętym wyrazem twarzy.

J.C. rozpoznał tę minę, bo nieraz sam wyglądał tak samo.

- Dobrze, Panno Niezależna. Zrobimy po twojemu.

- Cieszę się – odparła z uśmiechem. – Nie mogę się doczekać.

Wciąż była zarumieniona. Jej naturalne, szczere reakcje fascynowały i zachwycały J.C. Na moment poczuł wyrzuty sumienia, ale zaraz je uciszył. Colie była dorosłą kobietą. Wiedziała, w co się pakuje, a on na pewno nie będzie jej pierwszym mężczyzną. Tylko dlaczego nagle zaczęło go to uwierać, skoro żadna z jego partnerek nie była dziewicą?

- To co, widzimy się za godzinę?

- Okej.

Colie odprowadziła go wzrokiem, potem wsiadła do pikapa i popatrzyła na siebie w lusterku. Wyglądała na... zakochaną. Przypomniała sobie pocałunek J.C., pierwszy prawdziwy pocałunek w jej życiu, i serce znów zabiło jej żywiej. Kochała J.C. A on też musiał coś do niej czuć, bo wbrew temu, co mówił, jednak do niej wrócił.

Uśmiechała się przez całą drogę do domu. Przestała dopiero wtedy, gdy powiedziała ojcu, że idzie się spotkać z J.C. Smutek i rozczarowanie na jego twarzy odebrały jej całą radość.

Kiedy szykowała się na randkę, Roda nie było w domu. Zrobiła ojcu szybką kolację, ale sama nie była głodna. Była na to zbyt podekscytowana.

- Gdzie idziecie? – zapytał ojciec, kończąc zaimprovizowany posiłek.

- Do Lander – odparła Colie, nie patrząc na niego. – To niedaleko Jackson Hole...

- Kasyna – stwierdził z westchnieniem pastor, widząc zawstydzoną minę córki. – To twoje życie, Colie. Nie będę się



wtrącać. Ale podążasz ścieżką, która może źle się dla ciebie skończyć. J.C. nie ma Boga w sercu.

- Wiem. Ale ludzie się zmieniają – przekonywała Colie.

- Nie wszyscy – odparł ojciec z nietypowym dla siebie pesymizmem. – Nie pozwól, żeby J.C. źle na ciebie wpłynął. Zostałaś wychowana na kobietę z zasadami. Nie porzucaj ich dla mężczyzny, który nigdy się z tobą nie ożeni.

- J.C. nie jest złym człowiekiem...

- Nie powiedziałem, że nim jest. Mówię tylko, że przywykł do innego stylu życia niż ty. – Mówiąc to, napotkał wzrok Colie. W jego oczach była mądrość, która przychodzi z wiekiem. – Nie jest łatwo postępować zgodnie z boskimi przykazaniami we współczesnym świecie. Pozostać wiernym ideałom, gdy tak wielu ludzi żyje bez nich.

- Wiem o tym, tato. Ale niezależnie od tego, co zdecyduję, nadal będę sobą.

Pastor wiedział, że nie ma sensu dalej się spierać. Colie była tak zakochana w J.C., że nie odmówiłaby mu niczego, o co by ją poprosił.

Zmusił się do uśmiechu.

- Cokolwiek zrobisz, zawsze będziesz moją córką, a ja zawsze będę cię kochał. Zawsze będę przy tobie, kiedy będziesz mnie potrzebować.

- Wiem. – Colie była rozdarta. Wiedziała, że zawiodła ojca, ale nic nie mogła na to poradzić. – Kocham go, tato.

- Wiem, dziecko.

- Wszystko będzie w porządku. – Żałowała, że sama nie potrafi w to uwierzyć.

Nakarmiła Toma, który entuzjastycznie ocierał jej się o łydki, podniosła go i pocałowała w czubek głowy, a potem wyszła z domu.

W kasynie było głośno i tłoczno. Miejsce to należało do plemienia Szoszonów i było jednym z głównych źródeł utrzymania miejscowych Indian. Colie spodziewała się, że będzie się stąd rozciągał wspaniały widok na Lander i rezerwat Wind River, ale kiedy J.C. zaparkował na podjeździe, ku jej rozczarowaniu było zbyt ciemno. Jednak gdy tylko ujrzała kolorowe neony kasyna, natychmiast się ożywiła.

- Cudowne światła! – zachwyciła się, idąc przez salę u boku J.C.

- Widzę, jak trybiki obracają ci się w głowie – zażartował. – Grzeszny hazard! Twój ojciec na pewno miał dużo do powiedzenia na temat tej wycieczki.

- Owszem – przyznała Colie. – Ale to moje życie i sama będę o nim decydować.

Popatrzył na nią z pewnym żalem. Ta dziewczyna żyła pod kloszem. Nie znała prawdziwego świata, jego świata.

Zauważyła jego minę.

- Nie patrz na mnie z taką troską. Nie sprowadzasz mnie na złą drogę.

- Ale tak się czuję. – Patrzenie w jej zielone oczy wprawiało go w niespodziewanie dobry nastrój. – Z drugiej strony, może to ty sprowadzasz mnie na złą drogę? Nie lubię się przywiązywać.

Odwróciła wzrok, skrywając uśmiech.

- Mam ze sobą pięć dolarów – oznajmiła, rozglądając się

wokół siebie. – Zobaczymy, jak daleko na nich zajdę!

Był pewny, straci je w ciągu kwadransa, ale tylko skinął głową.

Godzinę później Colie wciąż była w grze.

- To musi być rekord – stwierdził J.C., widząc na ekranie rząd identycznych ikonek.

- Mam szczęście – odparła zadumana Colie, zerkając na J.C.  
- Inaczej nie byłoby mnie tu z tobą.

- Co masz na myśli?

- Jesteś wspaniałym mężczyzną – powiedziała szczerze. –  
Mógłbyś mieć każdą kobietę, ale postanowiłeś spotykać się ze mną.

- I to cię dziwi? Niby co z tobą nie tak?

- Wszystko – odparła ze smutkiem. – Nie jestem ładna.

Przewrócił oczami, po czym oznajmił zdecydowanym, tonem:

- Oczywiście, że jesteś ładna. Masz też wiele innych pozytywnych cech. Jesteś dobra, miła i nigdy nie narzekasz, nawet gdy masz do tego prawo. – Colie zarumieniła się, a on dodał niespodziewanie: – W jakiś sposób przypominasz mi matkę. Ona też była niepoprawną optymistką. A przy tym dobra i wyrozumiała... aż za bardzo.

Chciała zapytać, co stało się jego matce, ale w tej samej chwili automat odegrał melodyjkę. Roześmiała się i klasnęła w rękę.

- Zobacz! Znowu wygrałam!

J.C. spojrział na zegarek.

- Nie chcę psuć ci zabawy, ale czeka nas długa droga do domu. Twój ojciec nie byłby zadowolony, gdyby musiał czekać na ciebie do rana. Pewnie już i tak masz przeze mnie kłopoty.

- To był mój wybór – oświadczyła Colie. – Tata nie mówi mi, co mam robić. Owszem, daje dobre rady, ale to zupełnie coś innego.

- Pochodzimy z całkiem różnych środowisk – z westchnieniem stwierdził J.C.

- To nieważne.

- Pewnego dnia może okazać się ważne. Nie chcę ryzykować.

- Jezu, dzięki. Ja też cię lubię – parsknęła Colie.

- Chciałbym tak po prostu odejść – wyznał J.C., pieszczotliwie głaszcząc ją po policzku. – Ale nie mogę.

Serce zatrzepotało Colie w piersi. To były najbardziej zachęcające słowa, jakie od niego usłyszała do tej pory.

- Możliwe, że będziesz żałować, że tego nie zrobiłem – powiedział cicho. – Mówiłem poważnie. Nie interesuje mnie biały domek i gromadka dzieci.

- Tak, wiem. Nie chcę cię zmienić, J.C. Ludzie się nie zmieniają.

- O tym mówię.

Colie wpatrywała się w niego. Była tak zakochana, że miała wrażenie, jakby unosiła się w powietrzu.

- Powinniśmy już iść. – Umknął wzrokiem. – Odbierz wygraną i jedźmy do domu.

Po przeliczeniu banknotów Colie nie posiadała się ze szczęścia. Wygrała nie więcej, niż równowartość swojej

pensji, ale przynajmniej będzie mogła zapłacić rachunki. Powiedziała o tym J.C., który ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Całkiem dobrze zarabiam, ale mam też sporo wydatków – wyjaśniła. – Pomagam z rachunkami i płacę za telefon. Kupuję paliwo do mojego pikapa, którego trzeba naprawiać prawie co tydzień. Płacę za internet, bo głównie to ja go używam. Rod też się dokłada, bo lubi grać w gry.

- Zawsze je lubił. – J.C. nie powiedział, że służba bardzo zmieniła Rodneya. Tak często działo się z ludźmi, których wychowano na idealistów. Niestety trudno zachować ideały w obliczu śmierci, cierpienia i okrucieństwa.

- O czym myślisz? – zapytała Colie, kiedy wracali ośnieżoną drogą do Catelow.

- Przypomniało mi się, jak służyliśmy w wojsku. Wybacz, ale nie chcę o tym rozmawiać. Domyślam się, że Rod też nic nie mówił.

- Nie, prawie nic. Kiedy wrócił do domu, dręczyły go koszmary, ale nie powiedział dlaczego. Wiem, że rozmawiał o tym z tatą, lecz nigdy przy mnie. Tata brał udział w wojnie w Zatoce – dodała. – Był kapelanem, ale walczył w pierwszej linii.

- To musiało być dla niego trudne doświadczenie.

- Bardzo trudne. Powiedział, że cierpienie, z jakim się zetknął, nadszarpięło jego wiarę.

- Życie odebrało mi moją – skwitował J.C. – Tę resztkę, którą miałem, straciłem, kiedy miałem dziesięć lat.

Colie była ciekawa. Bardzo ciekawa. Ale się nie odezwała.

J.C. westchnął ciężko i podjął opowieść:

- Po ślubie z moją matką ojciec pracował w kopalni. To była ciężka praca. Nie tak wyobrażał sobie swoją przyszłość. Chciał mieć ranczo. Myślał, że jeśli będzie ciężko pracować i oszczędzać, to uda mu się kupić ziemię, wybudować dom i hodować bydło. Ale tak się nie stało. - J.C. patrzył prosto przed siebie na zaśnieżoną drogę. - Znalazł się w pułapce. Moja matka zaszła w ciążę, więc trzeba było opłacić rachunki za wizyty u lekarza i ponieść wszystkie inne wydatki związane z przyjściem na świat dziecka. Z wypłaty ojca pod koniec miesiąca nic nie zostawało. Mama nie mogła pójść do pracy, bo nie mieli nikogo, kto by się mną zajął, a nie stać ich było na wynajęcie opiekunki.

- Są agencje rządowe...

- Mój ojciec był dumnym człowiekiem - odparł z ironią. - Nie chciał nawet o tym słyszeć. Próbował nakłonić mamę, żeby skontaktowała się ze swoją rodziną i poprosiła o pożyczkę, ale się nie zgodziła. - J.C. zerknął na Colie. - Wydziedziczyli ją, kiedy poślubiła mojego ojca. Byli bardzo uprzedzeni.

- To smutne - szepnęła Colie.

- Tak, rasizm to coś paskudnego. - Milczał przez chwilę. - Tak więc moi rodzice dalej żyli od pierwszego do pierwszego, a napięcia i urazy między nimi narastały. Wiem od mamy, że ojciec zaczął pić wkrótce po moich narodzinach. Nie mógł znieść myśli, że jego marzenia się nie spełnią. - Dłoń J.C. była zaciśnięta na kierownicy. Wolną ręką odnalazł dłoń Colie i splótł z nią palce. To nieco wsparło go na duchu. - Mamie zależało na tym, by wziąć udział w zebraniu rodziców w szkole. Tata narzekał, że nie chce jechać, ale zdołała go ubłagać i wsiadła z nim do samochodu. Pił od rana. - Colie mocniej uścisnęła jego rękę, przeczuwając, co zaraz usłyszy.

- Jechał za szybko i wpadł w poślizg na zakręcie. Samochód wpadł do rzeki. Mama utonęła, a ojcu udało się dopłynąć do brzegu.

- O Boże...

- Dowiedziałem się, kiedy policja zapukała do naszych drzwi. Mój ojciec uciekł, bo wiedział, że czeka go wieloletnia odsiadka, a mama nie żyła. Coś we mnie umarło razem z nią.

- Przerwał na moment. - Już nigdy nie zobaczyłem ojca. Zostałem umieszczony w domu dziecka, a wkrótce potem adoptowali mnie starsi państwo, którzy nie mieli własnych dzieci. Byli bogaci, dobrzy i mili. Bardzo mnie rozpieszczali, ale to nie zrekompensowało mi tego, co straciłem. Nie mieszkałem też z nimi długo, bo pożar odebrał im życie.

- A co z rodziną twojej matki?

- Nie żyją - odparł chłodno J.C. - Nie wiedziałbym o tym, gdyby nie to, że okazałem się jedynym legalnym spadkobiercą. Odziedziczyłem ich majątek. - Nie dodał, że wynosił kilka milionów dolarów.

- Tak mi przykro - szepnęła ze współczuciem Colie. - Nie wyobrażam sobie, jakie to musiało być dla ciebie trudne. Ale przynajmniej miałeś kogoś, kto naprawdę cię kochał. Wielu ludzi nie ma nawet tego.

- Wiem.

- Żyjesz przeszłością, J.C. - dodała łagodnie. - Nie możesz tak robić. Życie nie jest grą, którą można zrestartować.

- Wiesz, miałem okazję się o tym przekonać - rzucił ostro. - Kiedy dorosłem, wstąpiłem do armii - kontynuował, pomijając wszystko, co działo się z nim do tego czasu. - Służyłem w jednostce specjalnej na Bliskim Wschodzie. Tam

poznałem Rena i twojego brata.

- Długo służyłeś w wojsku?

- Dość długo.

A zatem wciąż miał tajemnice, którymi nie chciał się z nią dzielić. Z drugiej strony wyznał jej rzeczy, których na pewno nie mówił żadnej innej kobiecie. Pochlebiało jej to.

- A potem spotkałem ją – dodał posepnie.

- Ją?

- Cecelię – warknął ze wstrętem. – Właśnie ukończyłem szkolenie. Nigdy nie byłem w mieście większym niż Whitehorse w Yukonie. Żyje tam zaledwie kilka tysięcy ludzi, tworzą zamkniętą społeczność otoczoną przez niemal bezludne obszary. – Milczał przez chwilę. – Znalazłem się na przepustce w New Jersey. Nie piłem ani nie paliłem, więc zawsze miałem kieszonkowe. Cecelia знаła chłopaka z mojego oddziału. Powiedział jej, że jestem nadziany. Dlatego po mnie przyszła.

- Ojej...

- Oczywiście nie wiedziałem o tym. Kiedy znajomy nas sobie przedstawił, myślałem, że to przypadkowe spotkanie. Nie wiedziałem, że sama je zaaranżowała. – J.C. patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. – Była piękna, wydała mi się najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem. Do tego wytworna, elegancka, wyrafinowana. – Westchnął z bólem. – Myślałem, że jest idealna. Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia, podziałała na mnie jak narkotyk.

Colie natychmiast poczuła zazdrość, ale nie dała nic po sobie poznać. Słuchała dalej.

- Spotykaliśmy się przez kilka tygodni. Zabrałem ją do



opery, do teatru, do filharmonii. Nawet na koncert rockowy. Kupowałem jej ubrania i biżuterię. Naprawdę myślałem, że mnie kocha. Ja na pewno kochałem ją. – Ścisnął dłoń Colie tak mocno, że rozboleły ją palce, ale nadal milczała. – To były jej urodziny. Kupiłem jej szafirowy naszyjnik, który spodobał jej się na wystawie jubilera. Poszedłem do jej mieszkania i zastałem drzwi otwarte. Był u niej mężczyzna. Mówiła mu o mnie, o tym, jaki jestem głupi i łatwowny, jak codziennie kupuję jej drogie prezenty. Uważała, że to przezabawne. Nie miałem nawet tyle doświadczenia, żeby zdać sobie sprawę, że jest prostytutką. Że sprzedaje swoje ciało za pieniądze.

- Cóż za żałosna istota – ze smutkiem skomentowała Colie.

J.C. zaśmiał się ponuro.

- Miała rację, byłem łatwowny, ale dzięki niej błyskawicznie dorosłem. Otworzyłem drzwi i wszedłem do jej mieszkania. Miała na sobie prawie przezroczysty szlafrok, a jej klient nie miał nic prócz bokserek. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy, kiedy mnie zobaczyła i zrozumiała, że słyszałem ich rozmowę. Nie powiedziałem ani słowa. Odwróciłem się i wyszedłem.

- Próbowwała się z tobą skontaktować?

- Poprosiła tamtego faceta, żeby powiedział mi, że jest jej przykro i chciałaby zacząć od nowa. Powiedziałem mu, gdzie Cecelia może sobie wsadzić swoje przeprosiny. Nigdy więcej jej nie widziałem.

- Mój Boże. Naprawdę żyłam pod kloszem. Nie miałam pojęcia, że istnieją tacy ludzie. Nie rozumiem chciwości. Nigdy jej nie czułam.

- Wiem, widać to po tobie.

Colie się uśmiechnęła.

- Lubię proste rzeczy. Kwiaty. Koty. Spacerowanie po lesie. Nigdy nie potrzebowałam do szczęścia drogiej biżuterii ani markowych ubrań. To do mnie nie pasuje.

Rozluźnił uchwyt i pogłaskał kciukiem jej dłoń.

- W niczym jej nie przypominasz.

- Dziękuję... chyba.

- To był komplement – dodał z uśmiechem.

- Rozumiem.

J.C. spojrział na nią z ciekawością.

- Nigdy nikomu nie mówiłem ani o niej, ani o moich rodzicach.

- Twoje sekrety są u mnie bezpieczne. Pracuję jako asystentka w kancelarii prawniczej – dodała Colie. – Nauczono mnie trzymać język za zębami. W życiu prywatnym trzymam się tej samej zasady.

- Rozumiem. – Uśmiechnął się od niej. – Jesteś dobrą słuchaczką.

- Czasem ludzie po prostu potrzebują pogadać. Tak mówi tata. Kiedyś poszedł porozmawiać z mężczyzną, który chciał popełnić samobójstwo. Po jakimś czasie desperat odłożył broń i wyszedł z pokoju razem z tatą. Policja, antyterrorysty... wszyscy patrzyli na to z otwartymi ustami. Zapytali tatę, jak go do tego namówił, a on powiedział, że nie odezwał się ani słowem. Po prostu słuchał. To wszystko, czego potrzebował ten biedny człowiek: żeby ktoś go wysłuchał. Stracił żonę i dziecko w morskiej katastrofie i uznał, że nie da sobie rady bez nich. Nie miał nikogo, do kogo mógłby otworzyć usta.

Dlatego tata go wysłuchał.

- Ty też słuchasz, Colie. To daje więcej, niż myślisz. Ja też nikogo nie mam – dodał cicho.

- Owszem, masz – odparła śmiało i oplotła palcami jego dłoń.

J.C. nigdy by się nie spodziewał, że ktoś tak szybko zdobędzie jego serce, ale jej się to udało. W ciągu zaledwie kilku tygodni zajęła ważne miejsce w jego życiu. Dla jej dobra powinien pozwolić jej odejść. Ale nie potrafił.

Odprowadził Colie do drzwi. Mimo późnej pory w gabinecie jej ojca paliło się światło. Wiedziała, że pracuje nad niedzielnym kazaniem. Całymi dniami dobierał słowa, by jak najlepiej oddały to, co chciał przekazać wiernym.

- Twój tata chyba czeka, aż wrócisz – zauważył J.C.

- Nie, raczej nie. Co wieczór pracuje nad niedzielnym kazaniem, aż zabrzmiał tak, jak sobie zaplanował.

- Ale myślę, że też na ciebie czeka. – Pogłaskał ją po głowie. – Na pewno przez całe życie nie wziął alkoholu do ust – dodał z większą goryczą, niż zamierzał.

- To prawda, nie pije ani nie pali. Mówi, że uzależnienia są zbyt niebezpieczne. Lepiej nie dawać im okazji.

- Jest w tym trochę racji. – Gdy pochylił głowę, ich czoła się zetknęły. – Ja też nie piję ani nie palę. Czasem skuszę się na jedno piwo, ale nic mocniejszego.

- Ja nigdy nie piłam alkoholu – wyznała Colie.

- Bardzo dobrze. – Musnął ustami jej wargi. – Dzisiejszy wieczór bardzo mi się podobał.

- Mnie także.

Odsunął się zdecydowanie zbyt szybko. Położył ręce na ramionach Colie.

- Wyjeżdżam z miasta na kilka dni. Ren wysyła mnie na targi elektroniki, mam przejrzeć nowe zabawki do ochrony rancza. Nie mogę odmówić, muszę tam pojechać.

- Gdzie?

- Niezbyt daleko, tylko do Denver. Bądź grzeczna i nie pakuj się w żadne kłopoty.

Colie się roześmiała.

- Dobrze.

- Zgaduję, że nie zdarza ci się to zbyt często.

- Nie śmiałabym – odparła teatralnym szeptem, ruchem głowy wskazując dom z ojcem pastorem w środku.

J.C. się uśmiechnął.

- Kiedy wrócę, może pójdziemy do kina?

- W przyszłym tygodniu ma być premiera tego filmu science fiction, o którym mówiłam ci w samochodzie.

- Dobrze, możemy go obejrzeć. Do zobaczenia!

- Do zobaczenia.

Poszedł do auta. Colie zauważyła, że znów nie obejrzał się za siebie. Nigdy tego nie robił. Ciekawe dlaczego?

Weszła do środka, odwiesiła płaszcz i torebkę, a potem poszła przywitać się z ojcem. Kiedy przekroczyła próg gabinetu, podniósł wzrok znad kartki i uśmiechnął się.

- Jak poszło?

- Dobrze. Wygrałam dość dużo, żeby zapłacić rachunki. – Przewróciła oczami, widząc jego minę. – Wiem, to grzeszne

pieniądze, ale bardzo się przydadzą, kiedy będzie trzeba zapłacić rachunek za prąd. – Położyła ręce na biodrach. – Gdyby Bóg nie chciał, żebym zagrała, nie pozwoliłby mi wygrać, prawda?

Ojciec się roześmiał.

- W porządku. Nic nie mówię. Dobrej nocy.

- Dobranoc, tato.

Wyszła, zamykając za sobą na drzwi.

Ojciec był na tyle bystry, żeby zauważyć, że między nią a J.C. znów nic nie zaszło. To dało mu nieco nadziei. Może nie będzie miał na nią tak złego wpływu, jak mu się zdawało.

Tydzień ciągnął się niemiłosiernie. Colie pisała mejle, drukowała dokumenty, umawiała klientów, sprawdzała pocztę, po prostu pogrążała się w pracy, by jak najmniej myśleć o J.C.

- Śniesz na jawie, moja droga – zauważyła jej koleżanka Lucy. – Chodzi o tego przystojnego faceta z Jukonu, prawda?

Colie nie zaprzeczyła, tylko skwitowała, kręcąc głową:

- Ach, te małe miasteczka...

- Rozmawiałam z kuzynem, który ma stację benzynową. J.C. często u niego tankuje. Ostatnio wspominał, że jedzie do Lander ze znajomą. A skoro nie ma żadnych znajomych...

- Ma. Mnie.

Lucy uśmiechnęła się, widząc łobuzerską minę Colie.

- W każdym razie, odgadliśmy, że J.C. zabrał cię do kasyna. Wygrałaś coś?

- Wystarczająco dużo, żeby zapłacić rachunek za prąd.

- Wiem, o czym mówisz. Musiałam na miesiąc odpuścić kręgle, bo przebiłam oponę i trzeba było ją wymienić. - Lucy westchnęła z żalem. - Ben jest taki wyrozumiały. Przejechałam po metalowych śmieciach, których nie zauważyłam na drodze, a on nawet nie mrugnął, tylko mnie pocałował i powiedział, że się cieszy, że nic mi się nie stało. Szczęściara ze mnie, że mam takiego męża.

- Wspaniała z was para - powiedziała Colie. - Jesteście do siebie bardzo podobni.

- Tak, a do tego znamy się od przedszkola.

- Myśleliście kiedykolwiek, żeby żyć ze sobą bez ślubu? - zapytała Colie, starając się przybrać lekki ton, jakby nie pytała o nic ważnego. A tak naprawdę wypuszczała sondę w przyszłość, na wypadek gdyby J.C. kiedyś podniósł ten temat.

- Nie, raczej nie - odparła Lucy. - Mój tata jest aptekarzem, więc gdybym spróbowała gdzieś kupić środki antykoncepcyjne, od razu by się dowiedział. Poza tym jest diakonem w kościele twojego ojca, a tutejsza społeczność nie idzie z duchem czasu. Jest trochę par, które nocami wymykają się do moteli w pobliżu Jackson Hole, ale mało kto po prostu mieszka razem. Ludzie wolą założyć rodzinę, mieć dzieci.

- Bardzo chciałabym mieć dzieci - powiedziała miękko Colie. - Niczego tak nie pragnę jak tego.

- Ben i ja też byśmy chcieli - odparła Lucy. - Ale uważamy, że nic na siłę. Postanowiliśmy dać sobie kilka lat, lepiej się poznać, i dopiero potem założyć prawdziwą rodzinę.

- Rozsądny pomysł.

- A co z tobą i J.C., jeśli można spytać?

Colie zawahała się, po czym odparła szczerze:

- Nie wiem, Lucy. J.C. otwarcie powiedział, że nie jest człowiekiem rodzinnym i nie chce mieć dzieci. – Przygryzła wargę. – Ludzi nie można zmienić. Trzeba ich zaakceptować takimi, jacy są. – Jej twarz była ściągnięta bólem. – Wciąż myślę, że gdybym nie zgodziła się pójść z nim na randkę...

- Nic by to nie zmieniło – przerwała Lucy. – Nie możemy zaplanować, że w tym się zakochamy, a w tamtym nie. Miłość dopada człowieka, tak to już działa. I każdego kiedyś to czeka.

Colie się roześmiała.

- Masz rację. To jak z rodziną. Ich też się nie wybiera.

Lucy spoważniała.

- Gdybyś zamieszkała bez ślubu z J.C., ojciec nieźle dałby ci w kość. Nie mówiąc o całej reszcie. W Catelow mieszka zaledwie kilka tysięcy, niczego nie da się ukryć.

- Wiem. Martwi mnie to. Lubię sobie wyobrazać, że powiedziałabym „nie”, ale...

- A może zechce to załatwić w tradycyjny sposób? – pocieszyła ją Lucy. – Wie, co sądzi na ten temat twój ojciec.

- To nie wystarczy. Wiesz, z tego, co rozumiem, J.C. nigdy nie zaznał życia rodzinnego. Gdy był małym dzieckiem, został sierotą.

- To straszne!

- Nikomu o tym nie mów – zastrzegła Colie.

- Znasz mnie. Pracuję da prawników – szepnęła Lucy, dyskretnie wskazując drzwi po obu stronach korytarza. –

Gdyby się dowiedzieli, że rozpowiadam ich sekrety, upiekliby mnie żywcem!

- Mam to samo – odparła ze śmiechem Colie. Zaraz jednak spoważniała. – J.C. nie wie, co to znaczy mieć szczęśliwą rodzinę. Myślę, że dlatego nie lubi się przywiązywać.

- Na pewno jest przywiązany do ciebie.

- Jak na razie, ale nie wiem, jak długo to potrwa. Bardzo się od siebie różnimy.

- Czy mogę coś zasugerować? Przestań starać się kontrolować swoje życie i ciesz się tym, co masz.

Colie westchnęła ciężko.

- Sama to sobie powtarzam. A potem przypominam sobie wzrok ojca, kiedy powiedziałam, że wychodzę z J.C., i znowu mam poczucie winy. Powiedział mi wtedy, że J.C. nie ma Boga w sercu. To może kiedyś okazać się problemem.

- W takich kwestiach trzeba znaleźć kompromis – powiedziała Lucy. – Mnie i Benowi się to udaje. Po prostu musicie wypracować taki model związku, który będzie pasował wam obojgu.

- Mam nadzieję. – Przymknęła na moment oczy, po czym wyszeptała: – Nie mogę z niego zrezygnować, Lucy. Już teraz za bardzo go kocham.

- Gdybyś kiedyś chciała porozmawiać, możesz na mnie liczyć – zapewniła Lucy. – Nie będę cię oceniać.

Colie się uśmiechnęła.

- Dzięki.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Zachowanie Rodneya stawało się coraz bardziej niezrozumiałe. Znikał z domu na całe dni, często wracał dopiero nad ranem. Pewnej nocy Colie wstała, żeby napić się wody. Kiedy stała ze szklanką nad zlewem, w drzwiach pojawił się Rodney. Oczy miał przymglone, a twarz zaczerwienioną.

- Wszystko w porządku? – zapytała z niepokojem.

- Co? W porządku? Jasne. – Mówił jakby z trudem. – Po prostu jestem zmęczony po długiej drodze. Jechałem aż z Jackson Hole.

- Ostatnio spędzasz tam wiele czasu – zauważyła z wyrzutem Colie.

Rodney zamrugął.

- Hm, tak. Muszę oglądać różne narzędzia i urządzenia. Dla sklepu.

Colie zastanowiła się, dlaczego sprzedawca w sklepie z narzędziami sam zajmuje się sprowadzaniem towaru. Zaraz jednak zganiała się w duchu za podejrzliwość. Może po prostu szef nałożył na niego nowe obowiązki? Postanowiła, że zaufa bratu.

Ale następnego dnia Rodney miał towarzystwo. Ojca nie było w domu; akurat pojechał odwiedzić w szpitalu jednego z parafian. Była sobota i Colie pracowała w kuchni, kiedy drzwi się otworzyły.

- Mogłabyś zrobić nam kawę? – zawołał od progu Rodney. – Mamy za sobą długą drogę. To mój znajomy, Barry Todd – dodał, przedstawiając jej milczącego mężczyznę w szarym garniturze. Był schludnie ubrany i uczesany, ale miał w sobie coś niepokojącego. Colie uznała, że nie można mu ufać.

- Jasne – odparła.

Rodney i jego tajemniczy gość znajomy poszli do salonu. Colie słyszała szmer rozmowy. Brzmiało to, jakby się kłócili. W pewnej chwili Rodney podniósł głos, a Barry Todd zgasił go ostrym, protekcjonalnym tonem.

Colie napełniła dwa kubki kawą i chciała zanieść je do salonu, ale Rod odebrał je od niej w drzwiach, podziękował i prawie wypchnął ją z powrotem do kuchni.

Zaskoczona i niepewna zajęła się gotowaniem.

Kiedy gość wyszedł, Colie zapytała o niego brata. Starła się przy tym nie zdradzić, że jest pełna złych przeczuć.

- Barry jest przedstawicielem firmy narzędziarskiej – odparł Rod, nie patrząc jej w oczy. – Robimy razem interesy. Zamierza rozszerzyć działalność i chciałby, żebym został jego lokalnym przedstawicielem.

- Rozumiem – odparła Colie. – Chcesz sobie dorobić?

Rod zawahał się na moment.

- Tak, dokładnie tak.

- Nie staniesz się konkurencją dla sklepu, w którym pracujesz? Twój szef nie będzie miał z tym problemu?

- Oczywiście, że nie – parsknął Rodney. – Co go obchodzi, co robię ze swoim wolnym czasem?

- Twój znajomy dobrze się ubiera...

- Tak, jest nieźle nadziany. Widziałaś jego samochód? To mercedes! A ja mam tylko starego forda. W porównaniu z jego furą wygląda tragicznie.

- Hej, najważniejsze, że jeździ. I jest dużo ładniejszy niż mój pikap!

- Miejsce twojego pikapa jest na śmietniku – oświadczył Rodney. – Wciąż nie wierzę, że mieli czelność ci go sprzedać.

- No już, już – uspokoiła go Colie. – Przecież nie mogę chodzić do pracy na piechotę.

Rod się nie uśmiechnął. Kiedyś był radosny i skory do żartów, jednak od jakiegoś czasu stał się rozdrażniony, niecierpliwy i przygnębiony.

- Wszystko w porządku? – zapytała z troską.

- Pewnie. – Szarpnął kołnierzyk koszuli. – Po prostu trochę mi gorąco.

- Ale przecież jest zimno...

- Tobie zawsze jest zimno – przerwał jej niecierpliwie. Obrócił się i już miał pójść do siebie, gdy nagle zatrzymał się i obejrzał. – Dalej spotykasz się z J.C.?

- Tak jakby – odparła zaskoczona tak nagłą zmianą tematu. – W zeszłym tygodniu byliśmy w kasynie w Lander.

- Założę się, że tacie się to nie spodobało – parsknął.

- Nie wtrąca się.

Rodney zmrużył oczy.

- J.C. się nie ustępuje. Musisz o tym wiedzieć.

- Wiem, Rod. – Przyglądała mu się przez chwilę. – Wiem, że w wojsku byliście blisko. Teraz prawie się nie spotykacie.

- Po prostu mamy inne zainteresowania – odparł z wyraźną niechęcią. – Jest taki praworządny. To pewnie przez jego przeszłość.

- Przeszłość? – zapytała Colie, zawsze ciekawa kolejnych strzępów informacji o J.C.

- Zanim wstąpił do wojska, pracował w policji – wyjaśnił Rodney. – Był dzielnicowym. Podobno wypowiedział wojnę damskim bokserom. Prawie wysłał jednego do szpitala! Ten drań pobił ciężarną żonę i zrzucił syna ze schodów. J.C. został wysłany na interwencję. Gdy tylko on i jego partner przekroczyli próg, facet się na nich rzucił. Na jego nieszczęście J.C. jest dużo silniejszy, niż na to wygląda.

- Nie wyobrażam sobie, jak można zrzucić dziecko ze schodów – szepnęła wstrząśnięta Colie.

- Facet brał dragi. Kretyn. Bierze się tyle, żeby mieć odlot, ale nigdy więcej.

Używał terminów, które Colie słyszała w pracy, gdy do jej szefa przychodzili klienci podejrzani o przestępstwa narkotykowe.

- Nie wiem nic o narkotykach – powiedziała na wszelki wypadek.

- I bardzo dobrze – odparł Rodney. – Co jest na obiad? – dodał, zmieniając temat.

- Kotlety mielone i purée ziemniaczane. A na deser zrobiłam tartę wiśniową.

- Brzmi świetnie! – Rod uśmiechnął się słabo.

- Zaraz się tym zajmę.

Odprowadził siostrę wzrokiem. Martwił się. Jeśli Colie

odkryje, co robi, i powie o tym J.C., to zaczną się poważne kłopoty. Mimo wieloletniej przyjaźni J.C. na pewno powiadomi policję. Był wyjątkowo cięty na ludzi, którzy brali narkotyki. A jeszcze bardziej na dilerów.

Colie żałowała, że nie wymieniła się numerami z J.C., kiedy miała okazję. Mogliby chociaż pisać SMS-y.

Zaraz przywołała się do porządku. J.C. nie wyglądał na kogoś, kto często ślepi w ekranik, koresponduje z tabunem znajomych lub gada przez komórkę. Tylko raz rozmawiali przez telefon, jeśli w ogóle można to tak nazwać. Zadzwoił do niej, kiedy pierwszy raz zaprosił ją na randkę. Powiedział, że spóźni się kilka minut, i rozłączył się. To była cała rozmowa.

Mimo wszystko Colie byłaby przeszczęśliwa, gdyby do niej zadzwonił. Ucieszyłaby się, słysząc jego głos, chociaż kilka słów. Ale nie zadzwonił, a jego kilka dni nieobecności zamieniło się w cały tydzień.

Wiedziała, że wciąż jest w Denver, bo w targach uczestniczył też kuzyn Lucy. Rozmawiając z nią przez telefon, wspomniał, że widział J.C., który rozmawiał z piękną platynową blondynką. Dodał, że może dlatego jeszcze nie wrócił do Catelow.

Colie natychmiast posmutniała. Cóż, mogła się tego spodziewać. Nie była piękna ani wyrafinowana. A przecież J.C. sam powiedział, że dziewczyna, w której się zakochał, wyglądała jak modelka.

Im dłużej o tym myślała, w tym większą wpadała w rozpacz. Zdążyła już sobie wymarzyć, że będzie z J.C. do końca życia, że dla niej zmieni zdanie na temat rodziny i dzieci. A teraz wszystkie te marzenia zmieniły się

w koszmar o platynowych blond włosach.

Gdyby mogła w tej chwili widzieć J.C., humor z pewnością by się jej poprawił. Jak to często bywa z plotkami, pogłoski na temat jego związku z blondynką były nie tyle nieprawdziwe, co niebotycznie wyolbrzymione. Spotkał na targach dawnego przyjaciela, którego poznał podczas jednego ze szkoleń na Biskim Wschodzie, Apacza, który nazywał się Phillip Hunter. Jego żona Jennifer była geolożką. Choć już dawno przekroczyła trzydziestkę i urodziła dwójkę dzieci, była tak piękna, że wszyscy odwracali za nią głowę. To właśnie z nią rozmawiał J.C., kiedy Hunter poszedł zamienić słowo z jednym z wystawców na temat najnowszego systemu monitoringu dla Ritter Oil Corporation, gdzie pracował jako szef ochrony.

Jennifer była równie konserwatywna co jej mąż i nigdy nie przyszłoby jej do głowy go zdradzić. Po prostu lubiła rozmawiać o swojej pracy z J.C., który również interesował się geologią. Kiedy był mały, ojciec często przynosił mu z pracy ciekawe kamienie i fragmenty skał.

Tęsknił za Colie, choć próbował sobie wmówić, że tak nie jest. Wiedział, że nigdy nie będzie mógł dać jej tego, o czym marzyła. Każdy inny mężczyzna byłby przeschczęśliwy, gdyby mógł nazywać ją swoją żoną. Ale rodzina, dzieci... to nie w jego stylu. Zbyt długo był sam.

Może nie powinien tyle o tym myśleć, tylko cieszyć się tym, co ma, i nie martwić się na zapas.

W tym momencie podszedł do nich Phillip Hunter. Wyraźnie starszy od Jennifer, z pewnością już przekroczył czterdziestkę. Choć jego włosy były przetykane siwizną, lata treningów sprawiły, że tężyzną fizyczną bił na głowę

niejednego dwudziestolatka. On i Jennifer mieli dwoje dzieci, córkę Nikki i syna Jasona. Wydawali się idealnie dobraną parą. J.C., który rzadko spotykał szczęśliwe małżeństwa, był pod wrażeniem. Jego przybrana rodzina była właśnie taka jak oni. Kiedy ich stracił, miał zaledwie jedenaście lat. Potem trafiał z domu do domu, ale żaden z nich już nie był tak miły i przyjazny, delikatnie mówiąc. Prawda była taka, że z tamtego okresu miał wiele złych i bolesnych wspomnień, którymi nie dzielił się nawet z Colie.

- To co, widzimy się na szkoleniu za dwa miesiące? - zapytał Phillip, mając na myśli Irak.

- Jasne - odparł J.C. - Lubię wyzwania.

- Lubisz ryzyko - poprawiła z uśmiechem Jennifer. - Sądzę, że znam kogoś takiego jak ty.

Phillip przyciągnął ją do siebie i cmoknął w czubek głowy.

- Masz rację, nie potrafię żyć bez ryzyka. Wiedziałaś o tym, kiedy braliśmy ślub, panienko z okładki.

- Tak, wiedziałam. - Przytuliła się do niego. - Nie potrafię sobie wyobrazić, że moje życie mogłoby wyglądać inaczej. Nie żałuję ani chwili.

- Ja też - odparł łagodnie jej mąż. Spojrzeli na siebie w sposób, który sprawił, że J.C. poczuł się nie na miejscu. Była w nim bliskość, której on sam nigdy z nikim nie doświadczył.

- Za to ty pewnie zostaniesz starym kawalerem - zażartowała Jennifer, spoglądając na J.C.

- Na to wygląda. - Westchnął teatralnie. - Nie jestem udomowiony.

Phillip roześmiał się serdecznie.

- Znajdźmy lepiej coś do jedzenia. Wszystkie te gadzety przypominają mi kuchenki, a kuchenki przypominają mi o pysznym żarełku – dodał, mrugając do Jennifer.

- Masz szczęście, że w końcu nauczyłam się gotować wodę!  
- odparła ze śmiechem.

To był ich prywatny żart. Jennifer była doskonałą kucharką.

To, jak dobrze się dogadywali, wciąż zaskakiwało J.C. Owszem, miał kochanki, ale nigdy nie poznał kobiety, z którą mógłby żartować czy choćby podyskutować na ciekawy temat. A potem pomyślał o Colie i o tym, jak łatwo im się rozmawiało. Przy niej czuł się szczęśliwy, bezpieczny. Dla mężczyzny, który uwielbiał ryzyko, to było nowe i zaskakująco przyjemne uczucie.

Odsunął od siebie tę myśl. W tej chwili nie chciał martwić się problemem pod tytułem Colie. Poza tym wiedział, że jeśli naprawdę zapragnie ją zdobyć, to osiągnie to bez większego trudu, bo ona po prostu na niego czeka. Nie interesowali jej inni mężczyźni, tak samo jak nie interesowała się też nimi Jennifer Hunter. Gdyby miał wyjawić, czego w życiu naprawdę jest pewien, to nasunęłyby mu się tylko jedna odpowiedź: że Colie należy do niego.

W tej samej chwili Colie umawiała się na spotkanie z księgowym, który przyjechał do Catelow, by przeprowadzić audyt ksiąg miejscowej spółki kredytowej. Nazywał się Ted Johnson i mieszkał w New Jersey. Był sympatycznym mężczyzną, kilka lat starszym niż Colie. Poznali się w barze z hamburgerami, kiedy sprzedawca pomylił ich zamówienia. Usiedli razem, nawiązali rozmowę i wkrótce odkryli, że wiele ich łączy.

- Słabo znam tę okolicę, ale słyszałem, że macie tu niezłe



kino – powiedział Ted. – Chciałabyś wybrać się ze mną na film? Spędzę tu tylko kilka dni, więc nie bój się, że ci się oświadczę – zażartował. – Poza tym właśnie próbuję nakłonić koleżankę z biura, żeby poszła ze mną na randkę. Dlatego od razu mówię, że to będzie przyjacielskie spotkanie.

- Rozumiem. Sama mam problem z pewnym mężczyzną, który nie chce zostać udomowiony – westchnęła Colie.

- Życie jest trudne. – Ted wyszczerzył się w uśmiechu. – A zatem co powiesz na to, żebyśmy wybrali się do kina i utopili nasze smutki w coli i popcornie?

- Bardzo chętnie!

To był przyjemny wieczór. Żadnej presji, żadnego pociągu fizycznego; po prostu dwoje ludzi razem spędza czas. Kiedy wrócili do domu, Ted wszedł razem z Colie i zaproponował jej ojcu partię szachów.

Pastor ucieszył się, widząc Colie w towarzystwie spokojnego, sympatycznego młodzieńca. Kto wie, jak to się skończy, pomyślał w duchu.

Ted rozgromił go w kilku ruchach.

- Wybacz – powiedział ze śmiechem. – Byłem mistrzem szachowym uczelni. Pewnie powinienem wcześniej o tym wspomnieć.

- Powinieneś, młody człowieku – zgodził się z uśmiechem wielebny Thompson. – Jesteś doskonałym szachistą. To było przyjemne wyzwanie.

- Jeśli kiedyś wrócę w te strony, chętnie wpadnę na rewanż. To był naprawdę miły wieczór – dodał, zwracając się do Colie. – Gdybym już nie miał innych planów, wróciłbym i załatwił to jak należy. Róże, czekoladki, serenady...

- Dzięki, to miło z twojej strony – odparła rozbawiona.

Ted wzruszył ramionami.

- Jestem okropnym tradycjonalistą.

- Nasz świat opiera się na tradycji – oznajmił pastor. –  
Mody i zachcianki nie wytrzymują próby czasu.

- To prawda. No to do zobaczenia!

- Do zobaczenia. – Colie zamknęła drzwi i obróciła się do  
ojca, który wyglądał na rozczarowanego.

- Ma sympatię? – zapytał.

- Robi, co może, by go wreszcie zauważyła. Jest bardzo  
miłym mężczyzną.

- To prawda. – Ojciec westchnął. – Cóż, powinienem wracać  
do pracy nad kazaniem.

- A ja posprzątam w kuchni i pójdę się położyć. Jutro będzie  
ciężki dzień. Mnóstwo klientów.

- To dobrze, że biznes się kręci.

- Bardzo dobrze – przytaknęła z uśmiechem. – Jeśli mojemu  
szefowi dobrze się powodzi, to i dla mnie zawsze będzie  
praca.

Pastor odwzajemnił jej uśmiech i zniknął w gabinecie.

J.C. zostawił bagaże w swojej chatce i poszedł do głównego  
domu, żeby opowiedzieć Renowi o targach.

Merrie, żona Rena, właśnie kołysała ich synka.  
Uśmiechnęła się na powitanie.

- Zrobiliśmy z Delsey ciasto. Jest też kawa, jeśli masz  
ochotę. Ja muszę pójść położyć Toby'ego.

- Urósł, odkąd widziałem go po raz ostatni – zauważył J.C.

- Tylko patrzeć, jak nauczy się prowadzić i rozbije mi samochód – parsknął Ren, wchodząc do salonu. Pocałował syna w czoło i cmoknął policzek żony.

- Zaraz wracam – powiedziała jeszcze Merrie, po czym wyszła.

Ren usiadł z J.C. przy kuchennym stole. Za oknem padał gęsty śnieg.

- Przy tej pogodzie mamy pełne ręce roboty – powiedział. – Trzeba dowozić paszę na północne pastwiska.

- Tak, można się było tego spodziewać.

- Znalazłeś na targach coś, co cię zainteresowało?

J.C. wyjął kilka broszur reklamowych i przejrzał je razem z Renem.

- Podoba mi się ten nowy system rozpoznawania twarzy – powiedział J.C., wskazując statystyki. – Gdybyśmy go mieli, kiedy tamten zabójca polował na Merrie, oszczędziłby nam sporo wysiłku. – Miał na myśli czasy, kiedy Merrie i jej siostra znalazły się na celowniku płatnego zabójcy.

- Tak, na pewno by pomógł. Ale wtedy udało mu się obejść nasze zabezpieczenia. Czy tym razem nie byłoby tak samo?

- Wprowadziłem nowy, lepszy system. To się nie powtórzy.

- Okej. – Ren skinął głową. – Ile kosztuje?

J.C. wymienił cenę i dodał:

- To prawda, jest drogi, ale ma dziesięcioletnią gwarancję.

- Jest wart swojej ceny – zgodził się Ren. – Dobrze. Zamów go.

- Zaraz się tym zajmę.

- Coś jeszcze przyciągnęło twoją uwagę?

- Sporo rzeczy. Głównie robotyka, tyle że nie jestem jej wielkim fanem. Telefon to mój ulubiony gadżet i nie chcę go na nic wymieniać.

- Ja też lubię mój. - Ren spojrzał na J.C. i niespodziewanie zmienił temat: - O co chodzi z tobą i tą blondynką? Myśleliśmy, że spotykasz się z Colie.

- Blondynką...? - J.C. szeroko otworzył oczy. - Ach! - Roześmiał się z ulgą. - Spotkałem na targach Phillipa Huntera. To mój stary znajomy, dyrektor do spraw bezpieczeństwa w Ritter Oil Corporation w Houston. Jego żona, Jessica, zrobiła doktorat z geologii. Mamy wspólne zainteresowania. Pewnie ktoś zobaczył, jak rozmawiamy.

- Rozumiem.

- Niech to szlag - mruknął J.C. - Jeśli plotki dotarły do ciebie, to pewnie też do Colie.

- Nic o tym nie wiem. - Ren napił się kawy. - Ale wiem, że spotkała się z księgowym z New Jersey.

Filizanka wyslizgnęła się z dłoni J.C. Wytarł rozlaną kawę, mamrocząc przeprosiny.

- Wszystko wskazuje na to, że słyszała o blondynce - dodał Ren, skrywając rozbawienie. Najwyraźniej J.C. nie podejrzewał, że jego dziewczyna może umówić się z kimś innym.

J.C. dopił kawę i powiedział:

- Lepiej wróć do pracy.

- Willis ma do ciebie sprawę - dodał Ren. - Kiedy cię nie było, ktoś włamał się do jednej ze stróżówek. Willis uważa, że

włamywacz po prostu chciał się ukryć przed zamiecią, bo nic nie zostało skradzione. Mimo wszystko lepiej się upewnić.

- Zbadam tę sprawę.

Wychodząc z domu, J.C. był pogrążony w myślach. Colie umówiła się z innym mężczyzną. Czy kiedy usłyszała o Jennifer, pomyślała, że nie traktuje jej poważnie? Wiedział przecież, że za nim szaleje. Nie spotkałaby się z innym, gdyby nie doszła do wniosku, że na niego nie może już liczyć. Jennifer była oszałamiająco piękna i jeśli Colie się o tym dowiedziała, to z pewnością uznała, że ją rzucił, bo nie jest dość ładna. A wszystko z powodu bardzo niskiej samooceny.

Wsiadł do SUV-a, uruchomił silnik, włączył wycieraczki... i zawahał się. Najpewniej to była ostatnia okazja, następna mogła się już nie powtórzyć. Może sprawić, by Colie uwierzyła, że on spotyka się z kimś innym.

Ale to byłoby kłamstwo. Liczyła się tylko Colie. Nigdy dotąd nie poznał kobiety, z którą mógłby rozmawiać, przed którą mógłby otworzyć serce. Aż do czasu, kiedy pojawiła się Colie. Przelotne romanse pozbawione były emocjonalnej bliskości. Brał, co chciał, a potem szedł po następną zdobycz. Ale Colie nie zgodziłaby się na taki układ. Pragnęła i potrzebowała zaangażowania. A on nie wiedział, czy potrafi jej to zapewnić.

Z drugiej strony, odkąd zaczął spotykać się z Colie, nawet nie spojrzał na inne kobiety. Nie wyobrażał sobie, żeby któraś z jego poprzednich kochanek mogłaby zająć jej miejsce. Była dobra, miła i wrażliwa. Obudziła w nim emocje, z których istnienia nie zdawał sobie sprawy.

Powinien zakończyć to teraz, zanim będzie za późno. Dawanie jej nadziei na trwały związek byłoby okrutne. Prędzej czy później trafią do łóżka, a kiedy to się stanie, być

może nie zdobędzie się na to, by z nią zerwać. Ta myśl go przerażała. Jego biedna matka zginęła, bo pozwoliła, by emocje wzięły górę nad rozsądkiem. Pokochała mężczyznę, który ją skrzywdził. J.C. na własne oczy widział, co miłość może zrobić z człowiekiem. Miłość nierozzerwalnie łączyła się z cierpieniem, a on nie chciał ani jednego, ani drugiego.

Gdyby mógł uprawiać z Colie seks i cieszyć się jej bliskością bez emocjonalnego zaangażowania, przez jakiś czas zapewne mogliby być razem. Jej ojciec oczywiście miałby córce to za złe, ale Colie jest dorosłą kobietą i nie musi nikomu się tłumaczyć ze swoich decyzji. Mogliby cieszyć się sobą nawzajem, póki namiętność nie wygaśnie, a potem ruszyć dalej. Musiał się tylko upewnić, że Colie zdaje sobie sprawę, że ich związek nie będzie trwał wiecznie.

Nie uświadamiał sobie, że na samą myśl o tym, że Colie umawia się z innym mężczyzną, pożerała go zazdrość. Nie wiedział, że ktoś, kto nie jest zaangażowany emocjonalnie, nigdy by w ten sposób nie zareagował.

Colie jadła lunch w kawiarni, gdy nagle wysoki i buchający złością mężczyzna usiadł naprzeciwko niej.

Na moment zaparło jej dech.

- O co chodzi z tym księgowym?! - spytał gniewnie J.C., a jego oczy błyszczały niebezpiecznie.

Colie wpatrywała się w niego z filiżanką zastygłą w połowie drogi do ust. Po kilku sekundach otrząsnęła się i odłożyła ją na spodeczek.

- Księgowym? Powiedz mi lepiej, o co chodzi z tą piękną blondynką w Denver.

J.C. poczekał, aż kelnerka odbierze jego zamówienie.

- Jennifer Hunter – odparł spokojnie. – Jest żoną Phillipa Huntera, dyrektora ochrony w Ritter Oil Corporation. Razem prowadzimy szkolenia w Iraku. – Patrzył, jak policzki Colie pokrywają się ciemnym rumieńcem. – Mają dwoje dzieci. – Gdy Colie wbiła wzrok w talerz, spytał: – A księgowy?

- Zaleca się do koleżanki z pracy. – Wzruszyła ramionami. – To było czysto przyjacielskie spotkanie.

J.C. skinął głową, po czym ujął dłoń Colie.

- Byłem zazdrosny – powiedział, zaskakując sam siebie, bo nie zamierzał się do tego przyznawać.

- Hm... Też byłem zazdrosna, kiedy usłyszałam o blondynce.

- Dwoje nieufnych idiotów – mruknął J.C.

Colie spojrzała mu w oczy... i odniosła wrażenie, że ziemia zatrzęsała jej się pod nogami.

- Tęskniłem za tobą – wyszeptał J.C. Jemu też mocniej zabiło serce.

- I ja za tobą.

Siedzący blisko nich zaciekawieni i rozbawieni ludzie udawali, że wcale im się nie przyglądają. Wszyscy w Catelow kochali Colie, natomiast J.C. wzbudzał zainteresowanie. Nie był stąd, jednak lokalna społeczność go zaakceptowała. Oznaczało to tyle, że nikt nie darzył go wrogością i odnoszono się do niego z należnym każdemu porządnemu człowiekowi szacunkiem, ale zależnie od okoliczności, błyskawicznie mogło to się zmienić.

Kiedy dokończyli posiłek, J.C. zaprowadził Colie do SUV-a.

- Ale ja muszę wracać do pracy... – zaprotestowała słabo,

gdy wyjeżdżali z miasta.

- Ile jeszcze zostało ci przerwy?
- Dziesięć minut.
- W takim razie szybki deser i wracamy.
- Deser?

Zaparkował na opustoszałym parkingu, wyłączył silnik i pochylił się do Colie.

- Deser – wyszeptał i pocałował ją.

Otoczyła ramionami jego szyję i przylgnęła do J.C., nadrabiając entuzjazmem braki w doświadczeniu. Całowali się i całowali, aż brakło im tchu.

- Nienawidzę się z tobą rozstawać – szepnął w jej nabrzmiące od pocałunków usta.

- Ja też – zdołała odpowiedzieć Colie, wtulając się w niego.  
- Nawet do mnie nie zadzwoniłeś! – dodała z wyrzutem.

- Co miałbym ci powiedzieć? Jestem samotny, tęsknię za tobą, żałuję, że cię tu nie ma? I co by mi z tego przyszło?

- Bardzo dużo – odparła z pretensją w głosie. – Na przykład nie uwierzyłabym w plotkę o blondynce!

Parsknął śmiechem.

- Colie, odkąd zaczęłaś mnie nawiedzać, nawet nie spojrzałem na inną kobietę. Wciąż czuję, że jesteś gdzieś blisko, nawet gdy tak nie jest. – Gdy przytuliła go mocniej, zapytał tonem, który był jednocześnie żartobliwy i poważny: – Pewnie nie możesz zadzwonić i powiedzieć szefowi, że boli cię głowa i pojechać do mnie?

- Uwierz, bardzo bym chciała, ale nie ma nikogo, kto



mógłby mnie zastąpić, a biuro pęka w szwach od klientów.

- Ty i ta twoja odpowiedzialność – skwitował.

- Ty i twoja – odgryzła się.

Uniósł głowę, a jego oczy były pełne czułości.

- Nie lubię rozmawiać przez telefon – powiedział. – To głęboko zakorzeniony lęk.

- Rod powiedział, że zanim wstąpiłeś do wojska, pracowałeś w policji.

- Pewnie dlatego nie lubię telefonów. Zwykle na drugim końcu rozgrywała się jakaś tragedia.

- Dalej to robisz. – Pogładziła go po policzku.

- Co robisz? – Złapał jej rękę i pocałował.

- Opiekujesz się ludźmi, tyle że teraz opiekujesz się ludźmi z rancza zamiast mieszkańcami miasteczka.

- Nie myślałem o tym w ten sposób – odparł z uśmiechem.

Odwzajemniła uśmiech, mówiąc przy tym:

- Naprawdę muszę już wracać.

- Wiem.

Znowu ją pocałował, ale tym razem w inny sposób niż do tej pory. Jego usta ledwie dotykały jej warg w delikatnej, czulej pieśczoce. Kiedy podniósł głowę, Colie ujrzała w jego oczach coś, czego dotąd tam nie było.

- Co powiesz, żeby wyjść dzisiaj na miasto? – zapytał, kiedy zegnali się przed kancelarią.

- O której?

- O szóstej. Miałabyś trochę czasu, żeby zrobić obiad dla

Roda i ojca.

- Dobrze. Gdzie pójdziemy?
- Gdziekolwiek zechcesz, moja droga.

Colie znów się zaczerwieniła.

- Dobrze. – Pobiegała do kancelarii.

J.C. odprowadził ją wzrokiem. Wiedział, że to, co do niej czuje, zaczyna wymykać się spod kontroli. Miał wrażenie, jakby spadał w przepaść... a to znaczyło, że pewnego dnia czeka go twarde lądowanie. Mimo to nie potrafił przestać.

Wrócił na ranczo, myśląc o wszystkim, tylko nie o pracy.

Colie odwiesiła płaszcz i usiadła za biurkiem. Jej oczy błyszczały, nie potrafiła opanować ekscytacji.

- J.C. wrócił – odgadła Lucy.
- Tak... A ta blondynka jest żoną jego przyjaciela. Mają dwoje dzieci.
- Och, dzięki Bogu – odparła Lucy. – Naprawdę nie chciałam ci o tym mówić. Jest mi wstyd, że rozpowiadałam plotki.

- Nie przejmuj się. Wszyscy wiedzą, że plotkowanie to świetna zabawa.

Lucy się roześmiała.

- Nie musisz mi tego tłumaczyć! – Usiadła za biurkiem. – Cieszę się, że wam wyszło.

Colie podniosła dokumenty, które szef kazał jej przepisać, ale zadumała się nad czymś całkiem innym.

- Nie jestem pewna, czy nam wyszło. To znaczy J.C. był zazdrosny, ale nie na tyle, żeby myśleć o czymś więcej. – Ze

smutkiem popatrzyła na Lucy. – Myślę, że w życiu chodzi o to, żeby cieszyć się tym, co mamy. I nie zapłacić za to zbyt wysokiej ceny.

– Ejże! – Lucy zmarszczyła brwi. – Nie bądź taką pesymistką.

Colie westchnęła.

– Moja babcia miała przeczucia. Wiedziała, kiedy komuś stanie się krzywda, kiedy zdarzy się coś złego. Ja nie potrafię przeczuwać przyszłości, ale czasem czuję ciężar nieszczęść, które na mnie czekają. – Podniosła wzrok. – J.C. i ja bardzo się różnimy. Nie wiem, czy mamy szansę na szczęśliwe zakończenie.

– Jeśli nie spróbujesz, nigdy się nie przekonasz.

– Pewnie masz rację. – Colie zobaczyła, jak do kancelarii wchodzi czterech klientów. – No, lepiej bierzmy się do pracy, albo będziemy szukać nowej! – Wstała, by ich przywitać.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Rodney siedział przy stole kuchennym, patrząc, jak Colie przygotowuje kolację. Był cichy i markotny.

- Nie powinnaś spotykać się z J.C. – powiedział nagle.
- Dlaczego?
- Jest samotnikiem.
- Tak jak ja.

Rodney zacisnął zęby.

- Jest bezwzględny. Jeśli kiedykolwiek przekroczysz granicę, zrobisz coś, co mu się nie spodoba, zostawi cię bez mrugnięcia okiem.

Colie przerwała rozgniatanie ziemniaków.

- To właśnie przytrafiło się tobie? – Gdy brat nie odpowiedział, ponagliła go: – Rod, pytałam o coś.
- Po prostu powiedziałem, że mój znajomy lubi palić trawę, a ja nie widzę w tym nic złego. Dlatego J.C. już nie chce się ze mną spotykać.

Serce skoczyło jej do gardła.

- Rod, narkotyki są złe! Codziennie widzę w pracy, co robią z ludźmi. Niszczą rodziny, zabijają ludzi. Marihuana to tylko pierwszy krok.

- W takim razie powinni ją zalegalizować. Wtedy nie będzie sprawiać problemów.

- Słyszałeś, co do ciebie mówiłam? Wszystko, co zmniejsza

twoją czujność w czasie jazdy, może spowodować wypadek! Wyobraź sobie, co by było, gdyby narkotyki były legalne i ludzie mogliby je zażywać, kiedy tylko najdzie ich ochota. Koszmar!

- Zawsze zakładasz najgorsze scenariusze - skwitował niechętnie. - Narkotyki jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziły, gdy zażywa się je sporadycznie i traktuje jak rozrywkę.

Colie spojrzała na brata z oburzeniem, a on odwdzieczył się tym samym.

W tym momencie do kuchni wszedł ojciec.

- Coś tu ładnie pachnie - zauważył.

- Stek i purée ziemniaczane. Dzisiaj obiad będzie trochę wcześniej, bo idę na miasto z J.C. - Mówiąc to, Colie patrzyła z naciskiem na ojca. To, czy pozwoli jej pójść, było poza dyskusją.

Pastor uśmiechnął się smutno.

- Dobrze - odparł. - To miło z twojej strony, że zrobiłaś nam wcześniej obiad. Mogliśmy sobie coś odgrzać. Nie przeszkadzałoby mi to.

- Mnie też nie - dodał poniewczasie Rodney. - Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili, siostrzyczko.

- Dalibyście sobie radę.

- Umarlibyśmy z głodu - sprzeciwił się Rod. - Ja nie potrafię nawet ugotować wody. A ty... wciąż pamiętam tamten straszny dzień, kiedy próbowałeś zrobić śniadanie - dodał, zwracając się do ojca.

Wielebny się skrzywił.

- Cóż, chodziłem do seminarium, nie do szkoły kulinarnej.

Przynajmniej potrafię zrobić zapiekankę.

- Tak, pamiętam, nawet niezła, trzeba tylko oskrobać zwęglone kawałki.

Wielebny Thompson się roześmiał.

- Tak, to na pewno pomoże.

- Smacznego. - Colie postawiła na stole dwa talerze. - Muszę przygotować się do wyjścia. J.C. ma przyjechać o szóstej. Pójdziemy zjeść coś, czego nie musiałam sama ugotować.

- Dziś kucharka ma wychodne. - Pastor pokiwał głową. - Na pewno na nie zasłużyłaś. Pyszny obiad, Colie.

- Dzięki, tato. - Cmoknęła go w czoło, pomachała Rodowi i poszła się przebrać.

Tym razem przyjechał punktualnie. Colie zarzuciła płaszcz i podbiegła do SUV-a. J.C. zamknął za nią drzwi i usiadł za kierownicą.

- Oho, ktoś tu chyba ma kłopoty - rzucił półzartem.

- Właśnie ich uniknęłam - odparła Colie. - Rod i ja trochę się pokłóciliśmy. Nie mam pojęcia, co ostatnio w niego wstąpiło. Zachowuje się... dziwnie.

J.C. nie odpowiedział. Wyjechał na główną drogę i ruszył w stronę rancza Rena.

- Też to zauważyłeś, ale nie chcesz źle mówić o swoim przyjacielu - stwierdziła po jakimś czasie Colie. A gdy J.C. uniósł brwi, dodała, wzruszając ramionami: - Wiem, jestem dziwna.

- Myślę, że masz niezwykły dar - poprawił z uśmiechem. - Nie uważam, żebyś była dziwna.

- Dzięki. - Odwróciła się do niego. - Wiesz, uwielbiam słuchać twojego głosu - wyznała. - Jest jak aksamit. Bardzo... no wiesz, seksowny.

J.C. parsknął śmiechem.

- Pierwsze słyszę.

- Rozumiem. Kobiety na okrągło mówią o tym, jaki jesteś przystojny, że zapominają o tym wspomnieć?

- Po prostu zwykle za dużo z nimi nie rozmawiam.

Colie zamilkła.

J.C. zacisnął dłonie na kierownicy.

- Mogłem to lepiej ująć. Przepraszam. Nie chciałem cię urazić.

- Nic się nie stało. Wiem, że miałeś inne kobiety.

- To już przeszłość - stwierdził zdecydowanym tonem. - Odkąd się pojawiłaś, nawet nie spojrzałem na inną. Mówiłem ci o tym, i mówiłem szczerze. Nigdy nie kłamię.

- Też staram się nie kłamać, choć nie zawsze jest to takie proste. Na przykład nie powiedziałam pani Joiner, że jej sukienka jest zbyt obcisła i za krótka jak na kobietę w jej wieku, i że w słońcu wszystko pod nią widać. Hm, może to było nie tyle kłamstwo, co zatajenie prawdy...

J.C. uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Jak rozumiem, pani Joiner chodzi do twojego kościoła?

- Nie. Jest pianistką - odparła Colie. - Zwykle potrafi się zachować, ale kuzynka podarowała jej sukienkę i nie chciała zranić jej uczuć, więc założyła ją do kościoła. - Skrzywiła się.

- To naprawdę smutna sprawa. Nic nie powiedziałam, ale zrobił to dyrektor chóru, a pani Joiner uciekła z płaczem. Tata

musiał załagodzić sprawę. Jest w tym dobry.

- Ma dobre serce. Szanuję go.

Colie żałowała, że jej ojciec nie czuje tego samego do J.C. Nigdy nie powiedział, że pochwała ich związek.

- Twój ojciec mnie nie lubi – stwierdził J.C., jakby czytał jej w myślach.

- Nie o to chodzi. Wie, że nie jesteś wierzący. Uważa, że sprowadzasz mnie na złą drogę.

- Robię, co w mojej mocy. – Uśmiechnął się szeroko.

- Przynajmniej stawiasz sprawię jasno. – Rozbawiona Colie. Wyjrzała przez okno na ośnieżoną drogę. – Czy mogę spytać, gdzie jedziemy? Do Denver?

- Jedziemy do mnie na gulasz z dziczyzny.

Serce skoczyło jej w piersi.

- Do ciebie?

- Tak, do mnie. To ładny dom, czy może raczej chata. Dwie sypialnie, dużo przestrzeni. Kupiłem go od Rena. Nigdy dotąd nie miałem własnego domu i jestem z niego dumny.

- A gulasz?

- Poszedłem na polowanie i ustrzeliłem jelenia. – Uśmiechnął się. – Moja babka robiła doskonały gulasz. Nauczyła mnie gotować.

- Pewnie uznała, że to przydatna umiejętność. To ta, która miała wizje?

- Tak.

- Czy ktoś z pokolenia z twoich dziadków jeszcze żyje?

- Nie, umarli stosunkowo młodo.



- Moi też. Żałuję, że nie miałam czasu lepiej ich poznać. Moja babka była zielarką. Znała wszystkie rośliny lecznicze i wiedziała, do czego służą. Kiedy byliśmy chorzy, leczyła nas domowymi sposobami. Zmarła, kiedy byłam w szkole podstawowej.

- Mój dziadek też był zielarzem. Większość tradycyjnych lekarstw wciąż można dostać w aptekach, tyle że w postaci tabletek i pod inną nazwą.

- To prawda. Ojej, jak tu pięknie! – zawołała Colie, kiedy wjechali na ścieżkę między wysokimi sosnami. W środku gęstego lasu, za tło mając góry, stał dom. W oknach paliły się światła, a z komina unosił się dym. Przykryty grubą warstwą śniegu, wyglądał jak z kartki świątecznej.

- Też tak uważam – odparł z uśmiechem J.C. – Ociepliłem ściany, więc w środku zawsze jest ciepło, nawet gdy nadejdą mrozy.

Drewniany dom przypominał sporą wiejską chatę. Z przodu miał szeroką werandę, na której stały dwa bujane fotele. Były też doniczki, puste o tej porze roku. Colie zastanowiła się, czy na wiosnę zasadzi w nich kwiaty.

W środku dom był urządzone w ciepłych, przytulnych barwach. Zasłony miały odcień ciemnego brązu. Tu i ówdzie leżały wzorzyste dywany. Na jednej ścianie wisiał łapacz snów, na innej łuk i strzały. Nad kominkiem wisiał portret wysokiego mężczyzny, który stał w śniegu otoczony przez wilki. Kiedy Colie się zbliżyła, rozpoznała w nim J.C. Jego szare oczy emanowały smutkiem i samotnością.

- Wow. – To było wszystko, na co mogła się zdobyć. Portret naprawdę odkrywał jego duszę.

- Sporo pokazuje, co? – skomentował J.C. – Merrie, żona

Rena, jest malarką. Ma rzadki talent, potrafi dostrzec i uchwycić prawdziwą naturę człowieka. Dlatego trochę trwało, zanim namówiła mnie, żebym zgodził się jej pozować. Nie chciałem publicznie się obnażać, zdradzać, co mam w środku.

- To nie jest publiczne miejsce - zauważyła Colie. - Przypuszczam, że nie zapraszasz tu zbyt wielu ludzi.

- Ren i Merrie przyszli kiedyś na gulasz z dziczyzny - przypomniał sobie J.C. - Od czasu do czasu grywam też w pokera z Willisem. Przyprawdza wilka, który siada w kącie i warczy, jak tylko się poruszę.

- Willis? Zarządca rancza? - zapytała Colie, a J.C. przytaknął głową. - On ma wilka?!

- Owszem. Biedne zwierzę ma trzy nogi, a Willis jest licencjonowanym opiekunem dzikich zwierząt. Z tak poważną niepełnosprawnością wilka nie można było wypuścić na wolność, więc Willis go zatrzymał. Cholerna bestia sypia z nim w łóżku - dodał. - Nic dziwnego, że wciąż jest kawalerem.

Colie się uśmiechnęła.

- Lubię wilki, chociaż widziałam je tylko na odległość. Są takie wielkie!

- To prawda, są duże, a w stadzie mogą być niebezpieczne dla człowieka.

- Wilk Willisa cię nie lubi?

- Jest zazdrosny o swojego kumpla. Lubi tylko jego i Merrie.

- Żonę Rena - upewniła się Colie. - Tę, która maluje.

- Tak. Kiedy po raz pierwszy odwiedzili Willisa, wilk od razu podszedł do niej i położył łeb na jej kolanach. Ma rękę do zwierząt.

- Żałuję, że nie mogę mieć więcej zwierzątek - powiedziała ze smutkiem.. - Kiedy mama jeszcze żyła, prowadziliśmy przejściowy azyl dla miejscowego schroniska. Przez nasz dom przewijały się wszystkie możliwe zwierzęta. Ale tata mówi, że jeden kot wystarczy.

- Taak... - J.C. się uśmiechnął. - Jeden kot wielkości Toma naprawdę wystarczy.

Odwzajemniła uśmiech.

- Byłam bardzo zdziwiona, kiedy go przyniosłeś. Nie spodziewałam się tego.

- Wiem. - Wyszczrzył zęby. - To nie było zaplanowane. Po prostu pewnego dnia się do mnie przykleił. Rod powiedział, że masz urodziny i że lubisz koty, więc postanowiłem upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

- Jest kochanym zwierzątkiem. Tata z początku nie był do niego przekonany, ale polubił go, kiedy Tom złapał w kuchni mysz.

- Twój ojciec lubi koty?

- Tak i nie. Zdecydowanie woli ludzi, ale wobec zwierząt nigdy nie jest okrutny.

- Rod też nie kocha zwierząt - zauważył J.C.

- To prawda. Skąd wiesz?

- Przez coś, co wydarzyło się w wojsku - odparł wymijająco.

Te słowa przeraziły Colie. Rod łatwo wpadał gniew i nie potrafił nad sobą panować. Co, jeśli zrobił coś złego?

J.C. zauważył jej spojrzenie.

- Przepraszam, nie powinienem tego mówić. Teraz będziesz się zamartwiać.

- Nie, spokojnie. Wiem, że Rod bywa wybuchowy. Kiedyś mama okropnie się na niego pogniewała za coś, co zrobił jednemu z psów ze schroniska. Nie wiem, co dokładnie się stało, bo nikt nie chciał mi powiedzieć. Niedługo potem mama zmarła i nie mieliśmy więcej zwierząt. Aż do czasu, kiedy dostałam od ciebie Toma.

- Niektórych ludzi lepiej trzymać z dala od zwierzaków – skwitował J.C. – Chcesz chleba do gulaszu?

- Nie, dziękuję. Sam gulasz wystarczy. Nie lubię napychać się na wieczór. Potem nie mogę zasnąć.

- Doskonale to rozumiem. Sam często nie mogę zasnąć. Rzadko zdarza mi się przespać pięć godzin. Mogłabyś mi podać rondel?

Colie podała mu czerwony, nieskazitelnie czysty rondel.

- Bardzo dbasz o domu – zauważyła.

- Staram się. Pierwsze, czego uczy się w wojsku, to zachowywać wokół siebie porządek. Nikt nie chce podpaść podczas inspekcji.

- Na pewno grozi za to surowa kara.

- Tak. Pomoc w kuchni. Obieranie ziemniaków. – Wzdrygnął się teatralnie.

- Uwielbiam ziemniaki.

- Zwykle obywam się bez nich, tylko czasami mam ochotę na frytki.

Colie patrzyła, jak J.C. podgrzewa gulasz. Pachniał

niebiańsko. Kiedy postawił talerze na stole, nie mogła się doczekać, żeby sięgnąć po pierwszy kęs.

Zjedli w przyjaznej ciszy.

- Przepyszny – skomentowała Colie. – Potrafię zrobić gulasz wołowy, ale boję się dziczyzny.

- Dlaczego?

- Trudno ją dobrze przyrządzić. To suche mięso.

- Tak, to prawda. Babka nauczyła mnie, jak sobie z tym radzić. Mam też książkę kucharską, która należała do mojej babki od strony matki – dodał. – Niektóre przepisy pochodzą z początku dwudziestego wieku. Bóg wie, ile osób z niej korzystało, zanim trafiła do mnie. Są w niej przepisy na wszelkiego rodzaju dziczyznę.

- Chciałabym ją zobaczyć.

- Pokażę ci ją. Nie dzisiaj – dodał, uśmiechając się szeroko.

- Dziś jest wieczór wrestlingu.

Colie uniosła brwi.

- Wrestlingu?

- Tak, WWE. – Gdy wyraz twarzy Colie nie zmienił się, spytał: – Nie masz pojęcia, o czym mówię prawda? Słyszałaś kiedyś o Dwayne Johnsonie?

- Och! Podkładał głos pod Maui w kreskówce, „Moana”.

Uwielbiam go!

- Zaczynał jako The Rock w WWE.

- Był zapaśnikiem?

- Tak. Szkoda, że nie pojawia się już na ringu, ale jest równie dobrym aktorem. Wystąpił w „Górze czarownic”.

Widziałem ten film z dziesięć razy.

- Pamiętam go z filmu „Agent i pół”. - Colie się rozpromieniła. - Nie miałam pojęcia, że był zapaśnikiem. Pewnie zacznę oglądać transmisje.

- To brutalny sport. Ludzie mówią, że wszystko jest ustawione, ale na ringu zdarzają się bardzo poważne kontuzje. Zarówno u mężczyzn, jak i u kobiet.

- Teraz naprawdę mnie zaciekawieś.

- Weź swoją kawę i chodź do salonu. Już prawie czas.

Colie poczekała, aż J.C. odłoży naczynia do zlewu, i poszła za nim. Usiedli razem na dużej, wygodnej kanapie.

- Mówieś, że nie masz telewizji - zauważyła.

Uśmiechnął się przebiegle.

- Zawsze mówię ludziom, że jej nie mam. Dzięki temu nie muszę słuchać, kiedy zachwycają się konkursami talentów i talk-show.

- Wiem, o czym mówisz. My oglądamy tylko filmy i jeden serial na BBC. Występuje w nim ten aktor, który grał w „Hobbicie”.

J.C. włączył telewizor i wybrał kanał sportowy.

- Mówisz o „Sherlocku”?

- Tak!

- To mój ulubiony serial. Jeden z niewielu, jakie oglądam.

- Mały jest ten świat - zauważyła z uśmiechem Colie.

- Bardzo mały. Chodź tu do mnie. Przytul się. - Posadził ją sobie na kolanach i pocałował jej włosy.

Colie zamruczała z zadowoleniem. Po tym, jak nie widzieli

się przez prawie tydzień, czuła się, jakby wróciła do domu. Położyła głowę na piersi J.C. i słuchała bicia jego serca. Pachniał wyrazistymi, męskimi perfumami, które idealnie do niego pasowały.

Pogładził ją po włosach.

- Uważam, że to lepsze niż wypad na miasto – zauważył swoim niskim, aksamitnym głosem.

- To prawda. Dużo lepsze niż siedzenie w restauracji i słuchanie cudzych kłótni.

- Masz na myśli konkretną sytuację?

- Dwa tygodnie temu poszłam do restauracji z Rodem i tatą. Jedna z par ostro się pokłóciła, zachowywali się tak głośno, że kierownik poprosił ich o opuszczenie sali. Kłócili się jeszcze przez całą drogę do drzwi.

- Godny pożałowania brak manier – stwierdził J.C. – Nie mówiąc o godności osobistej. Cywilizowani ludzie nie piorą swoich brudów publicznie.

- Powiedz to użytkownikom mediów społecznościowych – skwitowała kpiąco. – Piszą o rzeczach, o których nie ośmieliłabym się rozmawiać nawet z moją świętej pamięci matką.

- Nie korzystam z mediów społecznościowych.

- Czemu mnie to nie dziwi. – Uśmiechnęła się szeroko.

Odszukał wzrokiem jej spojrzenie. Była miękka, ciepła i pachniała różami. Powiódł palcem po jej ustach i usłyszał, jak jej oddech przyśpiesza.

- Oplatasz mnie jak bluszcz – szepnął. – Zawsze jesteś przy mnie, nawet kiedy cię nie ma.

- Wiem - odparła drżącym szeptem. - Czuję to samo. - Nieśmiało pogłaskała jego szorstki policzek. - Bez ciebie jest mi tak smutno i zimno...

Pochylił się do niej i wyszeptał:

- Niczego nie obiecuję, Colie. Nieważne, co będzie się działo.

- Rozumiem.

Nakrył ustami jej stęsknione wargi. Były tak miękkie, tak chętne... Czuł, że może zrobić z nią wszystko. Kiedy indziej może by się powstrzymał, ale czując przy sobie jej ciepłe, uległe ciało, nie potrafił nad sobą zapanować. Pragnął Colie od chwili, kiedy pierwszy raz jej dotknął.

Gdy ją obrócił, byli tak blisko siebie, że Colie nawet przez dzinsy wyraźnie poczuła jego podniecenie. Powinna zaprotestować, ale potrafiła myśleć tylko o tym, jak cudownie być z J.C. ze świadomością, że jej pożąda. Tak długo nie wiedziała, czym jest pożądanie, a teraz dręczyło ją co noc. Zamiast spać, fantazjowała o tym, co chciałaby robić z J.C.

Zesztywniała, kiedy wsunął ręce pod jej sweter, ale nie zaprotestowała. To, jak drżała pod jego dotykiem, upewniło go, że chce dużo więcej, a zwykłe pieszczoty już jej nie wystarczą.

Nie przerywając pocałunków, rozpiął jej bawełniany stanik, i poczuł, jak Colie się waha. Jednak kiedy powiodł dłonią wokół jej piersi i lekko ścisnął sutek, zadrżała i odprężyła się, przyzwalając mu na znacznie więcej.

Wyjął ręce spod jej swetra i rozpiął swoją koszulę, po czym ujął dłoń Colie i zachęcił, by go dotknęła. Nigdy dotąd w ten sposób nie dotykała mężczyzny. Z fascynacją powiodła dłonią



po ciepłej, twardej piersi J.C. Nie sądziła, że zdobędzie się na coś takiego.

J.C., który zawsze wydawał się opanowany, z każdą chwilą tracił nad sobą kontrolę. Colie czuła, jak jego puls przyśpiesza, a oddech staje się ciężki i chrapliwy. Delikatnie, ale stanowczo popchnął Colie na kanapę. Uklęknął i nakrył ustami jej twarde, różowy sutek... po czym ze zdziwieniem otworzył oczy, kiedy odepchnęła go od siebie.

- Co się stało? – zapytał, nie odrywając wzroku od jej jędrnych, dziewczęcych piersi.

- Przepraszam, trochę mnie zaskoczyłeś...

- Przecież cię nie pogryzę – uspokoił ją z uśmiechem. – Po prostu chciałem cię posmakować. – Znowu pochylił się nad nią. – Boże, cóż za słodycz!

Przestała protestować. Nie miała pewności, czego powinna oczekiwać, ale to, co właśnie się działo, zdecydowanie różniło się od jej wyobrażeń na temat intymności. Jego usta były ciepłe i pożądliwe. Possał jej sutek, a ona aż podniosła się z kanapy.

- O... mój... Boże! – wydyszała, drżąc z rozkoszy.

- Tak bardzo cię pragnę! – szepnął niespokojnie, opuszczając się niżej. – Poczuj mnie...!

Już był między jej nogami, a ona wahała się tylko przez moment. Pragnęła go. Całe jej ciało płonęło z żądy.

Jeśli chciała go powstrzymać, to był ostatni moment. Ale już rozpiął jej spodnie i wsunął palce pod bawełniane majtki, w miejsce, którego nie dotykał żaden mężczyzna.

Zadygotała i jęknęła głośno, czując nowe, intensywniejsze niż kiedykolwiek doznanie. Jej rozkosz stawała się nie do

zniesienia.

J.C. zaniósł ją do łóżka, całując i rozbierając, aż po chwili leżała przed nim całkowicie naga. Nie przeszkadzało jej to. Powietrze przyjemnie chłodziło jej rozpaloną skórę, a Colie niecierpliwie czekała na więcej.

J.C. pośpiesznie rozebrał się do końca, nie przestając pieścić Colie. Aż do teraz mu się opierała, i oto nadeszła szczęśliwa chwila. Wiedział, że nie może dać Colie choćby cienia szansy na odmowę, bo nie przeżyłby rozczarowania. Całe jego ciało drżało z powstrzymywanej żądz. Od dawna nie miał kobiety... i nigdy nikogo nie pragnął tak mocno jak Colie.

Kłęcząc nad nią i całując namiętnie, sięgnął do szafki nocnej, wymacał w szufladzie prezerwatywę i założył ją. Poczuł, że Colie się waha, ale zrzucił to na karb pośpiechu. Postanowił zwolnić. Zsunął się niżej i zaczął całować wnętrze jej ud, czując, jak wygina się i drży z rozkoszy. Wsunął w nią palec i uznał, że jest gotowa. Zauważył, że jest też bardzo ciasna, ale nie myślał na tyle jasno, żeby zastanowić się nad tym.

Wszedł w nią szybko i mocno. Doznanie było tak silne, że ledwie zarejestrował jej krzyk, który doszedł do niego jakby z oddali.

- Jesteś cudowna – wydyszał jej w usta. – Nigdy, z nikim nie było mi tak dobrze...!

Jego słowa przedarły się do jej świadomości przez warstwę bólu. Czy to powinno aż tak boleć? W książkach nic na ten temat nie napisali. Z całych sił starała się nie opierać. Zaraz na pewno przestanie boleć. Pragnęła go. To był jej pierwszy raz. Czy wiedział?

Chciała mu powiedzieć, ale bała się to zrobić. Myślał, że jest bardziej doświadczona; wspomniał o tym kiedyś w trakcie rozmowy. Gdyby się dowiedział, na pewno by się zdenerwował i natychmiast z nią zerwał.

Dlatego zacisnęła zęby i oddawała mu się, słysząc stłumione pomruki rozkoszy. Cieszyła się, że jej ciało sprawia mu przyjemność, ale żałowała, że sama nic takiego nie doświadcza. Miała wrażenie, że J.C. rozdziera ją żywcem.

Właśnie kiedy myślała, że nie zdoła dłużej powstrzymać łez, wysunął się z niej, opadł ciężko na plecy i westchnął z zadowoleniem.

- Było tak dobrze, że myślałem, że tego nie zniosę. - Wziął Colie w ramiona i przytulił mocno. - Dziękuję. Wiem, że nie byłaś gotowa. Przepraszam. Wynagrodzę ci to.

- W porządku - wyszeptała. Leżąc w jego ramionach, czuła się jak w raju. - Uwielbiam być blisko ciebie.

Nie odpowiedział, ale czuł to samo. Była między nimi więź, jakiej nie doświadczył nigdy wcześniej. Spotykał się z doświadczonymi kobietami. Rozkazywały, instruowały go, a ona cieszyła się ze wszystkiego, co robił. Przy niej czuł się jak młody bóg.

Martwiło go tylko to, że stracił nad sobą kontrolę. Wiedział, że przez swój pośpiech nie zdołał zaspokoić Colie, nie dał jej pełnej erotycznej satysfakcji, i było już za późno, by to naprawić.

- Następnym razem dam ci więcej czasu - obiecał.

Serce skoczyło jej w piersi. To znaczy, że nie był rozczarowany jej całkowitym brakiem doświadczenia. Jednocześnie czuła wstyd, ulgę i rozczarowanie. Wstyd,

ponieważ grzeczne dziewczynki nie robiły takich rzeczy. Ulgę, że wciąż jej pragnął. Rozczarowanie, ponieważ poza grą wstępną nie poczuła żadnej przyjemności. Czy tak właśnie wygląda seks? Mężczyzna najpierw sprawia kobiecie przyjemność, żeby wynagrodzić jej dyskomfort, jaki czuła podczas samego stosunku? Była zbyt nieśmiała, żeby o tym porozmawiać z J.C., i nie miała też nikogo innego. Może znajdzie jakieś książki...

- Jesteś bardzo cicha – wyszeptał, całując ją w czubek głowy.

- Jestem szczęśliwa.

Podzielał jej uczucia. Nigdy wcześniej nie czuł się tak spokojny i zrelaksowany. Obrócił się na bok i zaczął całować jej czoło, powieki, policzki.

- Colie, powinienem odwieźć cię do domu. Jeśli chcesz skorzystać z łazienki, jest po drugiej stronie korytarza.

- Dzięki.

Przemknęła do łazienki, dziękując w duchu, że światła są zgaszone. Gdy pożądanie już minęło, czuła się zawstydzona swoją nagością.

Umyła się i ubrała. Kiedy wróciła do sypialni, światło było zapalone, a J.C. miał na sobie dzinsy i koszulę. Wyglądał na zakłopotanego.

- Chodź, musimy już wracać. – Zawahał się, po czym położył dłonie na jej ramionach. – Colie, szkoda, że mi nie powiedziałaś.

Serce podeszło jej do gardła. Dowiedział się, że była dziewicą...!

- Gdybym wiedział, że zaczyna ci się okres, poczekałbym –

dodał. – Przepraszam.

Poczuła taką ulgę, że prawie ugięły się pod nią nogi. Zmusiła się, by się uśmiechnąć, po czym odparła:

- Następnym razem będę o tym pamiętać.

Pocałował ją czule.

- Moja mała kobietka – szepnął. – Nigdy nie było mi tak dobrze jak z tobą.

- Było cudownie – skłamała, wtulając się w niego. Do pewnego momentu naprawdę jej się podobało, ale potem już było nieprzyjemnie. Może jeszcze się przyzwyczai.

- A zatem w drogę.

Gdy dojechali na miejsce, J.C. pomógł Colie wysiąść z samochodu.

- W przyszłym tygodniu pokażą nowy film – powiedział. – Słyszałem, że kino to niezłe miejsce na randkę – dodał z szerokim uśmiechem.

- Chętnie go z tobą obejrzę – odparła z takim samym uśmiechem.

- Doskonale. Zadzwoń do ciebie. – Cmoknął ją na pożegnanie i wrócił do SUV-a. Jak zwykle odjechał, nie oglądając się za siebie.

Colie zawahała się, nim otworzyła drzwi. Miała nadzieję, że ojciec nie zorientuje się, co właśnie zrobiła. To by tylko dowiodło, że J.C. sprowadza ją na złą drogę.

Z drugiej strony jego pomyłka podsunęła jej bardzo wiarygodną wymówkę. Wchodząc, zgarbiła się i skrzywiła nieszczęśliwie.

- Colie? – Jej ojciec wyjrzał z gabinetu. – Wszystko

w porządku?

- Boli mnie brzuch. Muszę się położyć.

- Biedactwo. – Pastor współczująco pokiwał głową. – Masz tabletki?

- Tak, tylko zostawiłam je w domu. Zaraz je wezmę. Muszę się położyć.

- Jak było na randce?

Colie uśmiechnęła się najbardziej przekonująco, jak potrafiła.

- J.C. umie gotować – powiedziała. – Zaprosił mnie do siebie na gulasz z dziczyzny. Był przepyszny. Powiedział, że babka nauczyła go gotować.

- Gulasz z dziczyzny. – Ojciec westchnął tęsknie. – Sam chętnie bym go zjadł.

- Dobranoc, tato.

- Dobranoc, kochanie.

Colie schowała się w pokoju. Mogła odetchnąć z ulgą, bo nie została zdemaskowana. Wzięła z szuflady czystą piżamę i poszła pod prysznic. Wciąż czuła na sobie perfumy J.C. Dobrze, że jej ojciec ich nie wyczuł. Gdyby to zrobił, musiałyby powiedzieć, że całowała się ze swoim chłopakiem.

To tylko pierwsze z szeregu kłamstw, które będzie musiała mu wcisnąć, by nadal widywać się z J.C. Była zakochana po uszy. Za żadną cenę nie mogła się z nim rozstać.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

To, co zaszło między nią a J.C., odmieniło Colie. Czuła się inna, bardziej światowa i doświadczona. Teraz, kiedy oglądała filmy w telewizji albo słuchała o tym, co robią ze sobą inne pary, nie czuła się zszokowana. Prawdę mówiąc, zazdrościła im. Gdyby mogła, spędzałaby z J.C. każdą wolną chwilę.

Odkąd pierwszy raz się kochali, popadła niemal w obsesję. Bez przerwy o nim myślała, pragnęła jakiegokolwiek kontaktu, choćby rozmowy przez telefon. Najwyraźniej on czuł do niej to samo, bo codziennie zabierał ją na lunch i do kina.

Tydzień później zaprosił ją do siebie na stek, swoje drugie popisowe danie. Colie wiedziała, jaki jest prawdziwy cel tej wizyty. Jadąc do niego, była zestresowana i spięta, bo wciąż pamiętała, jak bolesny był ten pierwszy raz, jednak odmowa nie wchodziła w grę. J.C. lubił ją, to oczywiste, ale też potrzebował seksu. Nie miała złudzeń co do tego, co się stanie, jeśli nie będzie chciała się z nim kochać.

Tak jak obiecał, tym razem dał jej więcej czasu. Ale jej ciało, które wciąż nie doszło w pełni do siebie po tamtym pierwszym erotycznym doświadczeniu, zbuntowało się. Owszem, gra wstępna była cudowna. Colie uwielbiała czuć usta J.C. na swojej nagiej skórze i całą sobą chłonęła jego perfekcyjne pieszczoty. Entuzjastycznie dawała do zrozumienia, że podoba jej się to tak samo jak jemu.

Ale tak było tylko do chwili, kiedy w nią wszedł. Zacisnęła

zęby i spróbowała się odprężyć, ale było prawie tak nieprzyjemnie, jak za pierwszym razem.

Jednak on tego nie zauważył. Umierał z pożądania. Cały poprzedni tydzień walczył ze sobą, żeby nie myśleć o seksie z Colie. A teraz nareszcie dostał ją w swoje ręce, ciepłą, miękką i chętną, i szybko stracił nad sobą kontrolę. Próbował zwolnić, ale nie zdołał. Od dawna nie miał kobiety.

Kiedy osiągnął szczyt, jego rozkosz była tak silna, że bał się, iż straci przytomność. Colie wciąż była bardzo ciasna. Zastanawiał się, dlaczego. Nie reagowała i nie żądała więcej, jak jego inne partnerki. Owszem, niby robiła wszystko, czego od niej oczekiwał, ale czuł się winny, bo wiedział, że nie przeżywa takiej samej rozkoszy co on.

Leżał na plecach, powoli się uspokajając. Colie przytuliła się do jego boku, a on leniwie głaskał ją po głowie.

Nie lubiła seksu. Teraz była tego pewna. Ale kochała J.C. Była gotowa na wszystko, żeby być blisko niego.

- Nienawidzę się z tobą rozstawać - powiedział nagle. - Chciałbym mieć cię przy sobie przez cały czas.

Colie na moment wstrzymała oddech, nim spytała:

- Naprawdę?

J.C. przytulił ją mocniej.

- A ty nie chciałabyś być przy mnie przez cały czas?

- Oczywiście, że tak.

J.C. wziął głęboki oddech.

- Twojemu ojcu się to nie spodoba.

- To moje życie i mój wybór - odparła z uporem.



- Tak, to prawda. Ale wybory mają swoje konsekwencje. – Zawahał się. – Colie, to nie są oświadczenia. Rozumiesz? Proponuję tylko, żebyś ze mną zamieszkała. I niczego nie obiecuję.

Ogarnął ją smutek, nie było jednak sensu protestować. Tak mocno kochała J.C., że zrobiłaby wszystko, żeby z nim być. Wiedziała, że on jej nie kocha. Ale gdyby z nim zamieszkała, ryzyko mogło się opłacać. Dlaczego nie miałyby jej dopisać szczęście jak w kasynie? Tak czy inaczej, pragnęła J.C. zbyt mocno, żeby odmówić.

- Chciałabym z tobą mieszkać – powiedziała po prostu.

Odetchnął z ulgą.

- Będziemy gotować na zmianę – obiecał. – I na wypadek, gdybyś miała co do tego jakieś wątpliwości, nie będę się umawiać z innymi kobietami. Nigdy bym cię nie zdradził.

Colie się uśmiechnęła.

- Nie musisz mnie przekonywać. Uwierzyłam w to, co mówiłeś o blond geolożce.

- Po prostu chcę, żeby nie było między nami niedomówień.

- To dobrze.

Pocałował jej włosy.

- Wiem, że powinienem zwolnić w łóżku – wyznał szczerze.

- Przepraszam. Dawno nie kochałem się z kobietą. Będzie lepiej, obiecuję. Będę cierpliwy, będę na ciebie czekać. Chcę, żebyś czuła tę samą przyjemność co ja. Bo ja czułem się jak w niebie, Colie. Nigdy nie było mi tak dobrze.

- Cieszę się – odparła z uśmiechem. – Nie musisz się mną martwić. Uwielbiam być blisko ciebie. Samo to by mi

wystarczyło.

To stwierdzenie zaniepokoiło J.C. Colie właśnie przyznała, że jej nie zadowala. Naprawdę musiał popracować nad samokontrolą.

- Będzie lepiej – powtórzył.

Colie westchnęła i zamknęła oczy.

- Na pewno – mruknęła jakby do siebie.

J.C. w zamyśleniu pogłaskał ją po plecach. Nigdy nie spotkał kobiety, która byłaby tak cierpliwa, dobra, chętna i urocza. Wszystkie jego kochanki zachowywały się jak kocice. Nie chciały czułości, tylko dzikiego, zwierzęcego seksu.

Colie bardzo się od nich różniła. Nawet tamta prostytutka, która udawała przed nim niewiniątko, w łóżku była wymagająca i nienasycona. Colie natomiast zachowywała się tak, jakby w ogóle nie lubiła seksu. J.C. miał nadzieję, że pomoże jej pokonać tę blokadę, sprawić, by poczuła to samo co on. Powiedział sobie, że po prostu potrzebują czasu. Musiał się nauczyć, jak czerpać z seksu przyjemność.

Nieświadoma jego rozterki, Colie przylgnęła do niego mocniej. W jego ramionach czuła się bezpieczna i szczęśliwa. Miała z nim zamieszkać, być z nim przez cały czas!

Nagle serce zamarło jej w piersi. Ojciec na pewno będzie zdumiony i głęboko rozczarowany. Przez całe życie nie zrobiła nic wbrew jego woli. Choć to ona podejmie ostateczną decyzję, na pewno obarczy J.C. całą winą.

Jak się okazało, ojciec nie powiedział nic. Od jakiegoś czasu podejrzewał, dokąd to wszystko zmierza.

- Powtórzę to, co mówiłem ci już wcześniej – oznajmił,

kiedy już siedziała z walizkami na ganku i czekała na J.C. –  
Zawsze będę cię kochać. Cokolwiek się stanie, zawsze  
możesz na mnie liczyć.

Colie przytuliła go.

- Przepraszam – szepnęła, powstrzymując łzy. – Nie mogę  
nic na to poradzić. Tak bardzo go Kocham. Może jeszcze się  
zmieni.

Pastor, który słyszał zbyt wiele smutnych historii mających  
podobny początek, tylko odparł z westchnieniem:

- Nigdy nic nie wiadomo.

Kiedy usłyszał na drodze samochód, wrócił do środka.

J.C. otworzył Colie drzwi auta i poszedł po jej bagaże.  
Wsiadając do samochodu, zauważył na jej policzkach łzy.  
Dręczyły go wyrzuty sumienia.

- Może to jednak nie jest dobry pomysł...

- Kocham cię – powiedziała po prostu, patrząc mu w oczy.  
Wyglądała na pogodzoną z losem.

Przytulił ją mocno. Nigdy nie usłyszał tych słów od żadnej  
kobiety prócz matki. Jego dobrej, kochanej matki, która  
przeszła piekło u boku męża alkoholika.

- Zaopiekuję się tobą – powiedział cicho.

- Też się tobą zaopiekuję, J.C. – odparła Colie, czując, jak  
przepełnia ją wszechogarniająca radość.

To też było dla niego nowe. Zaśmiał się i włączył silnik.

- Nie trzeba się mną opiekować – odparł z męską dumą.

Tydzień później, gdy leżał w łóżku rozpalony gorączką,  
przypomniał sobie to zuchwałe stwierdzenie.

Colie siedziała przy nim, obmywała mu czoło z potu, podawała antybiotyki i syrop na kaszel, mimo słabych zapewnień J.C., że sam potrafi się sobą zaopiekować.

Colie wiedziała, że kłamie. Karmiła go i doglądała, a on nie spuszczał z niej pełnego uwielbienia wzroku.

Rzadko chorował. Pamiętał, że kiedy był mały, zachorował raz na gripę. Ale nawet wtedy musiał sam sobie radzić, ponieważ żadne z jego rodziców nie mogło sobie pozwolić na urlop. Teraz zaś Colie opiekowała się nim tak dobrze, że wcale nie śpieszyło mu się, żeby wyzdrowieć.

To była słabość, której się wstydził, ale nie tak bardzo, jak powinien. Przyjemnie było czuć, że ktoś go kocha. Żadna kobieta nigdy go nie pokochała, więc z czasem zaczął szukać przyczyny w sobie. Teraz, przy Colie, po raz pierwszy uwierzył, że jest wart miłości.

- Sam potrafię o siebie zadbać - zaprotestował pewnego razu, kiedy Colie karmiła go zupą.

- Jesteś taki niezależny - odparła z uśmiechem. - Cieszę się, że chociaż raz mogę się tobą zaopiekować.

- Bluszcz - rzucił oskarżycielsko, choć też się uśmiechał. - Owijasz się wokół mnie jak bluszcz.

- Uważaj - zażartowała Colie. - Jeśli bluszcz owinie się zbyt ciasno, może powalić drzewo.

- Nie sądzę, żeby było się czym martwić. - Przyjrzał jej się w zamyśleniu. - Byłaś już w szpitalu?

Colie się zaczerwieniła. Jakiś czas temu rozmawiali o antykoncepcji. J.C. powiedział wtedy, że prezerwatywy nie dają stuprocentowej pewności i zaproponował, żeby zaczęła brać tabletki.

- Pójdę, kiedy lepiej się poczujesz – obiecała.

- Mieliśmy już jedną wpadkę – przypomniał. Prezerwatywa pękła. Martwiło go to, choć Colie nie wykazywała żadnych oznak ciąży.

- Wiem, ale to nie były moje płodne dni – skłamała. Miała bardzo regularny cykl, a wpadka zdarzyła się dokładnie w połowie, kiedy najłatwiej zajść w ciążę. Rozumiała, że J.C. nie chce dzieci. Miała głupią, naiwną nadzieję, że jeśli zajdzie w ciążę, zmieni zdanie na ten i inne tematy.

Widział po jej twarzy, o czym myśli.

- Colie, moje poglądy się nie zmieniają. – Choć leżał powalony wysoką gorączką, powiedział to bardzo zdecydowanym tonem. – Nie chcę się ustatkować. Lubię jeździć na misje, prowadzić szkolenia dla policji. Mogę uznać, że chcę wrócić do wojska. Zostanę z tobą tylko tak długo, jak będę mógł zachować wolność. Nie ma mowy, żebyś zaszła w ciążę. Zapomnij o tym.

- No dobrze. – Westchnęła z żalem. – W przyszłym tygodniu pójdę do ginekologa. Teraz to nie ma znaczenia – dodała. – I tak jesteś zbyt słaby, żebyśmy czegokolwiek próbowali.

Był. Choć wolałby, żeby nie mówiła tego na głos.

Przyglądał jej się w milczeniu. Wciąż nie odczuwała przyjemności podczas seksu. Próbowwała udawać, ale łatwo można było ją przejrzeć. Za każdym razem była spięta i niechętna. Chciał, żeby zaczęła brać tabletki, bo podejrzewał, że to prezerwatywy są problemem. Często narzekała na podrażnienia. Co, jeśli miała alergię?

- Colie, miałaś kiedyś robione badania na alergię na lateks?

- Lateks? Jak w rękawiczkach?

- Nie. Lateks jak w prezerwatywach – odparł sucho.

Colie zamrugała, patrząc na niego. Jak dotąd, coś takiego nie przyszło jej to do głowy.

- Nigdy nie badałam się na żadną alergię... – Zaczerwieniła się.

- To wyjaśniałoby kilka rzeczy. W przyszłym tygodniu musisz koniecznie pójść do szpitala. Dobrze?

- Dobrze.

- Wybacz, że pytam, ale czy nie możesz po prostu pójść do swojej przychodni?

Jeszcze bardziej się zaczerwieniła.

- Nasz ginekolog chodzi do kościoła mojego taty. Na dodatek śpiewa w chórze. Więc to niemożliwe.

Nigdy nie myślał o tym, jak fakt, że Colie z nim zamieszkała, wpłynął na opinię o niej i o jej ojcu. Spędził tyle czasu w dużych miastach, że nowoczesny styl życia stał się dla niego czymś normalnym. W Catelow było inaczej, zwłaszcza, że jej ojciec był pastorem. W swoich kazaniach sprzeciwiał się temu wszystkiemu, co uważał za niemoralne – jak na przykład życie ze sobą bez ślubu. J.C. poczuł nagłe wyrzuty sumienia.

- Dobrze, nic się nie stało. W szpitalu też mogą przepisać ci tabletki.

Colie skinęła głową i podała mu więcej zupy.

Dostała receptę na tabletki, które miała zacząć brać na początku następnego cyklu. J.C. zawiózł ją do Jackson Hole, gdzie znalazła aptekę, w której aptekarz jej nie znał.

- Przepraszam – odezwała się w drodze do domu.

- Rozumiem. - Uścisnął jej rękę. - Naprawdę rozumiem, Colie.

- Pewnie gdybym była starsza, lepiej rozumiałabym pewne rzeczy.

- Starsza? A ile ty masz lat? Dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy? Rod powiedział, że skończyłaś szkołę w zeszłym roku. Założyłem, że ma na myśli licencjat...

- Mam dziewiętnaście lat.

Zahamował gwałtownie.

- Co?!

- Mam dziewiętnaście lat - powtórzyła, zastanawiając się, dlaczego ta wiadomość tak nim wstrząsnęła. - W zeszłym roku skończyłam szkołę średnią.

- Rod powiedział, że skończyłaś szkołę. - J.C. z trudem łapał oddech. Nic dziwnego, że jej ojciec był taki opiekuńczy. Ledwie skończyła liceum. Była nastolatką! Jak to możliwe, że nie wiedział...?

- Teraz będziesz się zadręczać, bo uważasz, że jestem dzieckiem. Słuchaj, za miesiąc kończę dwadzieścia lat. Wiele dziewczyn wychodzi za mąż w wieku osiemnastu lat. - Zacerwieniła się. - To znaczy wyprowadza się z domu. Żyje z mężczyznami.

- Mój Boże.

- J.C. - szepnęła Colie, przerażona wyrazem jego twarzy.

Ruszył z miejsca. Paliło go poczucie winy. Jak to możliwe, że nie wiedział? Nigdy nie interesował się życiem innych ludzi. Zaprzyjaźnił się z Rodem, to prawda, ale w ciągu ostatnich miesięcy oddalili się od siebie. Aż do czasu, kiedy

Rod zaprosił go na kolację, nie wiedział zbyt wiele o jego młodszej siostrze.

- Dziewiętnaście...

- W przyszłym miesiącu dwadzieścia – powtórzyła. – Nie rozumiem, w czym problem. Nie jestem dzieckiem.

- Colie, mam trzydzieści dwa lata.

- Tak. Laska, siwe włosy, te sprawy...

- Mówię poważnie! – rzucił ostrzej, niż zamierzał. Skrzywił się, widząc przerażoną minę Colie, i wziął ją za rękę. – Jest między nami prawie trzynaście lat różnicy. W twoim wieku to dużo. Żałuję, że o tym nie wiedziałem, zanim...

- Nie ma co tego rozpamiętywać. Kocham cię, głuptasie – powiedziała z uśmiechem. – Co to ma wspólnego z wiekiem?

Te słowa jak zawsze go wzruszyły, ale nie zdołały uciszyć wyrzutów sumienia.

- Nic dziwnego, że twój ojciec mnie nie lubi.

- Tata nie lubiłby cię nawet wtedy, gdybym miała trzydzieści lat – zauważyła Colie. – Nie jesteś osobą wierzącą. Ja to akceptuję, tata nie. Ma inne poglądy niż ja, żyje przeszłością. A przecież mamy dwudziesty pierwszy wiek.

- Racja. – Wiedział, że prędzej umrze, niż pozwoli jej odejść. – To mówisz, że w przyszłym miesiącu kończysz dwadzieścia?

- Tak – odparła z uśmiechem. – Spróbuję wyhodować przynajmniej kilka siwych włosów, jeśli to uciszy twoje sumienie.

Roześmiał się serdecznie.

- No dobrze. Jakoś doczekamy.



- Tak trzymaj!

Ponieważ Colie nie mogła jeszcze brać tabletek, wciąż używali prezerwatyw.

- Nie sprawiam ci przyjemności – zauważył J.C., kiedy leżeli przytuleni na łóżku. On był zaspokojony. Ona nie.

- Sprawiasz mi przyjemność samą swoją obecnością – odparła. – Kocham cię do szaleństwa.

- Ale nie lubisz uprawiać ze mną seksu – upierał się.

- To się zmieni, kiedy zacznę brać tabletki. – Miała nadzieję, że naprawdę tak będzie.

Wsunął palce w jej włosy.

- Może powinienem przeczytać kilka książek.

Colie wybuchnęła śmiechem.

- Może ja też powinnam.

Colie właśnie miała wracać z przerwy na lunch, kiedy natknęła się na jedną ze starszych parafianek ojca.

- Dzień dobry, pani Meyer – powiedziała z uśmiechem.

Jednak pani Meyer nie odwzajemniła jej uśmiechu, tylko popatrzyła na Colie, jakby ta była trędowata.

- Nie masz wstydu? – syknęła. – Twój ojciec jest pastorem. Stoi na ambonie i naucza moralności, kiedy jego własna córka żyje w grzechu!

Colie się zaczerwieniła.

- Kocham go...

- Ożeniłam się, mając dwadzieścia lat – kontynuowała pani Meyer. – Był dobrym, praworządnym mężczyzną. Powiedział, że każdy mężczyzna, który naprawdę kocha kobietę, będzie

chciał dać jej swoje nazwisko i dzieci, i stać się częścią społeczności. – Gniewnie zmrużyła oczy. – Twój kochaś nic nie daje społeczności. Nigdy nie chodzi do kościoła. Jest samotnikiem, który nie chce się dopasować. Kiedyś byłaś dobrą, wierzącą kobietą. Co się z tobą stało, Colie? Przynosisz swoim rodzicom wstyd!

Zanim odzyskała głos, pani Meyer obróciła się i podreptała w swoją stronę, podpierając się laską.

Colie wróciła do pracy, ale przez cały czas zżerało ją poczucie winy. Często je odczuwała, ale dopiero przemowa szanowanej parafianki uświadomiła jej, ile wstydu przynosi swojemu ojcu.

- Co się stało? – zapytała Lucy, kiedy zbierały się do wyjścia. – Coś dzisiaj jesteś nie w sosie...

- Mój ojciec jest pastorem, a ja żyję w grzechu – powiedziała cicho Colie. – Nie rozumiałam, ile przynoszę mu wstydu. – Podniosła wzrok. – Powinnam zawsze myśleć o tym, jak moje decyzje wpływają na tych, którzy mnie kochają.

Lucy wzięła głęboki oddech.

- Wszystko, co robimy, wpływa na tych, którzy nas kochają – oznajmiła. – Przykro mi. Mogę sobie tylko wyobrazić, jaka jesteś rozdarta.

- Rozdarta to dobre określenie...

Po powrocie do domu J.C. od razu zauważył, że Colie jest przybita. Zapytał ją o to.

- Chodzi o panią Meyer. Jest starszą w naszym kościele... – Zawahała się. Uświadomiła sobie, że odkąd wprowadziła się do J.C., ani razu nie była na mszy. – W kościele taty – poprawiła. – Powiedziała, że moje zachowanie jest

oburzające, że robię krzywdę mojemu ojcu. Jest pastorem, naucza ludzi, jak mają żyć, a jego jedyna córka otwarcie żyje w grzechu... – Zaśmiała się sztucznie, udając, że uważa tę sytuację za żart.

Jednak on nie dał się zwieść. Colie była taka młoda. Pomyślał o jej ojcu, który nigdy nie podniósł na niego głosu, choć na pewno miał na to ochotę. Potrafił wybaczać; coś, co jemu było obce. Długo chował urazę. Niektóre chował przez całe życie.

Wziął ją w ramiona.

- Przepraszam. Nigdy nie myślałem o tym, co ludzie powiedzą. Ale Catelow to bardzo małe miasto. Twojemu ojcu na pewno trudno jest zrozumieć, że nie wszyscy muszą żyć w ten sam sposób.

- Tak, pewnie tak.

Przytulił ją mocniej. Wiedział, że będzie żałować tego, co zaraz powie, ale nie chciał, żeby Colie cierpiała.

- Możesz powiedzieć ludziom, że jesteśmy zaręczeni.

Odsunęła się i spojrzała na niego pełnymi rozterki, nierozumiejącymi oczami.

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałem, że możesz mówić, że jesteśmy zaręczeni. Może to uciszy plotki. – Jego twarz stężała. – Musisz wiedzieć, że małżeństwo nadal mnie nie interesuje. Ale jeśli powiesz ludziom, że jesteśmy w poważnym związku, może to ułatwi życie twojemu ojcu. Jest dobrym człowiekiem – dodał z przekonaniem. – Nie chcę, żeby przez nas cierpiał. Ale jestem, kim jestem. Nigdy nie widziałem udanego małżeństwa. W wieku jedenastu lat zostałem sierotą. Nie

wierzę, że coś takiego, jak szczęśliwa rodzina, może istnieć.

Widziała, że na jego twarzy malował się ból.

- Ja miałam szczęśliwą rodzinę – powiedziała łagodnie. – Moja matka nas kochała, opiekowała się nami, kochała mojego ojca. My kochaliśmy ją. Pewnie, od czasu do czasu miewaliśmy sprzeczki, jak każdy, ale kochaliśmy się nawzajem i mieliśmy szczęśliwe dzieciństwo.

Jego twarz J.C. stała się jeszcze bardziej zacięta.

- Pochodzimy z dwóch różnych światów, Colie. Wśród moich przodków są Indianie. Mój ojciec praktykował szamanizm aż do śmierci mojej matki. Była katoliczką, więc została pochowana wedle katolickiego obrządku. Ja nigdy nie byłem wierzący. Matka co niedzielę zabierała mnie do kościoła, ale większość domów zastępczych, w których żyłem, nie miała nic wspólnego z religijnością.

Mówiąc to, miał w oczach zimny, niepokojący wyraz. Colie zastanowiła się, czy w jego życiu nie zdarzyło się coś jeszcze, jakaś inna, mroczniejsza tragedia prócz tych, o których wiedziała.

Kiedy otworzyła usta, żeby zapytać, gestem nakazał jej milczenie.

- Nie rozmawiam o moim dzieciństwie. To prywatna sprawa.

Prywatna. Żyli razem, spali ze sobą każdej nocy, a on wciąż miał przed nią tajemnice. Nagle Colie zdała sobie sprawę, że J.C. prawie nigdy nie mówił jej o swojej przeszłości. Wiedziała o nim tak niewiele.

- Moje życie jest otwartą księgą – zażartowała. – Twoje powieścią grozy.

- Nie brzmi to najgorzej. - Zaśmiał się niewesoło.

- To nieważne. - Przytuliła go. - Liczy się tylko to, że kocham cię bardziej niż cokolwiek w świecie.

Za każdym razem, kiedy to mówiła, serce J.C. przepełniało niemal bolesne wzruszenie. Mógłby słuchać tego bez końca. Spijał jej słowa jak miód.

Przytulił ją mocno i pocałował ją.

- W przyszłym tygodniu muszę polecieć do Iraku - powiedział, kiedy odsunęli się, by zaczerpnąć tchu.

- Tak szybko? - jęknęła.

- Przepraszam. Ta decyzja zapadła wiele miesięcy temu i nie mogę tego odwołać. - Pogłaskał ją po włosach. - Kiedy wrócę, będziesz już na tabletkach i zadbam, żebyś czuła to samo co ja, kiedy się kochamy. Tęsknota sprawi, że mój powrót do domu zaowocuje prawdziwą eksplozją namiętności.

Roześmiała się.

- Podoba mi się to określenie.

Znowu ją pocałował.

- Naprawdę myślę, że możesz mieć alergię na lateks.

- A co, gdybyśmy go nie używali...?

- Nie. - J.C. puścił ją. - Wiesz, że wolę mieć pewność.

Colie westchnęła.

- Tak, wiem.

- Kiedy mnie nie będzie, chcę, żebyś wróciła do taty i Roda. Gdybyś tu została, odchodziłbym od zmysłów. Przez ranczo przewijają się różni ludzie; część pracuje dorywczo, część

przyjeżdża w odwiedziny... Oczywiście nie wpuszczamy byle kogo, ale zawsze może przemknąć się ktoś, kto ma złe zamiary. – J.C. ujął twarz Colie i spojrzał jej prosto w oczy. – Gdyby coś ci się stało, nie zniósłbym tego. Moje życie straciłoby sens.

Nic, co powiedział jej do tej pory, nie przypominało tak bardzo wyznania miłości. Wzruszona Colie pocałowała go czule.

– Dobrze, zamieszkać u taty i będę na siebie uważać – obiecała.

J.C. wziął ją na ramiona.

– W takim razie zadbajmy o to, żeby mieć, co wspominać – szepnęła.

Colie skryła lęk przed bólem i poddała mu się, jak zawsze. Tylko w łóżku czuła, że ona i J.C. są naprawdę blisko. Przy innych ludziach zawsze był chłodny, milczący i zdystansowany; ale kiedy byli sam na sam, stawał się namiętny, czuły, niemal kochający. Może nawet miał rację? Może tabletki wszystko zmieniają? Kiedy zacznie je brać, będzie na innym kontynencie, ale w końcu do niej wróci. Musiał wrócić.

Patrząc, jak J.C. się pakuje, Colie nie potrafiła ukryć, jak bardzo jej z tym źle.

– Co poradzę, że się martwię? Tam, gdzie jedziesz, jest bardzo niebezpiecznie.

– Tu też jest niebezpiecznie – zauważył J.C. – Może kiedyś próbowałaś opatrywać rannego byka?

– Wiem, wiem. Ale byki nie mają karabinów.

Wstał znad plecaka, wziął Colie w ramiona i pocałował

łagodnie.

- Robię to od bardzo dawna. Nie ryzykuję bez potrzeby i znam ludzi, z którymi pracuję. Nic nie jest w stu procentach bezpieczne: ani jazda samochodem, ani nawet wychodzenie z domu. Za każdym rogiem może czaić się śmierć. Dlatego zakładam, że każdy dzień może być moim ostatnim. To co było, jest wspomnieniem. To co będzie, jest nadzieją. Teraźniejszość jest jedynym, czego możemy być pewni.

Przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami.

- Tak, pewnie masz rację. Choć to żadne pocieszenie, skoro właśnie wyjeżdżasz.

Cmoknął ją w czubek nosa.

- Tylko na kilka tygodni. A kiedy wrócę, będziemy mieli okazję, żeby świętować! Co ty na to?

- Dobrze. – Wreszcie się uśmiechnęła.

- Szkoda, że nie będziemy mogli spędzić razem świąt – powiedział nagle J.C.

- Możesz przywieźć mi w prezencie kaktusa.

Parsknął śmiechem.

- Postaram się wymyślić coś lepszego.

- Po prostu przywieź mi siebie – stwierdziła z powagą. – Niczego tak bardzo nie pragnę, jak tego, żebyś wrócił cały i zdrowy. Dobrze?

Przytulił ją mocno, czując w sercu rozdzierającą pustkę na samą myśl o czekających go tygodniach.

- Dobrze – szepnął. – Będę za tobą tęsknił, laleczko.

- Nie tak jak ja za tobą, mój dzielny żołnierzu – szepnęła

w odpowiedzi.

Pocałował ją gwałtownie, pożądliwie, niemal desperacko, a Colie odwzajemniła pocałunek w ten sam sposób. Miała nieprzyjemne przeczucie, że jej życie wkrótce się zmieni. I to nie na lepsze.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Odkąd ogłosiła, że J.C. jej się oświadczył, plotki ucichły. Choć wiedziała, że to kłamstwo, przyniosło jej to pewną ulgę.

Ojciec od razu ją przejrzał, ale zatrzymał swoje wątpliwości dla siebie. Był tak szczęśliwy, że wróciła do domu, że nie chciał tego psuć.

- Smutno tu było bez ciebie, Colie – powiedział, patrząc, jak krząta się po kuchni. – Rod rzadko bywa w domu. Czuję się, jakbym mieszkał sam.

- Przepraszam, że cię nie odwiedzałam – odparła. – Sprawy codzienne potrafią tak zaprzątnąć nam głowę, że zapominamy o najbardziej oczywistych sprawach. – Odwróciła się do niego. – Tato, przepraszam, że miałeś przeze mnie kłopoty. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że jest tak źle, dopóki nie powiedziała mi o tym pani Meyer.

- Nie prosiłem jej o to.

- Wiem, tato. Ale miała rację. Nawet nie pomyślałam, jak będzie ci ciężko.

- Życie jest ciężkie – zauważył pastor. – Podejmujemy decyzje, a potem musimy żyć z ich skutkami. Niektóre dźwigają cięższy balast niż inni.

Colie skinęła głową, po czym wróciła do pracy.

- Jak długo go nie będzie? – zapytał ojciec.

- Mówił, że kilka tygodni. – Przygryzła wargę. – To niebezpieczna praca. Dużo zarabia, ale też dużo ryzykuje.

- Znam dwóch mężczyzn, którzy kiedyś zajmowali się tym samym. To nie jest tak niebezpieczne, jak się wydaje – pocieszył ją. – Na pewno nic mu się nie stanie.

- Na pewno – odparła z nikłym uśmiechem.

- Czy on się z tobą ożeni, Colie?

Milczała przez chwilę, udając, że jest skupiona na wycieraniu kuchenki.

- Lubię myśleć, że tak będzie – powiedziała wreszcie. – Ale nie wiem na pewno. J.C. jest... skomplikowany. Wciąż do końca go nie znam.

- Może uda ci się na niego wpłynąć?

- Marzenie ściętej głowy. – Uśmiechnęła się smutno. – Jest tak, jak jest. Ale go kocham, więc muszę sobie z tym radzić. Tak to już z nami jest.

Pastor skinął głową. Wciąż miał nadzieję, że pewnego dnia córka przejrzy na oczy i rozstanie się z J.C. Z drugiej strony miał świadomość, jak małe są na to szanse. On kochał matkę Colie równie mocno. Ale ożenił się z nią, mieli dzieci. Nigdy nie zrobili nic niemoralnego. Smucił się, bo wiedział, jaki los czeka jego córkę. J.C. nie był mężczyzną, którego można ustatkować, sprawić, by docenił rodzinne wartości. Prędzej czy później Colie się o tym przekona. Jedyne, co on sam mógł zrobić, to wesprzeć ją, kiedy to się wydarzy. Przecież tak naprawdę właśnie o to chodziło w życiu. Pomagać, nie oceniać. Taka była jego praca, i podchodził do niej ze śmiertelną powagą.

Tęsknota za J.C. nagle stała się najmniejszym z problemów Colie. Wstała i zrobiła śniadanie, a potem zaczęła szykować się do wyjścia. Ale zanim zdążyła się ubrać i uczesać, musiała

popędzić do łazienki.

Zwróciła całe śniadanie, a także wczorajszą kolację. To musiała być grypa. J.C. byłby wściekły, gdyby zaszła w ciążę. Na pewno by ją zostawił. Sugerował to więcej niż raz.

To nie mogła być ciąża. Przecież mieli tylko jedną wpadkę! Myjąc zęby, Colie starała się zachować spokój. Jej ojciec coś ostatnio wspominał o epidemii grypy. Musiała po prostu zachować zimną krew.

Ubrała się, uczesała, wzięła torebkę i zeszła na dół. Po drodze zajrzała do gabinetu ojca.

- Wychodzę do pracy. Potrzebujesz czegoś?

- Nie, dziękuję. Pyszne śniadanie – dodał z uśmiechem. – Miałem już dość przypalonych tostów.

- Jutro zrobię bułeczki drożdżowe. Do zobaczenia wieczorem.

- Jedź ostrożnie. Spadło sporo śniegu.

- Będę jechać powoli – obiecała. Mogła dodać, że J.C. nauczył ją jeździć w śniegu, ale wolała o nim nie wspominać. Lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

Miała nadzieję, że J.C. da jakiś znak życia. Wiedziała, że nie lubi rozmawiać przez telefon, ale mógł zatęsknić za nią na tyle, żeby się przemóc. Tak się jednak nie stało. Mijał dzień za dniem, a ona tęskniła tak bardzo, że czuła się, jakby była chora. Zupełnie straciła apetyt. Miała też inne symptomy. Była wiecznie zmęczona. Wcześniej chodziła się spać. Bolały ją piersi. Z drugiej strony, zbliżał się okres, co tłumaczyłoby część objawów. Musiała myśleć pozytywnie.

Postawiła w salonie choinkę i ozdobiła ją. Nie miała zbyt wiele pieniędzy na prezenty, ale zrobiła, co w jej mocy. Ojcu

kupiła sweter, Rodowi nowy portfel, a J.C. zawieszkę w kształcie serca. Inskrypcja na odwrocie brzmiała *Plus que hier, moins que demain*. Więcej niż wczoraj, mniej niż jutro. Obietnica miłości. Zawieszka była podzielona na dwie połówki, po jednej dla każdego z zakochanych. Rodzice Colie mieli taką zawieszkę. Kto wie, może w ich przypadku zdziała cuda?

Pewnego razu Colie wpadła na mieście na Merrie Colter, która zostawiła dziecko z Renem, żeby zrobić świąteczne zakupy. Catelow pękało od kolorowych światełek i bożonarodzeniowych dekoracji. Merrie właśnie wsiadała do samochodu, kiedy spostrzegła ją na chodniku.

- Cześć, Colie!

- Cześć! – odparła z uśmiechem, podchodząc bliżej. – Nie ma z tobą dziecka? Mój Boże! Koniec świata.

Merrie roześmiała się dobrodusznie.

- Ren zaproponował, że go popilnuje, żebym mogła pojechać na zakupy. Delsey ma dziś wychodne. Co u ciebie?

Colie skrzywiła się smutno.

- Tęsknię za J.C. – wyznała szczerze.

- Rozumiem, co czujesz. Początki mojego związku z Renem też nie należały do udanych. Był nieznośny, kiedy go poznałam!

- Coś o tym słyszałam – odparła Colie.

Merrie przekrzywiła głowę.

- Zastanawiasz się, czy J.C. się z nami kontaktował. – Gdy Colie popatrzyła na nią z zaskoczeniem, powiedziała szybko:

- Wybacz, po prostu czasami miewam różne dziwne

przeczcucia. Ale to logiczne. Też tęskniłabym za Renem, gdyby wyjechał.

- Gdyby czasem zadzwonił albo napisał, nie byłoby tak źle – wyznała Colie. – Pewnie nie ma na to czasu.

Merrie nie odważyła się przyznać, że J.C. już dwa razy dzwonił do Rena, żeby dowiedzieć się, jak się dzieje na ranczu.

- Pewnie tak – odparła tylko. – W każdym razie mam nadzieję, że niedługo wróci. Ranczo nie przetrwałoby bez niego nawet miesiąca!

- Ja też nie – odparła Colie.

- Ach, ci mężczyźni. Czasem nie można z nimi wytrzymać, a kiedy ich nie ma, jest jeszcze gorzej. Najlepiej po prostu ich zaakceptować takimi, jakimi są.

- Amen. Muszę lecieć, Merrie. Zaraz kończy mi się przerwa na lunch. Na razie!

- Do zobaczenia, Colie!

Po spotkaniu z Merrie Colie wpadła w zły humor. Choć Merrie tego nie powiedziała, Colie była pewna, że J.C. dzwonił do Rena. Czuła się z tym okropnie. Gdyby J.C. na niej zależało, zadzwoniłby do niej. Napisałby. Tęskniłby za nią tak bardzo, jak ona za nim.

Ale przecież wiedziała, że on jest niezależny. Że nie ufa ludziom i nie dopuszcza ich do siebie. Gdyby tylko dała mu powód, zostawiłby ją bez najmniejszych skrępułów. Nie wybaczał błędów i długo chował urazę. Nie chciał rozmawiać o swoim ojcu, który prawdopodobnie wciąż gdzieś żył. Minęły dwadzieścia dwa lata, a on wciąż mu nie wybaczył. Jaka przyszłość ją czeka z takim człowiekiem?

Była pewna, że J.C. jej pragnie. Ale pożądanie nie wystarczyło, żeby związać ze sobą ludzi na długie lata. Było ulotne, łatwe do zaspokojenia. Bała się, że J.C. się nią znudzi. Nie było trudno zauważyć, że nie jest z niej zadowolony w łóżku. Wiedział, że seks nie sprawia jej przyjemności. Może miał rację co do lateksu. Ale czuła, że chodzi o coś więcej.

Może gdyby od początku była z nim szczerą, powiedziała mu ile ma lat i że jest dziewicą, sprawy potoczyłyby się inaczej. Mógłby nigdy nie zaprosić jej na randkę. Już wcześniej była w nim zauroczona, ale dopiero kiedy zaczęli się spotykać, naprawdę się w nim zakochała.

Do niedawna jej życie było proste i nieskomplikowane. Chodziła do pracy, na zajęcia z przedsiębiorczości, gotowała i sprzątała dom. Było to nudne, ale w pewien sposób satysfakcjonujące.

Za to J.C. obrócił jej życie o sto osiemdziesiąt stopni. Przy nim każdy dzień był przygodą. Kładąc się spać, nie mogła się doczekać poranka, bo wiedziała, że spędzi go z nim. Szkoda tylko, że tak często nie było go w domu. Czasem Colie miała wrażenie, że osobno spędzają więcej czasu niż razem.

Zanim sprawy przybrały poważny obrót, kilkakrotnie czuła, że J.C. próbuje się od niej odciąć. Martwił się o nią i nie potrafił tego ukryć. Był zaskoczony i wzruszony tym, jak opiekowała się nim w czasie choroby. Nie lubił być zależny od kogokolwiek, zwłaszcza od kobiety. Czy dlatego trzymał ją na dystans? Czy też dlatego, że chciał zostać singlem, a ona uparcie domagała się tego, czego nie potrafił jej dać?

Nadeszła Wigilia, a Colie wciąż nie znała odpowiedzi na to pytanie. Nudności powróciły, a okres spóźniał jej się już prawie miesiąc. Była też coraz bardziej zmęczona.

Miała nadzieję, że J.C. do niej zadzwoni. Wprawdzie unikał religii, ale przecież wiedział, że święta to dla niej wyjątkowy czas. Ku jej radości, koło południa zadzwoniła Merrie Colter i poinformowała, że Renowi udało się skontaktować ze swoich szefem ochrony. Obowiązywał zakaz komunikacji, więc J.C. nie mógł sam do nich zadzwonić. Jednak Ren dzięki znajomościom w wojsku, zdołał uzyskać zgodę na krótką rozmowę. J.C. poprosił, żeby przekazać Colie, że życzy jej wesołych świąt, a także że za nią tęskni i niedługo wróci do domu.

Colie nie posiadała się ze szczęścia. Radosna i pełna optymizmu, spędziła cały dzień na świątecznych przygotowaniach. Nawet to, że Roda miało nie być na Wigilii, nie zepsuło jej humoru. J.C. za nią tęsknił. Wszystko będzie dobrze. Niepotrzebnie się martwiła.

Pojechała do pobliskiego miasta i kupiła test ciążowy, po czym skorzystała z niego w toalecie pobliskiego centrum handlowego. Kiedy papierek zmienił kolor, serce zamarło jej w piersi. Oczywiście test nie był stuprocentowo wiarygodny, ale to, co się działo z organizmem Colie, dowodziło, że wynik był poprawny.

Pierwsze, co poczuła, to wszechogarniająca radość. Nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa. Zaraz jednak ogarnęło ją przerażenie. Nie mogła urodzić nieślubnego dziecka w Catelow! To zniszczyłoby reputację jej ojca, okryło wstydem i poniżyło. Był takim dobrym człowiekiem. Nie mogła go skrzywdzić!

Oczywiście istniała niewielka szansa, że J.C. zmieni zdanie. Kiedy się dowie, że będzie miał dziecko, poczucie odpowiedzialności nakaże mu postąpić słusznie. Na pewno!

Wmówiła sobie, że wszystko zależy od tego, w jaki sposób przekaże mu wiadomość. Kiedy wróci, przygotuje pyszną kolację i obsypie go pieszczotami, przytuli i łagodnie opowie, co się stało. Był dobrym człowiekiem. Nie zerwie z nią tylko dlatego, że zaszła w nieplanowaną ciążę.

Wyrzuciła test i wróciła do domu.

Colie wiedziała, że utrzymanie ciąży w tajemnicy będzie bardzo trudne. Jej ojciec wiedział, jak zachowują się ciężarne kobiety. Jego żona urodziła dwoje dzieci. Dlatego pilnowała, żeby nie zjeść więcej wieczerzy wigilijnej, niż powinna, a będąc w łazience, odkręciła wodę, żeby jej ojciec nie usłyszał, jak wymiotuje.

Po kolacji powiedziała, że boli ją brzuch, i wcześniej położyła się spać. Jej ojciec nic nie mówił. Cieszył się z nowego swetra; sam dał Colie puchaty, biały szlafrok. Rod nie wrócił do domu. Zadzwoił, żeby życzyć im wesołych świąt, a potem się rozłączył.

Colie była zadowolona, że brat rzadko bywa w domu. Ale nawet gdyby spędzał w nim całe dni, mało prawdopodobne, żeby zauważył jej ciążę. Zachowywał się coraz bardziej chaotycznie i Colie zaczynała podejrzewać, że wplątał się w coś podejrzanego. Rzadko odzywał się do ojca i siostry, a każdy weekend spędzał w Jackson Hole.

Colie i jej ojciec razem powitali nowy rok kieliszkiem ajerkoniaku. Wielebny Thompson był przygaszony i milczący. Tym razem Rod nawet nie zadzwonił, żeby złożyć im życzenia. Colie współczuła ojcu, ale nie mogła nic zrobić. Wciąż nie rozumiała, dlaczego brat tak dziwnie się zachowuje.

Znów zaczęła regularnie chodzić do kościoła, dzięki czemu



udało jej się odzyskać dobre relacje z wiernymi. Chrześcijanie przywiązywali dużą wagę do wybaczenia, a Colie była powszechnie lubiana.

Pewnego sobotniego popołudnia czuła się tak źle, że nie była w stanie pójść na mszę. Przeprosiła, tłumacząc swój zły stan chorobą, ale ojciec po prostu poklepał ją po plecach i uśmiechnął się. Troje z jego parafian już przebyło gripę. Za tydzień Colie będzie zdrowa jak ryba.

Odprowadziła go do drzwi, a potem poszła się położyć.

Z drzemki wyrwał ją dźwięk silnik na podwórzu. Drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły. Usłyszała głosy. Zaniepokojona wstała, założyła szlafrok i zeszła do salonu. To, co zobaczyła, zmroziło jej krew w żyłach.

Rod i jego ponury znajomy, Barry Todd, siedzieli naprzeciwko siebie. Na stole między nimi leżała otwarta walizka pełna czegoś, co mogło być tylko narkotykami. Były w niej tabletki, woreczki suszu i biały proszek.

- Wiesz, jak je sprzedać - mówił Barry. - Powiedz twoim wtyczkom, żeby rozdali trochę darmowych próbek w szkołach, to zwiększa popyt... co tu się dzieje, do kurwy nędzy?!

Rod podążył za jego spojrzeniem i zobaczył pobladałą, znieruchomiałą z przerażenia Colie.

- Zajmiesz się tym - warknął Barry. - Teraz. Jeśli piśnie choć słówko, już nie żyjesz! Rozumiesz?

Wstał, minął Colie i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Dlaczego tu jesteś? - krzyknął Rod w panice. - W soboty nigdy nie ma cię w domu!

- Źle się czuję - zdołała wykrztusić Colie. - Och, Rod, co ty

najlepszego wyrabiasz? Sprzedajesz narkotyki?!

Przez moment Rod wyglądał na winnego i zawstydzonego. Potem zmrużył oczy.

- Jesteś ostatnią osobą, która mogłaby mi to wypominać – warknął. – Córka pastora, która żyje w grzechu!

- Kocham J.C. – broniła się.

- Nigdy się z tobą nie ożeni – odparł zimno Rod. – Tata jeszcze nic nie wie, ale założę się, że to nie grypa zatrzymała cię w domu. Jesteś w ciąży.

Colie gwałtownie wciągnęła powietrze.

Rod zgadywał. Najwyraźniej trafił. Uśmiechnął się z satysfakcją.

- Zachowasz to, co zobaczyłaś, dla siebie. Inaczej bądź pewna, że pożałujesz. Zarabiam dużo pieniędzy. Mam dość pracy za głodową stawkę, kiedy mogę kupować sobie markowe rzeczy, jak mój kumpel. Będę mógł sobie kupić, co chcę...

- Trujesz dzieci!

- Jeśli się uzależnią, to ich problem, nie mój. Nie są dziećmi, tylko nastolatkami. Są prawie dorośli.

- Od przedawkowania narkotyków można umrzeć!

- To nie twoja sprawa – powtórzył Rod, zamykając walizkę.  
- Jeśli nie chcesz kłopotów, to trzymaj język za zębami. Nawet nie myśl, żeby nakablować szeryfowi!

- Nie muszę iść z tym do szeryfa – odparła chłodno Colie. – Wystarczy, że powiem J.C.

Tego właśnie Rod obawiał się najbardziej. Znał J.C. lepiej, niż Colie. Nie miał ochoty skończyć w więzieniu federalnym

za handel twardymi narkotykami.

- Nie rób tego, Colie. Mówię poważnie.

- Tylko jeśli natychmiast przestaniesz! I oddasz tę walizkę temu bandycie!

- Nigdy w życiu – odwarknął Rod.

W odpowiedzi Colie tylko uniosła podbródek. Rod wiedział, co to znaczy. Odwrócił się. Za wszelką cenę musiał ją powstrzymać. Nie zamierzał trafić do więzienia z powodu moralnej postawy swojej siostry. Dokładnie wiedział, co robi.

Kilka dni później J.C. zadzwonił do Rena i poprosił, żeby przekazał wiadomość Colie.

- Powiedział, że wraca w niedzielę – powiedziała Merrie i uśmiechnęła się, słysząc w słuchawce okrzyk radości. – Nie, powiedział, że nie musisz po niego przyjeżdżać. Jego samochód czeka na parkingu w Jackson Hole. Powiedział, że byłoby wspaniale, gdybyś czekała na niego w domu z kolacją. Przed nim długi lot i na pewno będzie głodny.

- Zrobię coś pysznego – obiecała z rozmarzeniem Colie.

- Myślę, że najbardziej zależy mu na tym, by po prostu ciebie ujrzeć. Podobno J.C. mówił o tobie za każdym razem, kiedy dzwonił do Rena. Pytał, czy mieszkasz u ojca i czy wszystko u ciebie w porządku.

- Szkoda, że nie zadzwonił do mnie...

- Wiesz, że nie lubi rozmawiać przez telefon. Wyznał Renowi, że woli ci wszystko opowiedzieć w cztery oczy. Tęsknił za tobą, co też wyznał Renowi, a on uznał to za przezabawne. Bo wiesz, nikt z nas by nie pomyślał, że J.C. straci głowę dla kobiety.

- Naprawdę? Myślisz, że stracił dla mnie głowę?

- Na to wygląda. Po prostu zdradzono go tyle razy, że musi minąć trochę czasu, zanim komuś zaufa. To wszystko.

- Nigdy go nie zawiodę – oznajmiła z mocą. – O Boże, muszę się pakować! Jest sobota, czyli on wraca już jutro! Nie mogę się doczekać!

- Oczekiwanie ma swoje zalety – odparła Merrie. – Wtedy to, na co się czekało, sprawia jeszcze więcej radości.

Colie roześmiała się perliście.

- W takim razie jutro chyba oszaleję ze szczęścia! Dziękuję, że do mnie zadzwoniłaś.

- Nie ma za co. Zadzwoń kiedyś, daj znać, co tam u was. Przeczuję, że już niedługo dotrą do nas radosne wieści!

- Mam nadzieję!

Kiedy Colie weszła do kuchni, Rod i ojciec właśnie kończyli kolację.

- Co cię tak ucieszyło? – zapytał jej ojciec.

- J.C. jutro wraca! – odparła Colie, nie potrafiąc opanować ekscytacji. – Zaraz się spakuję i pojedę przygotować dom na jego przyjazd. Tak się cieszę!

Jej ojciec ukrył rozczarowanie.

- To wspaniałą wiadomość. Jeśli chcesz, możesz od razu jechać. Poradzimy sobie.

Colie cmoknęła go w policzek.

- Dzięki, tato.

Rod siedział w milczeniu ze spuszczoną głową. Właśnie przyszło mu do głowy idealne rozwiązanie. Po kolacji zdołał

nawet uśmiechnąć się do siostry, po czym poszedł do pokoju, wyjął komórkę i zadzwonił.

Colie postanowiła zrobić pieczeń wołową i ziemniaki zapiekane z groszkiem, a na deser placek z wiśniami. Zrobiła zakupy i pojechała do J.C. Była tak podekscytowana, że prawie przypaliła ziemniaki. Nie mogła się doczekać, aż znowu go zobaczy. Minęły prawie dwa miesiące; dwa długie, samotne miesiące. Położyła dłoń na brzuchu. Było zbyt wcześnie, żeby coś wyczuć, ale wiedziała, że w środku jest dziecko. Musi się wybrać do lekarza, i to jak najprędzej. Jeśli J.C. nadal nie będzie się chciał z nią ożenić, zawsze może pojechać do kliniki w Jackson Hole, żeby sprawa nie wyszła na jaw. Wciąż nie wiedziała, jak ukryje swój błogosławiony stan, ale na pewno coś wymyśli. Musiało istnieć jakieś rozwiązanie.

Możliwe też, że ma się czym martwić. Jeśli J.C. tęsknił za nią tak bardzo, jak mówiła Merrie, to być może wszystko ułoży się po myśli Colie.

Przez cały dzień siedziała jak na szpilkach. Zdążył już zapaść zmrok i leżący pod drzewami śnieg lśnił w świetle księżycy, nadając otoczeniu bajkowy wygląd. Colie miała nadzieję, że żyje w bajce ze szczęśliwym zakończeniem.

Usiadła przed telewizorem i obejrzała wiadomości, ale J.C. wciąż nie było. Minęła dziewiąta. Dopiero kiedy Colie po raz trzeci podgrzała kolację, usłyszała przed domem warkot silnika.

Nawet stojąc w kuchni, usłyszała, jak J.C. trzasnął drzwiami od samochodu. Dziwne, bo zwykle tego nie robił. Usłyszała kroki na werandzie, a po chwili J.C. stanął w progu w dobrze znanym Colie kożuchu i dżinsach. Podbiegła do niego i już

miała rzucić mu się w ramiona, kiedy zobaczyła wyraz jego twarzy. Zatrzymała się w pół kroku.

- Cześć, J.C. – odezwała się niepewnie.

Jego usta były zaciśnięte w wąską białą linię, a szare oczy błyszcząły niebezpiecznie, jak lufa karabinu w pełnym słońcu.

- Co się stało? – zapytała, robiąc krok do przodu.

- Ty mi powiedz – odparł zimno J.C., a jego wzrok wwiercał się w brzuch Colie.

Wiedział. Skąd? Przecież nikomu nie mówiła!

Obronnym gestem zasłoniła brzuch rękami. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

- Nikt jeszcze nie wie ...

- Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć? – Podniósł głowę i powęszył w kierunku kuchni. – Po domowej kolacji i namiętym seksie? – Zaśmiał się okrutnie. – Oczywiście nie rozpoznałabyś namiętności, nawet gdyby kopnęła cię w tyłek.

Cała radość Colie zgasła jak zdmuchnięta świeczka.

- Kto ci powiedział? – zapytała smutno.

- Twój brat.

- Rod? – Colie myślała gorączkowo. Groził jej. Wiedział o dziecku... – Kiedy ci powiedział?

- Czekał na mnie na lotnisku razem z ojcem twojego dziecka.

Colie otworzyła usta.

- Co?

- Przyprował twojego chłopaka Barry'ego. Powiedział, że nie mógł dłużej patrzeć na to, co się dzieje. Bolało go, że

zdradzasz jego najlepszego przyjaciela z innym mężczyzną. Jeszcze bardziej wstrząsnęło nim, kiedy dowiedział się, że chcesz mi wmówić, że jestem ojcem tego dziecka, bo twój chłopak nie miał tyle pieniędzy co ja.

- Jaki chłopak?! - zawołała Colie. - Nie mam żadnego chłopaka!

- Daj spokój - warknął J.C. - Przejrzałem cię, Colie. Ale i tak miałem cię dość - dodał przez ramię, zmierzając w stronę sypialni. - Zawsze tylko leżałaś jak kłoda. Nigdy mnie nie pragnęłaś. Nawet nie udawałaś, że jest inaczej. Twój chłopak był pewnie lepszy w łóżku niż ja. Rod powiedział, że nie mogłaś utrzymać rąk przy sobie nawet w obecności ojca.

Colie podreptała za nim. Była przerażona i kompletnie zdezorientowana. J.C. zaczął wyciągać jej rzeczy z szuflad i wrzucać do jej torby. Ubrania, drobiazgi, zdjęcie jej matki - wszystko wylądowało w torbie.

- Co ty robisz? - wykrztusiła.

- A jak myślisz? - Szarpnięciem zapiął torbę, wyniósł ją na werandę i z rozmachem rzucił przed siebie. - Masz telefon? - zapytał z lodowatą uprzejmością.

- Tak, w kieszeni...

- Więc zadzwoń po ojca, żeby cię odebrał. Na razie, Colie. Przepraszam, że nie byłem na tyle ufny, żeby twój plan się powiódł.

- Rod skłamał - szepnęła przez łyżę.

- Jasne. - Zmierzył ją nienawistnym spojrzeniem. - Prawie dałem się nabrać. Słodka urocza Colie, która kocha mnie najbardziej w świecie i chce spędzić ze mną resztę życia.

Niezły tekst!

- Mówiłam szczerze...

Patrzył na nią, nieporuszony jej pobladłą twarzą ani potokiem łez.

- I żeby była jasność, nie ożeniłbym się z tobą, nawet gdyby dziecko naprawdę było moje. Mówiłem ci. Lubię niezależność.

Po prostu na niego patrzyła. Czuła się tak zraniona, że nie była w stanie się bronić.

- Może z nowym kochankiem będziesz mieć więcej szczęścia – dokończył.

Było zimno, a Colie miała na sobie tylko cienką kurtkę. Nie spodziewała się, że będzie potrzebować czegoś cieplejszego. Jej pikap nie chciał zapalić, więc przyjechała taksówką. Nigdy w życiu by nie pomyślała, że J.C. wyrzuci ją za drzwi.

- Kobiety – syknął J.C. – Zdradzieckie kurwy, co do jednej. Myślałem, że ty jesteś inna. Naprawdę. Ale tylko chciałaś zgarnąć jak najwięcej, tak jak cała reszta.

Colie spuściła wzrok. „Boże, nie pozwól mi zemdleć”, modliła się w duchu.

Jej milczenie jeszcze bardziej go rozwścieczyło.

- Kiedy wskoczyłaś mu do łóżka? – zapytał. – Poczekałaś chociaż, aż wyjadę z kraju? A może to zaczęło się jeszcze wcześniej, kiedy byłem w Denver? Powiedziałaś, że spotkałaś się z innym mężczyzną. To o niego chodziło?

- Powiedziałam ci prawdę. – Tylko na tyle mogła się zdobyć.

- Co ty wiesz o prawdzie, Colie? Powiedz mi, czy trudno



było ci się zmusić, żeby rozłożyć przede mną nogi? Wszystko musiałem robić za ciebie, a i tak za każdym razem czułem, że zawiodłem. Doszło do tego, że bałem się ciebie dotknąć!

Z trudem przełknęła ślinę. Mogła mu powiedzieć, dlaczego, ale i tak jej nie słuchał.

- To chyba oczywiste, że nie chcę cię więcej widzieć na oczy - oświadczył J.C. - Jeśli kiedyś cię spotkam, będę udawał, że cię tam nie ma. Dla mnie już nie istniejesz.

Była tak zrozpaczona, że nawet nie czuła zimna.

- Jedź do domu - rozkazał J.C., po czym wrócił do środka i zatrzasnął za sobą drzwi, wściekły, że nie udało mu się zmusić Colie, by przyznała się do winy.

Colie jeszcze długo stała i wpatrywała się w zamknięte drzwi. Dopiero zimno zmusiło ją, żeby wyjąć z kieszeni telefon i zadzwonić do ojca.

- Tato, czy mógłbyś po mnie przyjechać? Jestem u J.C...

Ton jej głosu wystarczył, żeby pastor domyślił się, co się stało.

- Zaraz tam będę, kochanie - powiedział i rozłączył się.

Colie zaczęła płakać. Lodowaty wiatr przeszywał ją na wskroś, ale nawet tego nie zauważała. Jej życie straciło sens.

Pastor zawiózł Colie do domu i zrobił jej kubek gorącej czekolady. Potem usiadł z nią i po prostu pozwolił jej mówić. Powiedziała, że Rodney nakłamał na jej temat J.C., który mu uwierzył i zerwał z nią, ale nie sprecyzowała, na czym to kłamstwo polegało.

Wielebny popatrzył na nią z osłupieniem.

- Rodney ci to zrobił? Ale dlaczego?

- Możesz sam go zapytać – odparła Colie. – Nie chcę go obmawiać za jego plecami.

- Nie rozumiem, dlaczego miałby okłamywać swojego przyjaciela w tak ważnej sprawie – upierał się wielebny Thompson. – Tak nie powinno być, Colie. Zadzwońię do J.C....

- Nie!

Pastor się zawahał.

Colie nakryła swoją dłonią jego dłoń.

- Szukał wymówki, żeby się mnie pozbyć, tato – powiedziała ze smutkiem. – Tak powiedział. Miał mnie dosyć.

Wielebny się skrzywił.

- Jest jeszcze coś – dodała Colie. Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. – Jestem w ciąży.

Ojciec jęknął z rozpaczą.

- Przepraszam! – wykrztusiła przez łzy. – Zniszczyłam życie nam obojgu, bo się zakochałam. Myślałam, że J.C. mnie kocha. Myślałam... – Przełknęła ślinę. – Byłam taką idiotką. Przepraszam! – powtórzyła.

Wielebny wstał i przytulił córkę. Zaczął ją kołysać jak przed laty, gdy była małą dziewczynką.

- Damy sobie radę – powiedział. – Nie martw się. Damy sobie radę.

- Co za wstyd!

- To dziecko, Colie – powiedział łagodnie. – Dzieci nie są powodem do wstydu.

- Nie ma ojca – przypomniała Colie.

- Ale ma matkę, skarbie. Jestem pewien, że będziesz

wspaniałą matką.

Colie poczuła się jeszcze gorzej. Spodziewała się gniewu i krytyki, tymczasem spotkała się ze współczuciem i zrozumieniem. Tak jak zawsze. Zdała sobie sprawę, że nie znała własnego ojca. To, co wzięła za dezaprobatę, było smutkiem i żalem. Jej ojciec wiedział, jak sprawy się potoczą, ale i tak pozwolił, by sama podejmowała decyzje. Z jej gardła wydobyło się żałosne zawodzenie.

- No, a teraz idź się położyć – powiedział, kiedy płacz ustał.  
- Rano porozmawiamy i ustalimy, co dalej. A ja muszę poważnie porozmawiać z moim synem!

- To tylko pogorszy sytuację – powiedziała cicho Colie. – Rod zaczął się zadawać z niewłaściwymi ludźmi. Byłoby lepiej, gdybyś nic mu o tym nie mówił.

- Colie...

- Obiecuj mi! – rzuciła rozkazującym tonem. Wiedziała, do czego jest zdolny jej brat. Gdyby jej ojciec wyciągnął od niego prawdę, naraziłby się na niebezpieczeństwo. Nie chciała tego. Rodney nie był już jej ukochanym bratem. Stał się obcym i niebezpiecznym człowiekiem.

- Powiedz mi, co wiesz, Colie.

- Nie mogę. Nie teraz. – To była prawda. Mogłaby powiedzieć J.C., ale po tym, co się stało, i tak by jej nie uwierzył. Nie było już odwrotu.

- No dobrze – odparł pastor. – Nie będę się wtrącał. Sprawy jakoś się ułożą, jak zwykle.

- Jak zwykle. – Ani trochę w to nie wierzyła, ale łatwiej było się zgodzić. – Dziękuję, że się nie złościłeś.

- Jesteś moją córką. Kocham cię. Mogę nie aprobować

tego, co zrobiłaś, ale to nie znaczy, że odwrócę się od ciebie.

- Dzięki. – Uścisnęła go. – Dobranoc.

- Dobranoc. Postaraj się trochę odpocząć. – Zawahał się. – Colie, byłoby dobrze, gdybyś wzięła jutro urlop. Musimy omówić kilka spraw.

- Tak zrobię, tato.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Nowy pracownik ochrony miał spotkać się z J.C., żeby poznać swoje obowiązki. Ale J.C. nie zjawił się w stróżówce o umówionej porze. Zaniepokojony Ren poszedł do jego domu. J.C. nigdy dotąd nie zdarzyło się spóźnić.

Zapukał do drzwi. Merrie powiedziała, że Colie miała z powrotem wprowadzić się do J.C. Może ich spotkanie było tak długie i namiętne, że zwyczajnie zasnął? Ale kiedy tylko otworzył drzwi, powód jego nieobecności stał się jasny.

To był J.C., jakiego Ren nigdy jeszcze nie widział. Jego ubrania były pogniecione i nieświeże, a oczy przekrwione i podkrążone. Cuchnęło od niego whisky. J.C. nigdy nie pił mocnego alkoholu.

Ren zaniemówił.

- Jest w ciąży z innym facetem – wybełkotał J.C. – Nie chcę więcej rozmawiać na ten temat. Nie chcę słyszeć jej imienia. Jest już przeszłością.

Ren zacisnął usta. Tak jak Merrie, był pewien, że odkąd Colie zaczęła umawiać się z J.C., nawet nie spojrzała na innego mężczyznę. Raz tylko spotkała się z tamtym księgowym, który odwiózł ją wcześniej do domu i grał w szachy z jej ojcem. I to wszystko stało się tylko przez tamtą fatalną plotkę.

Bóg jeden wie, od kogo J.C. usłyszał, że Colie go zdradza. Za to ciąża była dla Rena nowością. Wiedział, że jego szef ochrony nie chce dzieci ani małżeństwa. Albo wykazał się

nieostrożnością, albo w życiu Colie naprawdę był inny mężczyzna. Ciężko jednak było w to uwierzyć.

- Nie jestem dzisiaj w stanie pracować - powiedział przeprasząco J.C. - Miałem dużo do... przemyślenia.

- W porządku - odparł Ren. - Znajdę mu dzisiaj inne zajęcie. Jutro się spotkacie.

- Jutro będę zdrowy.

- Na pewno.

- Przeklęte kobiety! - warknął J.C. - Do diabła z nimi!

Ren miał wrażenie, że patrzy w lustro. Ledwie kilka lat temu mówił to samo. Też miał złe doświadczenia z kobietą, które odcisnęły na nim takie piętno, że prawie stracił Merrie. Widział, że J.C. idzie w jego ślady, i wiedział, że nie może nic z tym zrobić.

Wzruszył ramionami.

- Życie toczy się dalej - powiedział filozoficznie, po czym dodał z uśmiechem: - Do zobaczenia jutro.

- Na razie.

J.C. zamknął drzwi, a Ren wrócił do domu.

Kiedy wszedł do salonu, Merrie podniosła wzrok.

- I jak?

- Miał takiego kaca, że ledwie potrafił sklecić zdanie.

- Jak to? Co się stało?

- Krótko mówiąc, chodzi o to, że Colie jest w ciąży, a J.C. myśli, że to dziecko innego mężczyzny.

- Ojejku. To niemożliwe. Colie jest w nim zakochana po uszy. Na pewno by go nie zdradziła.

- My to wiemy, ale on nie. Albo nie chce tego wiedzieć.

- Biedna Colie – jęknęła Merrie. – I jej biedny ojciec!

- Dadzą sobie radę – odparł Ren. – Wszyscy miewamy lepsze i gorsze chwile. Po prostu trzeba to przeczekać. – Przyciągnął Merrie do siebie i pocałował ją. – Mój skarb – szepnął.

Odwzajemniła pocałunek.

Colie i jej ojciec pili kawę. Jego była mocna i czarna; jej bez kofeiny.

- Wyjadę do Jacobsville – oznajmiła Colie. – Mieszkają tam ciocia Annie Mosby i jej brat Toby. Mówiła, że zawsze będę u nich mile widziana.

- Kochanie, w Jacobsville ludzie będą plotkować tak samo jak w Catelow.

- Już o tym pomyślałam – odparła Colie. – To będzie takie małe, nieszkodliwe kłamstwo. Wyszłam za męża, ale mój mąż zmarł, a ja zaszłam w ciążę. – Wzięła głęboki oddech. – Nie chcę, żeby moje dziecko czuło się gorsze. Wiem, że na to zasłużyłam, ale...

- Przestań. Bóg wszystko wybacza.

Colie uśmiechnęła się smutno.

- Tyle że nie wszyscy go w tym naśladowają. Byłoby łatwiej, gdybym znalazła się w miejscu, gdzie ludzie nie wiedzą, jak do tego doszło. Dla ciebie też, tato – dodała, kiedy otworzył usta, żeby zaprotestować. – Wyrządziłam ci już dostatecznie wielką krzywdę. W Jacobsville jest kilka kancelarii i na pewno znajdę jakąś pracę.

- Jesteś tego pewna?

- Tak, jestem pewna - odparła zdecydowanym tonem. - Możemy rozmawiać przez Skype'a. Dzwoni do mnie, kiedy tylko zechcesz - dodała z uśmiechem. - To będzie tak, jakbym wcale nie wyjeżdżała.

- Poza spalonymi tostami - zażartował.

- Nie martw się, nauczę cię, jak je robić!

Zadzwoniła do kuzynki i opowiedziała, co się stało.

- Zaraz tu przyjeżdżaj - odparła natychmiast Annie. - Zajmiemy się tobą. Dobrze się składa, że w kancelarii Darby'ego Howlanda szukają sekretarki. Biedaczysko choruje na nowotwór i nie zostało mu wiele czasu, ale chce, żeby kancelaria dalej działała. Wystarczy, że umiesz pisać pod dyktando i zająć się klientami.

- Może mnie nie przyjąć...

- Zaraz do niego zadzwonię i porozmawiam z nim.

- Będę mówić, że mój mąż zmarł - dodała cicho Colie. - To długa i smutna historia. Zrobiłam coś bardzo głupiego. No, kilka głupich rzeczy. Ale bardzo chcę urodzić to dziecko.

- Oczywiście. Nic nie poradzisz na to, że jego ojciec jest idiotą. A teraz idź się pakować. Wyślę ci bilet mejlem. Twój ojciec może zawieźć cię na lotnisko w Jackson Hole. Jest stamtąd bezpośrednie połączenie do San Antonio, skąd odbierze cię samochód. I nawet nie próbuj protestować! Wiesz, że jesteśmy obrzydliwie bogaci. Będziemy szczęśliwi, mogąc gościć cię pod naszym dachem. Tobie na pewno się ucieszy. Mówi, że doprowadzam go do szaleństwa. Nigdy się nie odzywa, chyba, że go do tego zmuszę. Nic dziwnego, że dalej jest kawalerem. Ten mruk nigdy się nie odzywa!

Colie się uśmiechnęła. Pamiętała Toby'ego, który był kimś



w rodzaju miejscowego awanturnika. Miał jedno z największych rancz w Teksasie, hodował też owczarki niemieckie, co traktował jako hobby. Niezbyt lubił ludzi, ale uwielbiał zwierzęta. Uwielbiał też Colie. Traktował ją bardziej jak siostrę niż kuzynkę.

- No dobrze. Przyjadę. Bardzo ci dziękuję. Tata okazuje mi wiele wsparcia, ale wiem, że jemu też jest ciężko. Córka pastora rodząca nieślubne dziecko... to nie jest coś, czym chciałabym go obarczyć.

- Kocha cię - stwierdziła Annie. - Na pewno już ci wybaczył.

- Tak, ale ja bym sobie nie wybaczyła, gdyby przeze miał problemy w swojej parafii. Niedługo się widzimy. Moi szefowie pozwolili mi odejść bez zachowania okresu wypowiedzenia. Są tacy wielkoduszni!

- Pan Howland mówi, że dobrze się u nich pracuje.

- To prawda. I będę tęsknić za moją koleżanką Lucy. Ale mogę rozmawiać z nią przez Skype'a.

- Co my byśmy zrobili bez mediów społecznościowych - zaśmiała się Annie. - Wszystko zorganizuję i wyślę ci szczegóły mejlem. Okej?

- Okej!

Colie spakowała się i przygotowała do wyjazdu. Rod nie pojawił się w domu, odkąd J.C. zerwał z Colie. W głębi duszy liczyła, że się wstydzi i dlatego jej unika, ale najpewniej był zbyt zajęty sprzedawaniem narkotyków. Żałowała, że nie miała okazji powiedzieć o wszystkim J.C. Może to uratowałoby jej brata.

W obecnej sytuacji bała się pójść na policję. W tajemniczym

znajomym Roda było coś niepokojącego, wręcz niebezpiecznego, a ona bała się, że jeśli nie dochowa tajemnicy, jej ojciec może skończyć na dnie rzeki. Miała nadzieję, że Rod uzna, że wyjeżdża, by nie narazić go na zdemaskowanie.

Wyjeżdżała też z innych powodów. Jakaś jej część wciąż wierzyła, że J.C. ochłonie i do niej zadzwoni, żeby usłyszeć jej wersję. Ale nie zrobił tego. Odkąd wyrzucił ją za drzwi, nie dawał znaku życia.

Ostatniego dnia pracy widziała go na mieście. Nawet nie obrócił się, żeby na nią spojrzeć. Tak jak zapowiedział, zachowywał się, jakby nie istniała. Colie żałowała, że nie potrafi odwdzińczyć mu się tym samym. To znacznie ułatwiłoby jej życie.

Ojciec uściskał ją na pożegnanie i patrzył, jak znika za bramkami. Do Teksasu było bardzo daleko, ale Colie nie miała wyjścia. Musiała o tym myśleć jako o początku nowego życia, dzięki czemu będzie mogła zostawić wszystkie swoje nieszczęścia za sobą.

Będzie dobrze, po prostu musi. Urodzi dziecko, a ludzie będą myśleć, że jego ojciec czuwa nad nim z nieba. Niestety prawdziwy ojciec go nie chciał, ale Colie nigdy mu tego nie powie. Wymyśli takiego, który je kochał, czekał, aż przyjdzie na świat, ale straszna tragedia odebrała mu życie. Dziecko nie powinno dorastać z bolesną świadomością, że jedno z rodziców nim wzgardziło.

Podróż była długa i przez większość czasu Colie męczyły nudności. Kierowca czekał na nią przy odprawie, trzymając tabliczkę z jej imieniem. Pomógł zdjąć bagaże z taśmy i zaniósł je do samochodu.

- Przyjechałem nim specjalnie dla ciebie, panienko – powiedział, kiedy z otwartymi ustami wpatrywała się w limuzynę. – Twoja kuzynka powiedziała, że nigdy nie jechałaś takim wózkiem, i że na pewno poprawi ci to humor

- Niezły sposób na poprawę nastroju – wesoło odparła Colie. – Czuję się jak gwiazda rocka!

- Wskakuj do środka. Stąd do Jacobsville jest jakieś dwadzieścia minut. Możesz pooglądać telewizję, jeśli chcesz.

- Nie, dziękuję. Wolę patrzeć przez okno. Nigdy jeszcze nie byłam w Teksasie! – Colie zauważyła zaciekawione spojrzenie kierowcy. – Za to moi kuzyni często przyjeżdżali do nas, do Wyoming. Ale ja jeszcze nigdy nie byłam nawet w innym stanie.

- Spodoba ci się tutaj. To piękna okolica. Dużo rancz, takich jak twojego kuzyna.

- Chętnie je zobaczę!

Annie czekała na werandzie. Miała blond włosy i brązowe oczy. Była wysoka i smukła, wyglądała bardzo elegancko z włosami upiętymi w wysoki kok i w beżowym kostiumie oraz szpilkach. Obok niej stał jej brat, Toby.

Wyglądał dość zwyczajnie, może za wyjątkiem kowbojskiego kapelusza na czarnych jak smoła włosach, który częściowo przysłaniał jego surową, spaloną słońcem twarz. Był zbudowany jak jeździec rodeo, chudy i żylasty, z dużymi dłońmi i stopami. Prawie nigdy się nie uśmiechał, w odróżnieniu od Annie, która podbiegła do Colie i uściskała ją serdecznie.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś! – zawołała. – Tu jest tak samotnie – dodała, rzucając bratu znaczące spojrzenie.

- Mówiłem, że jeśli brakuje ci towarzystwa, mogę ci pożyczyć psa – mruknął Toby.

- Nie chcę psa. Nie lubię psów. Lubię koty!

Przewrócił oczami.

- Złośliwe futrzaki, które wszystko drapią. Ten cholerny syjam tak podziurawił zasłony, że musieliśmy je wymienić.

- Trzeba to było zrobić dawno temu. Poza tym Pazur jest tylko kociakiem.

- Pazur? – wtrąciła Colie.

- To nasz nowy kot – wyjaśniła Annie. – Miesiąc temu odszedł mój szesnastoletni Ragdoll. Potrzebowałam pocieszenia, więc kupiliśmy Pazura.

Colie przypomniała sobie kota, którego dał jej J.C. Już za nim tęskniła.

- Do szczęścia brakuje nam tylko szarańczy – mruknął Toby.

- Fajnie, że przyjechałaś, kuzynko – dodał. – Może Annie w końcu przestanie głądzić mi do ucha.

Colie uśmiechnęła się do niego. Nie należał do tych miłych ludzi, których przytulało się na powitanie.

- Postaram się nie wchodzić w ci drogę.

- Annie powiedziała, że jesteś w ciąży – rzucił prosto z mostu, a gdy Cilie umknęła wzrokiem, dodał łagodnie: – Uwielbiam dzieci. – Uśmiech całkowicie odmienił jego surową twarz. – Zajmiemy się tobą, nie martw się.

Colie poczuła, że do oczu napływają jej łzy.

- Dziękuję. Bardzo wam dziękuję.

Toby wzruszył ramionami.

- Mieszkamy w pieprzonym hotelu – mruknął, wskazując rezydencję. – Dwa piętra, osiem sypialni, pięć łazienek... dla dwojga ludzi! Nasz ojciec musiał oszaleć. A mogliśmy mieć przytulny drewniany domek z kominkiem...

- Nie zwracaj na niego uwagi, kochanie – powiedziała Annie, kładąc dłoń na ramieniu Colie. – Phil, zanieś na górę jej bagaże, dobrze? – dodała, zwracając się do kierowcy. – Nikt nie jeździ tak bezpiecznie jak Phil. A na pewno nie on – dodała teatralnym szeptem, zerkając na brata.

- Jestem doskonałym kierowcą! – odparł z dumą.

- Kowboju, jesteś pogromcą samochodów, uprawiasz rodeo na kółkach! W ciągu ostatnich dwóch lat rozbiłeś dwa jaguary i lincolna!

- Nie z mojej winy – upierał się. – Za każdym razem jakiś łamaga wpadł na mnie.

- Bo wjechałeś tym łamagom prosto pod koła!

- Powinni uważać – skwitował. – Zaprowadź Colie do jej sypialni, a ja pójdę zapytać kucharki, czy ma coś do jedzenia.

- Przecież zrobiłam lunch!

- Prawdziwi mężczyźni nie jedzą *quiche* – prychnął Toby. – Nie potrafisz robić nic innego.

- Phi...

- Lubię stek i ziemniaki. Jeśli kiedyś nauczysz się gotować coś, czego głównym składnikiem nie są jajka, to proszę bardzo, siadam do stołu. Ale czekam na to od piętnastu lat. – Odwrócił się i wszedł do środka.

Annie trajkotała przez całą drogę na górę.

- Toby jest po prostu nieznośny! Wciąż mam nadzieję, że

jakaś kobieta dostrzeże jego prawdziwą wartość i zgodzi się go poślubić. Ale on, poza nielicznymi wyjątkami, nie lubi kobiet. Mówi, że są kłótlive i interesowne. Za to kocha dzieci.

- Cieszę się. Spodziewałam się całkiem innej reakcji – wyznała Colie, kiedy znalazły się w pokoju gościnnym urządzonym w błękitach i szarościach.

- Toby nie ocenia – odparła Annie. – Ja też nie. Poza tym należymy do rodziny założycieli – dodała z błyskiem w oku. – Nikt nie rozsiewa plotek o nas ani o naszych krewnych. Sama się o tym przekonasz.

Colie westchnęła.

- Tak się cieszę, że tu jestem. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Wiem, że sobie na to zasłużyłam, ale i tak było mi ciężko.

Annie przytuliła ją.

- Zakochałaś się w mężczyźnie, który nie potrafi wybaczać. To jego problem, nie twój. Nie przejmuj się i żyj po swojemu, a on niech zobaczy, co stracił. – Annie uśmiechnęła się szeroko. – Będziemy mieli w domu dziecko! Czuję się, jakby przyszły święta!

J.C. powiedział Renowi, że następnego dnia przyjdzie do pracy. Tak się jednak nie stało. Zrezygnowany Ren poszedł do jego domu i zapukał do drzwi. Współczuł przyjacielowi z całego serca, ale praca czekała i tylko J.C. wiedział, jak ją wykonać.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, był kimś obcym. J.C. Calhoun, jakiego znał, zawsze wyglądał nieskazitelnie. Był dobrze ubrany, uczesany, z czystymi i przyciętymi paznokciami. Ale ten facet wyglądał jak bezdomny. Miał na

sobie te same ubrania co poprzedniego ranka, włosy sterczały na wszystkie strony i nieznośnie śmierdział whisky. To zupełnie do niego nie pasowało, zwłaszcza dwa dni z rzędu.

- Co się z tobą dzieje? – zapytał ze zdumieniem Ren.

J.C. podniósł na niego przekrwione oczy.

- Jaki mamy dzisiaj dzień?

- Wtorek.

- Wtorek – powtórzył z goryczą. – Niech to szlag, nawet nawalić się nie umiem! Ta pieprzona wiedźma. Wiesz, że zaciążyła z innym facetem i chciała mi powiedzieć, że to moje dziecko, bo mam więcej pieniędzy niż on?

Ren już wczoraj usłyszał od J.C. te rewelacje, ale miał nadzieję, że to tylko pijacki bełkot. Lecz przyjaciel znów to powtórzył. I był bardzo zdumiony. Wszyscy wiedzieli, że Colie szaleje za J.C. Jeśli naprawdę była w ciąży, założyłby się o każde pieniądze, że to on jest ojcem.

- Colie cię kocha.

- Jasne – wybełkotał J.C. – Właśnie dlatego przespała się z innym facetem. Urocza dziewczyna! Tak jak tamta prostytutka, którą uznałem za miłość mojego życia. Mam szczęście do kobiet, nie ma co.

Ren wziął głęboki oddech.

- J.C., Colie ani razu nie spotkała się z innym mężczyzną.

- Powiedział mi o tym jej brat! – wybuchnął J.C. – Rod, mój najlepszy przyjaciel! – Zamrugął. – No, mój były najlepszy przyjaciel – dodał. – Czekał na mnie na lotnisku z... z ojcem dziecka Colie. – Czknął głośno. – Zdradziła mnie, Ren.

Nie wiedział, co powiedzieć. Po prostu na niego patrzył.

- Nie mogę dzisiaj pracować – warknął J.C. – Przepraszam. Naprawdę przepraszam. Wiem, że obiecałem, ale... potrzebuję jeszcze trochę czasu.

- Jasne. – Położył mu dłoń na ramieniu. – Nie ma pośpiechu.

- Dzięki.

Ren chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nie wiedział, jak ubrać to w słowa. Wobec tego uśmiechnął się i poszedł.

J.C. powoli dochodził do siebie. Wrócił do pracy i zachowywał się jak przedtem. Ale to, co powiedział mu Rod, wciąż bolało.

Kiedy wróciła mu przytomność umysłu, cała ta sytuacja zaczęła jeszcze bardziej go dręczyć. Rod, jego najlepszy przyjaciel, często kłamał, kiedy razem pełnili służbę. Unikał obowiązków, wymawiając się chorobą. Śmiał się, gdy oburzony J.C. go napominał. Mawiał, że małe kłamstewko jeszcze nikomu nie zaszkodziło. J.C. i ta jego praworządność. Kto raz był policjantem, ten zawsze zostanie policjantem.

A zatem Rod już taki był, że łatwo naginał prawdę. Colie nie. Właściwie nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek go okłamała. Powiedziała mu nawet o tamtej randce z księgowym, kiedy myślała, że umówił się z blondynką w Denver.

Było jeszcze coś. Colie go kochała. Opiekowała się nim, wspierała. Zależało jej na nim tak bardzo, że sprzeciwiła się ojcu i zasadom, według jakich została wychowana, żeby z nim zamieszkać.

Co do tego, że chciała kogoś bogatszego... wciąż pamiętał, jak nie zgodziła się, żeby kupił jej sukienkę. Nie pozwalała



mu nawet płacić za siebie w restauracji. A zatem to też nie było do niej podobne.

Niedługo urodzi dziecko. Łatwo było założyć, że to dziecko tamtego mężczyzny, Barry'ego. Ale w całej tej sprawie było coś niepokojącego. Mężczyzna miał markowe ubrania i ręcznie robione buty. J.C. był pewien, że nigdy wcześniej go nie widział, a zatem nie mieszkał w Catelow.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej to wszystko nie miało sensu. Colie nie znosiła seksu. Nawet z nim, a przecież go kochała. Dlaczego nagle nabrała ochoty na seks z kimś innym? Pamiętał, jak bardzo się denerwowała za pierwszym razem. Całowała go, przytulała, cieszyła się jego bliskością, ale ponad wszelką wątpliwość nie odczuwała przyjemności z seksu.

Nagle spłynęło na niego olśnienie. Colie miała dziewiętnaście lat i wychowywała się w religijnej rodzinie. Co niedzielę chodziła do kościoła. Czy tak wychowana dziewczyna poczynalaby sobie śmiało z mężczyznami? Nigdy nie słyszał żadnych plotek na jej temat. Rod wielokrotnie narzekał na swoją świętobliwą, nieskazitelnie moralną siostrę.

Co, jeśli Colie była dziewicą? Wtedy wszystko zaczynało mieć sens. Nic dziwnego, że nie podobał jej się pierwszy raz ani żaden z kolejnych. Kobiety, z którymi spotykał się do tej pory, lubiły szybki, brutalny seks. Ale jeśli Colie była dziewicą...

Wyciągnął z kieszeni telefon i zadzwonił na jej domowy numer. Minęły prawie trzy tygodnie, odkąd wystawił ją na dwór jak niechcianą przesyłkę. Był mróz, a ona nawet nie miała na sobie porządnego płaszcza. Wzdrygnął się,

przypominając sobie jej smutne, pełne łez oczy. Nie dał jej szansy, żeby odpowiedziała na jego zarzuty. Obraził ją, nawrzeszczał na nią, wyśmiał jej zachowanie w łóżku.

Pewnie nie będzie chciała nawet z nim porozmawiać, ale musiał spróbować.

Po czterech sygnałach wielebny podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Panie Thompson, z tej strony J.C. Czy mogę rozmawiać z Colie?

Nastąpiła krótka cisza, a potem J.C. usłyszał dźwięk odkładanej słuchawki. Spróbował zadzwonić jeszcze raz, ale telefon był wyłączony.

Wziął głęboki oddech. Może z Rodem pójdzie mu lepiej. I tak miał do niego kilka pytań.

Podjechał do sklepu z narzędziami, gdzie jeden z pracowników powiedział, że Rod wziął dzień wolnego.

- I dobrze - kwaśno dodał sprzedawca.

Nawet będąc w pracy, Rod nie robił zbyt wiele, oczywiście poza podrywaniem klientek.

J.C. stał na dworze, zgrzytając zębami. Co teraz? Mógłby pojechać do pastora i poprosić, żeby pozwolił mu zobaczyć się z Colie, ale to nie byłoby rozsądne. Sprawiał mu dostatecznie wiele kłopotów. Sam nie był religijny, ale wiedział, jak ludzie oddani Bogu patrzyli na niemoralne prowadzenie się. To musiało być trudne dla pastora, tak sobie wyjść na ambonę i krytykować stosunki pozamałżeńskie, kiedy wszyscy w kościele wiedzieli, że jego córka żyje w grzechu.

Był sfrustrowany. Koniecznie musiał znaleźć Colie. Gdzie ona się mogła podziewać? Nagle go olśniło. Zerknął na zegarek. Właśnie miała przerwę na lunch. Odkąd zerwali, ani razu nie odwiedził jej ulubionej kawiarni, ale może warto się tam wybrać?

Rozejrzał się po zatłoczonym lokalu, ale Colie nie było w zasięgu wzroku. Spozstrzegł za to jej koleżankę z pracy, Lucy, która samotnie jadła sałatkę.

Wziął krzesło i usiadł naprzeciwko niej.

- Gdzie jest Colie?

Lucy zamarła z uniesionym widelcem. Nie odpowiedziała.

- Jej ojciec nie pozwala mi z nią porozmawiać. Nie mogę znaleźć jej brata. - W jego głosie pobrzmiwała irytacja. - Gdzie ona jest?

Lucy odłożyła widelec.

- Nie wiem, J.C. - odparła, nie patrząc mu w oczy.

- Owszem, wiesz! Nie okłamuj, mnie Lucy. Byłem policjantem. Potrafię rozpoznać, kiedy ktoś kłamie.

Lucy westchnęła.

- Kazała mi obiecać, że ci nie powiem.

- Jest w Catelow? - Gdy Lucy milczała, oznajmił: - Muszę z nią porozmawiać. Nie dałem jej nawet dojść do słowa...

- Tak, wiem - przerwała zimno Lucy. - Wystawiłeś ją za drzwi jak nieposłusznego psa.

J.C. miał na tyle przyzwoitości, żeby nie zaprzeczać. Lucy miała rację.

Powiódł dłonią po krawędzi krzesła, zastanawiając się nad

kolejnym krokiem.

- Tak, niestety tak zrobiłem - przyznał. - Straciłem nad sobą panowanie. Rod przyjechał po mnie na lotnisko i powiedział... - Zawahał się. Podniósł wzrok. - Czy Colie naprawdę jest w ciąży?

Z twarzy Lucy zniknął ostatni ślad życzliwości.

- To nie twoja sprawa. Colie wyjechała, J.C. Radzę ci przyzwyczać się do tej myśli.

- Gdzie wyjechała?

- Mówiłam ci...

- Na Boga, czy to moje dziecko? - warknął J.C., przesywając Lucy wzrokiem. - Czy Colie nosi moje dziecko?

- A co cię to obchodzi? - prychnęła Lucy. - Powiedziałeś, że nie chcesz mieć dziecka, więc nie będziesz go mieć.

Zmieszał się, na jego twarzy malowało się poczucie winy.

- Popęłniłem wiele błędów.

- Owszem.

- Chciałbym to wszystko naprawić, jeśli to możliwe - powiedział cicho. - Nawaliłem po całości. - Uśmiechnął się słabo. - Ale Colie nie chowa urazy. Wybacz mi.

Lucy nie odpowiedziała. J.C. owionął nagły chłód.

- Czy ona jest w Wyoming?

Lucy pokręciła głową.

Postanowił spróbować innej taktyki.

- Lucy, proszę, zapytaj ją, czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest? Nic więcej.

Popatrzyła na niego ze smutkiem. Jej wrogość zniknęła bez śladu.

- Jest już za późno.

- Co masz na myśli?

- Nic, co powiesz ani zrobisz, nie wynagrodzi krzywdy, jaką jej wyrządziłeś. Nieważne, czy ją zapytam, czy nie. Nie zgodzi się.

- Dlaczego jesteś tego taka pewna?

- Bo tak właśnie jest – upierała się Lucy.

Miał złe przeczucia. Bardzo, bardzo złe.

- Po prostu mi powiedz.

- No dobrze. – Lucy wzięła głęboki oddech. – Colie nie będzie chciała z tobą rozmawiać, bo wyszła za męża.

J.C. po prostu siedział i patrzył na nią pustym wzrokiem. Pod oliwkową opalenizną jego skóra była trupioblada.

- Co zrobiła?!

- Wyszła za męża – powtórzyła Lucy, po czym wstała i podniosła tacę. – Przepraszam. O to właśnie mi chodziło, kiedy powiedziałam, że jest już za późno. Nie ma odwrotu, J.C. W życiu nie ma przycisku „reset”.

Odwróciła się i odeszła.

Colie wyszła za męża. Była w ciąży, a jej dziecko zostało pozbawione ojca. Nie chciała jeszcze bardziej poniżyć własnego ojca, więc znalazła kogoś, kto zgodził się dać jej dziecku swoje nazwisko. Bezpowrotnie odcięła się od J.C.

Wstał i wyszedł z kawiarni. Poruszał się jak lunatyk. Stał na chodniku, pośrodku szalejącej śnieżycy, i nie czuł nic. Colie

odeszła na zawsze. Wyrzucił ją jak niepotrzebny przedmiot. Nigdy więcej nie zagości w jego życiu. Nigdy nie doświadczy jej czułości i opieki, których tak bardzo potrzebował, choć udawał przed samym sobą, że tak nie jest.

Colie odeszła. Przez niego. Odeszła z dzieckiem, które mogło być jego dzieckiem; dzieckiem, które będzie dorastało, myśląc, że jego ojcem jest inny mężczyzna. Dzieckiem, którego nigdy nie pozna.

Wiedział, jak to jest, gdy się dorasta bez ojca. Jego ojciec opuścił go, kiedy miał dziesięć lat. A teraz jego dziecko czekał ten sam los.

Choć właściwie nie. Colie miała męża. Przy odrobinie szczęścia będzie traktował ją lepiej niż on. Czy ten mężczyzna wiedział, że Colie jest w ciąży? Od razu znał odpowiedź na to pytanie. Oczywiście, że wiedział. Colie nigdy nikogo nie okłamała.

Nigdy w życiu tak bardzo się nie pomylił. Zżerało go poczucie winy. Jego wybuchowy temperament kosztował go niewypowiedzianie drogo. Stracił jedyną osobę w całym swym dorosłym życiu, która naprawdę go kochała. Może nawet zrobił to celowo kierowany swymi urazami? Podświadomie zawsze się spodziewał się, że ludzie go zdradzą. Nikomu nie ufał.

Powinien był zaufać Colie. Powinien był o nią walczyć, kiedy jeszcze nie było za późno.

Wsiadł do SUV-a i odjechał, myśląc, że do końca życia będzie sam. Pewnie na to zasłużył. Pewnie zasłużył na wszystko, co go spotkało.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

J.C. wrócił na ranczo, nie spotykając nikogo po drodze. Zapukał do drzwi. Delsey wpuściła go do środka.

- Cześć, J.C...

- Czy Ren jest w domu? – wszedł jej w słowo.

- Tak, w swoim gabinecie...

- Dzięki. – Ominął ją i ruszył do gabinetu.

Kiedy wszedł, Ren podniósł wzrok znad laptopa.

- Wiedziałaś, że wyszła za mąż?

- O czym ty mówisz?

- Colie. Wiedziałaś, że wyszła za mąż?

- Colie wyszła za mąż?! – zawołał zdumiony Ren. – Kiedy? Za kogo...?

J.C. opadł na fotel.

- Nie wiem. Lucy mi powiedziała. Chciałem znaleźć Colie. Kiedy zadzwoniłem do jej ojca, rozłączył się, a Roda nie ma w mieście, więc nie miałem, kogo zapytać... – Urwał, patrząc na przyjaciela z rozpaczą. Był kompletnie bezradny.

Ren wiedział, co czuje J.C. On też popełnił w przeszłości poważne błędy, ale na szczęście rozsądek wrócił mu na czas, by nie stracić Merrie.

- Przykro mi – powiedział tylko.

- Dlaczego ona to zrobiła?!

Ren milczał przez parę sekund. Potem pochylił się do przyjaciela, kładąc na biurku złożone dłonie.

- Colie jest w ciąży - powiedział łagodnie. - Zapewne uznała, że przysporzyła już swojemu ojcu dostatecznie wiele kłopotów. Nie mogła sobie pozwolić na urodzenie nieślubnego dziecka.

J.C. bezradnie zacisnął pięści. Tak właśnie podejrzewał. Wiedział, że wielebny miał przez niego kłopoty. Uczynił wiele złego człowiekowi, który przez całe życie starał się tylko pomagać innym.

Colie jest w ciąży. Czy nosi jego dziecko? Już nigdy się nie dowie. Odeszła na zawsze. Wyszła za mąż! Dlaczego wcześniej nie przewidział, że to zrobi?

Ale za kogo wyszła? Nikt w mieście nic nie wspominał o weselu. Musiała zatem wyjechać gdzieś, gdzie ludzie jej nie znali i nie wiedzieli o ich romansie. Gdzieś, gdzie miała nadzieję znaleźć mężczyznę, który zgodzi się zostać ojcem dla jej dziecka.

Co, jeśli to naprawdę jest jego dziecko? Nigdy go nie zobaczy, nigdy go nie pozna. I to z własnej winy. Ból przeszywał go jak sztylet. Nigdy dotąd tak bardzo się nie pomylił. Wyrzucił Colie za drzwi, obraził ją, oskarżył o kłamstwo, wyśmiał to, jak zachowywała się w łóżku.

- Czasem kopiemy sobie grób na długo przed śmiercią - powiedział nagle.

Ren tylko skinął głową.

Pierwszych kilka tygodni w kancelarii Darby'ego Howlanda nie było łatwe. Annie zapewniła kuzynkę, że jest chciana i potrzebna, ale sama Colie takiej pewności nie miała. Była



świadoma swojego stanu, choć na szczęście jeszcze nie było tego po niej widać. Pan Howland okazał jej wiele życzliwości i zaufania, ale nie miała pojęcia, jak by zareagował, gdyby poznał prawdę. Nie chciała zaczynać nowego życia w mieście, w którym wszyscy wiedzą, co zrobiła.

Natomiast sama praca nie przysparzała jej stresu. Odbierała telefony, pisała mejle, pilnowała terminarza i robiła wszystko, o co ją poproszono. Kancelaria była dobrze zorganizowana i przyjemnie się w niej pracowało. Colie miała wrażenie, jakby nie opuszczała biura w Catelow.

Bardzo lubiła pana Howlanda, który przewodził trzyosobowej kancelarii. Był wysoki i chudy, miał gęste szpakowate włosy, ciemne oczy i oliwkową cerę. Nigdy nie przestawał się uśmiechać, a jego niski, jowialny głos działał na nią uspokajająco. Mimo to nie zdobyła się na śmiałość, by opowiedzieć mu o swojej sytuacji. Wiedziała, że wygląda na wygląda na kogoś, kto coś ukrywa, a on zdawał się wyczuwać, że coś jest nie w porządku. Dlatego pod koniec drugiego tygodnia pracy wezwał ją do swojego gabinetu, zamknął drzwi i wyłączył komórkę.

- Najpierw zajmijmy się mniej przyjemnymi sprawami, dobrze? - zaproponował, wskazując krzesło naprzeciwko swojego biurka. - Wyglądasz jak zbieg, który spodziewa się aresztowania. Chcesz o tym porozmawiać?

Colie westchnęła, zebrała się w sobie i odparła:

- Panie Howland, jest coś, o czym powinien pan wiedzieć.

- Kontynuuj - rzucił z uśmiechem, gdy zamilkła, a kiedy zawahała się, stwierdził: - Och, rozumiem. - Usiadł za biurkiem, krzywiąc się odrobinę. - No dobrze, odłożmy twoje nieprzyjemne sprawy na później. Najważniejsza i tak nie

dotyczy ciebie, a mnie. – Położył na biurku splecione dłonie. – Umieram.

Odebrało jej mowę. Wprawdzie Annie mówiła, że pan Howland choruje na raka i dodała, że nie zostało mu wiele czasu, ale Colie nie przypuszczała, że kres jest tak bliski.

- Wybacz. To było dość bezpośrednie. – Uśmiechnął się smutno. – Widzisz, choruję na bardzo rzadki rodzaj nowotworu. To szpiczak mnogi. Bez przerwy bolał mnie kręgosłup, ale myślałem, że to reumatyzm. Zdiagnozowano go u mnie, kiedy miałem dwadzieścia kilka lat, dlatego nie poszedłem do lekarza. Kiedy ból stał się na tyle nieznośny, że wreszcie poszedłem zbadać, było już za późno.

- Tak mi przykro – szepnęła bezradnie Colie.

Pan Howland znów się uśmiechnął.

- Byłem żonaty. Poznaliśmy się jeszcze w szkole średniej i od razu wiedziałem, że to miłość mojego życia. Nie mogliśmy mieć dzieci, ale mieliśmy siebie nawzajem. Nasze małżeństwo było tak cudowne, że po tym, jak ją straciłem, nigdy nie spojrzałem na inną kobietę. Dlatego to wcale nie jest tak złe, jak się wydaje. – Skrzywił się. – No, ból trochę mi dokucza, ale świadomość, że wkrótce się z nią zobaczę, dodaje mi siły.

- Rozumiem. – Colie pomyślała o tym, jak straciła J.C. To było prawie tak, jakby umarł. Gdyby naprawdę zmarł, a ona musiałaby spędzić resztę życia samotnie, perspektywa własnej śmierci nie wydawałaby jej się tak przerażająca. Wyrządził jej nieodwracalną krzywdę, ale to najwyraźniej nie wystarczyło, żeby przestała go kochać.

Pan Howland przekrzywił głowę.

- Myślałaś o innej nieprzyjemnej sprawie. Czy mogę zapytać, o co chodzi?

Colie wzięła głęboki oddech.

- Kiedy mieszkałam w Catelow, związałam się z pewnym mężczyzną. Kochałam go bezgranicznie. Dlatego kiedy zaproponował, żebym się do niego wprowadziła, zrobiłam to. Większość mieszkańców uznała to za skandal, zwłaszcza, że mój ojciec jest pastorem. Ale najgorsze miało dopiero nadejść. On bardzo nie chciał mieć dzieci. Mieliśmy wpadkę i wolał uwierzyć, że to nie jego dziecko. Wyrzucił mnie z domu. Nie chciałam przynosić mojemu ojcu jeszcze większego wstydu, rodząc nieślubne dziecko, więc zapytałam Annie, czy mogłabym u niej zamieszkać. - Colie uparcie wpatrywała się w blat biurka. - Pewnie powinnam oszczędzić nam obojgu dalszych nieprzyjemności i po prostu złożyć wypowiedzenie...

- Nie wolałabyś zamiast tego wziąć ze mną ślubu?

Colie opadła szczęką.

- Co?

Pan Howland wzruszył ramionami.

- Nie zależy mi na tym, by żyć z tobą jak mąż z żoną. Pewnie tobie też nie. Ale jesteś w ciąży, a twoje dziecko potrzebuje ojca. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Uwielbiam dzieci! Nigdy nie doczekaliśmy się ich z Mary, ale mogę ci pomóc z twoim, póki mam czas.

Z oczu Colie popłynęły łzy.

- Ale... wcale się nie znamy...

- Annie o wszystkim mi opowiedziała - wyjaśnił pan Howard. - Nie złość się na nią. Byłem najlepszym

przyjacielem jej ojca i nie mamy przed sobą sekretów. Poza tym jestem prawnikiem. Nauczono mnie trzymać język za zębami.

Colie uśmiechnęła się, ocierając łzy.

- Mnie nauczono tego samego, kiedy pracowałam w kancelarii w Catelow.

- Wiem. Rozmawiałem z nimi. Powiedzieli, że wszyscy w biurze za tobą tęsknią. Byłaś bardzo lubiana.

- Wow. - Colie zarumieniła się z radości.

- Tutaj też na pewno wszyscy cię polubią. Pobierzemy się, jak tylko znajdziemy pastora, który zgodzi się udzielić nam ślubu.

- Wszyscy uznają, że pan oszalał - zauważyła Colie. - Dopiero co się poznaliśmy.

- I co z tego? Będą o tym plotkować przez całe miesiące, ale bez złośliwości. Jacobsville to naprawdę miłe miasto. Mieszkają tu ludzie, którzy popełnili poważne przestępstwa, a potem wrócili do społeczeństwa. Nikt ich nie ocenia, a oni zapłacili za to, co zrobili. Mamy też jedną z najlepszych szkół antyterrorystycznych na świecie, prowadzoną przez byłego najemnika Eba Scotta. Widzisz? Mieszka tu dużo ciekawych ludzi. Zapomniałem wspomnieć, że nasz komendant jest byłym agentem specjalnym, a nasz szeryf ożenił się z córką słynnego barona narkotykowego.

Colie po prostu siedziała i słuchała go z otwartymi ustami.

- To bardziej ciekawe miasto - dodał Howland z szerokim uśmiechem. - Małżeństwo dwojga nieznajomych nie powinno zbyt nikogo zdziwić.

- Co za fascynujące miejsce!

- Też tak uważam. - Nagle spoważniał. - Została tylko jedna kwestia do ustalenia. Jesteś pewna, że ojciec twojego dziecka nie zmieni zdania?

Colie uśmiechnęła się smutno.

- Powiedział, że nie chce nigdy więcej oglądać mnie na oczy. Powiedział, że dziecko, które noszę, nie jest jego. Powiedział... - Colie się zawahała. - Powiedział wiele rzeczy, których nigdy nie zapomnę. Jest samotnikiem. Nie chce zakładać rodziny. A zatem nie, nie ma najmniejszej szansy, żeby zmienił zdanie. - Podniosła wzrok. - I bardzo dobrze. Gdyby tylko mnie zechciał, przesłabym dla niego po tłuczonym szkle. Tak bardzo go kochałam - dodała łamiącym się szeptem.

- Kochałem Mary równie mocno - odparł cicho pan Howland. - Nadal ją kocham. Myślę o niej każdego dnia, każdej godziny, każdej minuty. Odeszła trzy lata temu, ale mam wrażenie, jakby to było wczoraj. Mówili, że czas leczy rany. Mylili się.

Colie skinęła głową.

- Myślę, że tak głębokich ran nie da się do końca wyleczyć.

Pan Howland pochylił się do przodu.

- No dobrze, w takim razie czy wyjdiesz za mnie? Chrapię, ale nie będzie ci to przeszkadzać, bo będziesz miała oddzielną sypialnię. Muszę regularnie przechodzić chemioterapię i radioterapię, po których ciężko choruję. Będziesz musiała z tym żyć.

- Och, nie przeszkadza mi to - powiedziała z uśmiechem Colie. - Opiekowałam się J.C. w chorobie, nawet kiedy wymiotował.

Jego spojrzenie złagodniało.

- Na taką właśnie osobę wyglądasz - powiedział. - Założę się, że obcy ludzie opowiadają ci o swoich problemach.

Colie się roześmiała.

- Tak, to prawda. Czasem jestem tym mocno zakłopotana. Po prostu ich słucham i się nie odzywam.

- Twój ojciec pewnie też jest w tym dobry. Może lepiej do niego zadzwoń i opowiedz mu o naszym szalonym pomysle?

- Tak, wieczorem do niego zadzwonię. - Nagle zmarszczyła brwi. - Nie mam zbyt wielu sukienek. Muszę być w sukni ślubnej?

- Oczywiście, że nie. Jeśli chodzi o mnie, możesz mieć na sobie dzinsy. Ja założę garnitur, ale tylko dlatego, że mam w szafie same garnitury.

- To wszystko dzieje się tak szybko...

- Nie dla mnie. - Pan Howland uśmiechnął się lekko. - Kiedy Annie powiedziała, że jej ciężarna niezamężna siostra przyjeżdża i będzie potrzebowała pracy, zacząłem o tym myśleć. Nigdy nie miałem za wiele do czynienia z dziećmi, choć tak bardzo chciałem je mieć. To będzie jedna z największych przygód mojego życia.

- To takie miłe z pana strony - szepnęła Colie, walcząc ze łzami.

- Z twojej strony także, Colie. Ostrzegam, że nie będzie łatwo. Naprawdę ciężko choruję i często nie potrafię zasnąć, więc całymi nocami włączę się po domu i oglądam telewizję.

- Nie przeszkadza mi to - odparła Colie. - Po prostu chcę, żeby moje dziecko miało najlepszy możliwy start. Nie chcę,

żeby to, co zrobiłam, odbiło się na nim.

- Dopilnuję, żeby tak się nie stało.

- W takim razie wyjdę za pana, panie Howland. I będę się panem opiekować tak długo, jak tylko będzie mnie pan potrzebował.

- Wystarczy Darby – sprostował z uśmiechem..

- Och, no tak. Darby – powtórzyła nieco speszona.

- Nazwano mnie na cześć mojego pradziadka. Był zastępcą szeryfa hrabstwa Jacobs.

- Chętnie bym o nim posłuchała. Może podczas jednej z tych bezsennych nocy?

- Dobry pomysł. Wspaniale będzie mieć towarzystwo. Tęskniłem za tym.

- Będę musiała zadzwonić do taty.

- Czemu nie zająć się tym od razu? – Pan Howland włączył Skype'a na swoim komputerze. – Jaki ma numer? Muszę wysłać zaproszenie do kontaktu.

Colie wstała.

- Nie trzeba. Zaloguję się na moje konto.

- Oczywiście. Siadaj. – Pan Howland wstał i gestem wskazał jej fotel. Colie szybko wpisała login i hasło i zadzwoniła do ojca.

Wielebny Thompson odebrał po kilku sekundach. Na ekranie komputera pojawiła się jego uśmiechnięta twarz.

- Dzień dobry, Colie – powiedział. – Jak się miewasz?

Darby przysunął się do Colie i uśmiechnął się do kamery.

- Dzień dobry, pastorze. Nazywam się Darby Howland

i chcę ożenić się z pańską córką.

Wielebny Thompson wytrzeszczył oczy. Wyglądał, jakby odebrało mu mowę.

- Dziecko potrzebuje ojca – kontynuował łagodnie Darby. – A ja umieram na raka. Moja żona zmarła trzy lata temu. Colie i jej dziecko będą dla mnie osłodą w ostatnich dniach mojego życia, a ja zapewnię im wszystko, czego tylko będą potrzebować.

Wielebny Thompson nareszcie odzyskał głos.

- Panie...

- Howland. Darby Howland. Jestem właścicielem kancelarii, w której pracuje Colie.

- Panie Howland, oboje jesteśmy pańskimi dłużnikami – zdołał wykrztusić pastor. – Tak się o nią martwiłem...

- Zaopiekuję się nią – obiecał Darby. – Niczego nie będzie brakować ani jej, ani dziecku. – Uśmiechnął się. – Mary i ja bardzo chcieliśmy mieć dzieci, ale nie udało jej się zająć w ciążę. Nie mogę się doczekać, aż zostanę ojcem, nawet, jeśli tylko na papierze.

- To bardzo szlachetne z pana strony – powiedział cicho ojciec Colie. – Będę o panu pamiętał, zmawiając modlitwę.

- To wiele dla mnie znaczy. Jestem praktykującym metodystą.

- My też! – wykrzyknął wielebny Thompson. – Cóż za zbieg okoliczności.

- Bardzo szczęśliwy – odparł z uśmiechem Darby. – Mamy wspaniałego pastora w naszym kościele. Jest trochę ekscentryczny, jeździ mustangiem. Ale kiedy ktoś potrzebuje



pomocy, nie znajdziesz lepszego człowieka.

- Tata jest taki sam – powiedziała Colie, uśmiechając się do ojca.

- Chciałby pan przylecieć na ceremonię? – zapytał Darby. – Mogę wysłać po pana samochód na lotnisko.

- Naprawdę chciałbym tam być – odparł z westchnieniem wielbny Thompson. – Niestety, jedna z moich parafianek będzie miała rano operację serca. Obiecałem, że będę przy niej.

- Tata zawsze dotrzymuje obietnic – powiedziała Colie, po czym zwróciła się do ojca, na którego twarzy widniała rozterka. – W porządku – powiedziała. – Zrobimy dużo zdjęć. Co ty na to?

Pastor odprężył się nieco.

- Byłoby wspaniale, Colie. Poszczęściło ci się, moja panno. Dbaj o siebie. Często do mnie dzwoń.

- Tak zrobię. Kocham cię, tato.

- Ja ciebie też. Dziękuję, Darby – dodał pastor. – Uratowałeś nas.

- Nie ma za co dziękować. – Uśmiechnął się szeroko. – Zostanę ojcem!

Colie też się uśmiechnęła.

Ślub wzięli w miejscowym kościele metodystów. Za świadków mieli tylko Annie i Toby'ego. To nie była wystawna ceremonia, choć Darby kupił jej piękny bukiet złożony z poinsecji, białych róż i gipsówek. Kupił też obrączki. Colie protestowała przeciw wszystkim tym wydatkom, ale powiedział, że dla niego to jak kieszonkowe.

- Dwukaratowy brylant to dla ciebie kieszonkowe?

- Zapomniałem powiedzieć – odparł wesoło, kiedy wyszli z kościoła. – Jestem bogaty.

- Szkoda, że nie wiedziałam wcześniej. Mogłabym wszystkim powiedzieć, że wychodzę za ciebie dla pieniędzy – zażartowała Colie.

Darby wybuchnął śmiechem.

- W co ja się wplątałem? – zawołał z udawaną rozpaczą.

Wielebny Jake Blair dołączył do nich na schodach kościoła.

- Małżeństwo to poważna sprawa. Żadnych śmichówchichów.

Miał przy tym tak grobową minę, że wszyscy popatrzyli na niego ze zdumieniem, ale po kilku sekundach uśmiechnął się szeroko.

- Ha, daliście się nabrać! Tworzycie świetną parę, od razu widać. – Potrząsnął dłonią Darby'ego. – Cieszę się, że odzyskałeś radość życia.

- Nie zostało mi go zbyt wiele – powiedział szczerze Darby.

- Życie mierzy się miarą szczęśliwych dni, przyjacielu. Dzień wczorajszy jest wspomnieniem, a dzień jutrzejszy nadzieją. Mamy tylko tu i teraz. Nikt nie może mieć pewności, że zostało mu więcej, nawet najmłodszy i najzdrowszy z nas.

Darby spojrzał na niego uważnie.

- Naprawdę jesteś filozofem, Jake.

- Nie do końca, ale pracuję nad tym. – Uśmiechnął się do Colie. – Mam córkę w twoim wieku. Niedawno urodził jej się syn. Jest moim oczkiem w głowie.

- Nie mogę się doczekać, aż ją poznam – odparła Colie. – Jestem tu nowa, minie trochę czasu, zanim wszystkich poznam.

- Darby wszystkich zna. Na pewno cię przedstawi – zapewnił pastor. – To małe miasteczko, ale nie mamy tu podziałów ani uprzedzeń. To jedno z najmiłszych miejsc na ziemi. Spodoba ci się tutaj.

- Jestem tego pewna!

- Słyszałem, że twój ojciec też jest pastorem. Chętnie go poznam, kiedy uda mu się przyjechać.

Colie już wcześniej wyjaśniła, dlaczego jej ojciec nie jest obecny.

- Bardzo poważnie traktuje swoją pracę.

- Tak jak ja – odparł Jake. – Jeszcze raz wam gratuluję.

- Dziękuję, pastorze – powiedziała Colie.

Darby powtórzył po niej i dodał:

- No to w drogę. Jedziemy do domu!

Darby mieszkał w dużym domu z ogrodem, przez który płynął strumień. Całą posesję otaczały jadaloszyny, dęby i orzeszniki.

- Jest tu zupełnie inaczej niż w Wyoming – zauważyła Colie.

- Pięknie, tylko... inaczej.

- Nie uświadczysz tu sosen, topoli ani osik – zgodził się Darby. – Owszem, roślinność w Teksasie jest inna, ale ludzie wszędzie są tacy sami. Lubię tu mieszkać. Czuję się, jakby całe miasteczko było jedną wielką rodziną.

- Zauważyłam – stwierdziła Colie, a na widok domu westchnęła z zachwytem. Była to idealna wiktoriańska

rezydencja o białych ścianach i brązowych drewnianych wykończeniach, wysoka na dwa piętra i otoczona drzewami.

- Jaka piękna! – zawołała z podziwem.

- Zbudowałem ją dla Mary – odparł ze smutkiem Darby. – To był nasz pierwszy i jedyny dom.

- Tylko że wy pewnie najpierw się pobraliście – cicho powiedziała Colie. – Żałuję, że moje życie ułożyło się inaczej.

- Pokręciła głową. – Zbłądziłam.

- Jesteś jeszcze bardzo młoda. Nie masz czego żałować, skoro nie wiesz, w jakim kierunku potoczy się twoje życie.

- Pewnie tak. – Odwróciła się do swojego męża. – Masz gospodynię?

- Oczywiście, to pani Lopez. Pracuje trochę u mnie, a trochę w kwiaciarni. Polubisz ją.

- Jest dzisiaj w domu?

- Nie. Pracuje dla mnie we wtorki i czwartki. Zostawia mi obiady do odgrzania na resztę tygodnia.

- Teraz codziennie będziesz jadł świeże – obiecała Colie. – Potrafię gotować.

- Teraz to już mam całkowitą pewność, że podjąłem bardzo dobrą decyzję – stwierdził wesoło.

- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczna...

Darby uniósł dłoń.

- To umowa partnerska. Oboje na niej skorzystamy. – Zaparkował samochód przed wejściem. – Oto nasz dom. – Wskazał szeroką werandę, na której stały huśtawka i wyściełane fotele. Pod drzewem na skraju werandy wisiał hamak. – To orzesznik – powiedział, wskazując drzewo. – Ale

i tak muszę je kupować, bo cholerne wiewiórki pożerają z drzew wszystkie orzechy, kiedy są jeszcze zielone. Mieszkałem tu przez trzydzieści lat i ani razu nie zjadłem orzecha z własnego orzesznika.

- Pamiętaj, że wiewiórki nie mogą kupić ich w sklepie – skwitowała z uśmiechem. – O, widzę karmniki i budki dla ptaków! Uwielbiam ptaki! W domu też codziennie je karmiłam.

- Ja też lubię ptaki – odparł Darby. – Jeszcze za wcześnie, żeby zaczęły wic gniazda, ale na wiosnę będziemy tu mieć całą masę piskląt.

Colie pomyślała o J.C., który na zawsze przestał być częścią jej życia. Udawała, że jej to nie obchodzi, ale tak nie było. Nigdy nie przestanie go kochać, ale nie mogła sobie pozwolić na nieślubne dziecko. Zrobiła to co konieczne.

Poza tym Darby był dobrym człowiekiem. Będzie się nim opiekować tak długo, jak będzie jej potrzebował.

Ciąża okazała się trudną przygodą. W miarę jak dziecko się rozwijało, dręczyły ją obolałe piersi, poranne nudności i zgaga.

- To okropne! – jęknęła pewnego dnia podczas lunchu, gdy była już w szóstym miesiącu. Większość miejscowych uznała, że to dziecko Darby'ego, i cieszyli się jego szczęściem. Pokochali też Colie. Nigdzie nie czuła się tak lubiana jak tutaj.

- Co jest okropne? – zapytał Darby.

- Zgaga! Mam ochotę na pikle i mam zgagę! To najgorsze połączenie.

- Nie martw się. Jeszcze tylko trochę musisz wytrzymać.

Colie westchnęła, po czym z uśmiechem dotknęła brzucha.

- Powinnam sprawdzić, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Żona pana Kempa urządza dla mnie pępkowe i wszyscy przyniosą żółte rzeczy...

- Lubię żółty. Ty nie?

- Och, bardzo lubię.

Przyjrzała się pobrużdżonej twarzy Darby'ego. Przybyły na niej nowe zmarszczki. Jego stan wciąż się pogarszał. Co tydzień jeździła z nim do szpitala na chemio- i radioterapię. Miała nadzieję, że wytrzyma na tyle długo, żeby zobaczyć jej dziecko. Tak bardzo na nie czekał.

- Spokojnie, nigdzie się jeszcze nie wybieram – powiedział, gdy pochwycił jej spojrzenie.

- Wybacz. Martwię się o ciebie.

Darby przekrzywił głowę i uśmiechnął się do niej.

- Jestem twardym staruszką. Nie ma opcji, żebym kopnął w kalendarz, zanim dziecko się urodzi. Za długo na nie czekam.

Jej ojciec zachowywał się tak samo. Wiedziała o tym, bo prawie codziennie rozmawiali na Skypie.

- Tata mówi, że kiedy dziecko się urodzi, przyjedzie nas odwiedzić.

- Niezbyt lubi podróżować, co?

- Nie znosi. Boi się samolotów, ale nie lubi też długiej jazdy samochodem. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek opuścił Catelow. Oczywiście poza służbą w wojsku, o czym tylko słyszałam, bo jeszcze mnie nie było na świecie. Było to tuż po ślubie moich rodziców.

- Twoja matka musiała być cudowną kobietą.

- Tak samo jak tata – odparła Colie. – Miła, delikatna i kochająca. – Podniosła wzrok na Darby’ego. – Tata wiele przeze mnie wycierpiał. Miłość naprawdę jest ślepa. Kiedy kochamy, nie obchodzi nas nic prócz tego, by być z ukochaną osobą.

- To prawda – stwierdził z zadumą. – Czasem potrafi się to na nas zemścić.

Miał na myśli mężczyznę, który porwał kobietę i próbował zmusić ją do małżeństwa. Porwanie było zbrodnią federalną, więc sprawą zajmowała się policja międzystanowa. Kancelaria będzie musiała nieźle się nagłówkować, żeby ich klient dostał rozsądny wyrok.

- Biedny facet – westchnęła Colie. – I jego biedna matka. – Nieszczęsna kobieta dzwoniła do kancelarii prawie codziennie, płacząc i żaląc się w słuchawkę.

- Jeśli chcesz mieć pracę, która nie wpędza cię w depresję, to pod żadnym pozorem nie wybieraj prawa – odparł Darby. – Widzimy w ludziach to co najgorsze.

- Tak, ale czasem możemy im pomóc.

- Nie, kiedy sprawą zajmie się rząd federalny. Prokurator zapowiedział, że nie spocznie, póki nasz klient nie dostanie dożywocia.

- Pewnie nigdy nie był zakochany – półżartem stwierdziła Colie.

- Prokurator? – Darby pokręcił głową. – Bardzo w to wątpię. Jest sztywny jak nieboszczyk. Z drugiej strony, jest doskonałym prawnikiem. Odrabia pracę domową, ma ładny głos i robi, co może dla ofiar przestępstw.

- Też tak słyszałam.

Przyjrzał jej się z troską.

- Ostatnio jesteś bardzo zmęczona. Wiem, że nie pomagam. Za każdym razem, kiedy wracam po chemii, jestem ledwie żywy.

- Nie przejmuj się. - Nakryła ręką jego dłoń. - Opiekujemy się sobą nawzajem. Czyż nie?

Darby się uśmiechnął.

- Nie myślałem o tym w ten sposób. - Odszukał spojrzenie Colie. - Jeszcze trzy miesiące.

- Tak, trzy miesiące. - Odwzajemniła uśmiech.

Telefon wielebnego Thompsona zadzwonił pewnego gorącego sierpniowego wieczoru. Spodziewał się go, ale i tak prawie spanikował na myśl o długiej podróży samolotem.

Jak się okazało, Darby miał znajomych, którzy posiadali prywatny odrzutowiec i zgodzili się go wysłać do Catelow. Oczywiście rodzeństwo Mosby zrobiłoby to samo, gdyby Colie ich o to poprosiła, tak jednak było bezpieczniej. Znajomi Darby'ego nie znali nikogo w Catelow, a Colie nie chciała, żeby J.C. dowiedział się o dziecku, choć nie potrafiła wytłumaczyć dlaczego.

Pilot zaprosił pastora do środka, pokazał mu jego miejsce i kontynuował obchód maszyny. Jeden z mechaników na lotnisku należał do parafii pastora. Patrząc, jak odrzutowiec wzbija się w powietrze, nie mógł się doczekać, żeby przekazać wieści dalej. Powiedział swojej żonie, która powiedziała florystce, która powiedziała prawnikom w kancelarii, gdzie pracowała Lucy. Lucy powiedziała koleżance, z którą jadła lunch, nieświadoma faktu, że przy



barze stoi J.C. Calhoun.

- To takie ekscytujące! - szczebiotała Lucy. - Nie chciała mi powiedzieć, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka. Mówią, że jej mąż jest chory na raka - dodała ze smutkiem. - Powiedziała, że może mieć tylko nadzieję, że tak długo jeszcze pożyje, by zobaczyć dziecko. Cieszy się nim tak samo jak ona. I bardzo dobrze mu się powodzi! Colie, gdyby chciała, już nigdy nie musiałaby pracować. Chociaż jestem pewna, że wróci do pracy - dodała ze śmiechem. - Wyobrażasz sobie Colie, która całymi dniami siedzi w domu i pije herbatkę?

Serce zamarło J.C. w piersi. Dziecko było w drodze! Uświadomił sobie, że odkąd ją stracił, minęło już pół roku. Na dodatek wyszła za mąż. Inny mężczyzna będzie trzymał ją za rękę podczas porodu i razem z nią wychowa z nią dziecko. A ten, kto prawdopodobnie je spłodził, nigdy go nie zobaczy.

Zmusił się, żeby o tym nie myśleć. Rod jednoznacznie stwierdził, że dziecko nie jest jego. Kiedy wrócił z podróży, pokazał mu nawet domniemanego chłopaka Colie. Ze łzami w oczach opowiadał mu o oszustwach swojej siostry.

Ale Colie nigdy w życiu nikogo nie okłamała. Była najbardziej uczciwą osobą, jaką znał. Za to Rod nie rozpoznałby prawdy nawet wtedy, gdyby stanął z nią w twarz z twarzą.

Dopiero teraz, pół roku później, J.C. potrafił spojrzeć na tę sprawę z dystansem. Z jego życia uleciała wszelka radość. W środku był zimny jak śnieg, który uparcie padał aż do maja. Teraz był sierpień, w Catelów przyroda bujnie rozkwitła. W Jacobsville zapewne też. Dziecko Colie przyjdzie na świat otoczone ludźmi, którzy ją kochają, włączając w to

jej męża. J.C. zastanowił się, czy Colie czasem o nim myśli, choćby z nienawiścią. Nie zasługiwał na nic innego.

Był sam przez większość życia. W dzieciństwie został skrzywdzony tak dotkliwie, że nigdy nie odważył się nikomu o tym powiedzieć. Dzieciństwo kojarzyło mu się z traumą, więc za wszelką cenę nie chciał mieć dzieci. A teraz, kiedy myślał, o dziecku Colie, czuł smutek i żal. Jeśli naprawdę było jego, wyrządził mu ogromną krzywdę. Dobrze, że Colie poznała kogoś innego. Wyglądało na to, że mąż dobrze się nią opiekuje i daje jej wszystko, czego zapragnie.

Zaraz jednak przypomniał sobie, że przecież Colie niczego nie chciała. Nie pozwalała mu nawet płacić za swoje jedzenie. Powiedział, że jest chciwa, a przecież to było ostatnie, o co można by ją oskarżyć.

Kelnerka położyła jego zamówienie na barze. Kiedy sięgnął po portfel, telefon Lucy zadzwonił.

- To mąż Colie! - zawołała. - Tak - powiedziała do telefonu.  
- Tak, wielbny Thompson jest w drodze... Co? To dziewczynka! Colie urodziła dziewczynkę!

Przy stoliku Lucy rozgrywało się prawdziwe pandemonium. Rozkojarzony, J.C. przyjął resztę, wziął zamówienie i wyszedł z baru.

Dziewczynka. Czy miała te same kręcone włosy i zielone oczy co Colie? Czy będzie taka jak jej matka, dobra, miła i łagodna? Żal i tęsknota ścisnęły go za gardło. To najprawdopodobniej było jego dziecko. Jego córka.

Mógłby być teraz w szpitalu przy Colie, uspokajać ją i pocieszać. Zamiast tego był sam. Nikt prócz niego nie będzie wiedział, że mała dziewczynka, którą właśnie urodziła, nie jest dzieckiem jej męża. Resztę życia spędzi, żałując

swych błędów.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Biorąc dziecko na ręce, Colie była ledwie żywa. To był długi i bolesny poród. Po kilkugodzinnych męczarniach lekarz zdecydował, że trzeba zrobić cesarskie cięcie.

- To dziewczynka, kochanie - szepnął Darby. - Jest taka śliczna!

- Dziewczynka. - Colie uśmiechnęła się słabo. Ból przeszywał ją do głębi. Wszystko potoczyło się nie tak. Powinna być żoną J.C. To J.C. powinien tu z nią być, patrzeć na swoją córkę, trzymać ją na rękach. Zamiast tego Darby przeżywał to wszystko, co powinno należeć do bezwzględnej mężczyzny, który za jednym zamachem porzucił je obie.

- Boli - wykrztusiła.

Biedny Darby pomyślał, że to ból fizyczny, a nie psychiczne cierpienie wycisnęło z jej oczu gorące łzy.

- Powiem im - szepnął. - Wszystko już jest w porządku. Wszystko będzie dobrze.

Nie było. Nigdy nie będzie.

Colie zasnęła.

Kiedy się obudziła wciąż półprzytomna od środków przeciwbólowych, pochylał się nad nią ojciec. Jego oczy były pełne łez.

- Jest piękna - szepnął. - Wygląda tak samo jak ty, kiedy się urodziłaś - wykrztusił ze wzruszeniem.

Colie uśmiechnęła się słabo.

- Chcieliśmy naturalnego porodu – szepnęła. – Chodziliśmy do szkoły rodzenia...

- Kochanie, nigdy nie można mieć pewności, że wszystko pójdzie po naszej myśli. Po prostu trzeba wierzyć, że Bóg wie, co robi, nawet jeśli my nie wiemy. A tak przy okazji, twój pastor tu jest.

- Wielebny Blair?

- Tak. Przyszedł się z tobą zobaczyć, ale uznaliśmy, że ja mam pierwszeństwo – dodał żartobliwie. – Wszyscy bardzo się martwiliśmy.

- Już jest okej – zapewniła Colie. – Po prostu chce mi się spać. I chcę ją zobaczyć.

- Już niedługo – obiecał pastor.

Zamknęła oczy.

- Jaka śliczna! – zachwyciła się świeżo upieczona mama, kiedy podano jej niemowlę. – Jest idealna! – Z fascynacją dotykała małych palców, noska, kręconych rudawych włosów. – Tato, ona jest ruda! – zauważyła ze zdziwieniem.

Wielebny Thompson wyglądał na zmieszanego. Colie wiedziała, dlaczego. Nikt w całej rodzinie nie miał rudych włosów.

- Geny recesywne – skomentował bez troski pastor Blair. – Stąd właśnie biorą się rude włosy i niebieskie oczy. Brązowe włosy i oczy są dominujące.

- Mądra uwaga, pastorze – pochwalił ojciec Colie.

Jake Blair wzruszył ramionami.

- Zanim poszedłem do seminarium, studiowałem biologię.

- Geny recesywne. – Pastor Thompson nieco się odprężył. I on, i Colie doskonale pamiętali, że matka J.C. miała rude włosy i szare oczy. I nie za bardzo ucieszyła ich myśl, że córka Colie może wyglądać, jak ona.

- Teraz mieszkam w Jacobsville, tato – przypomniała Colie, gdy byli tylko we dwoje. – Nawet, gdyby J.C. ją zobaczył, nigdy by nie pomyślał, że jest jego córką. Rod powiedział mu, że jej ojcem jest inny mężczyzna. – Zdrada brata wciąż ją bolała.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego Rod zrobił coś tak okrutnego – ze smutkiem stwierdził wielebny Thompson.

- Na pewno miał swoje powody – odparła Colie. Nie mogła powiedzieć ojcu, co Rod robi ze swoim życiem. Nie chciała narażać go na niebezpieczeństwo. Teraz jej brat zapewne jeszcze mocniej się wplątał w handel narkotykami, niż kiedy opuszczała Catelow. Jej wyjazd miał go upewnić, że nie zdradzi ich sekretu. Miała nadzieję, że tak było. Nawet nie chciała myśleć, co się stanie, jeśli jego wspólnik wybierze na cel jej dziecko.

Wielebny spojrzał na niemowlę w jej ramionach. Colie na cześć swojej matki nazwała dziewczynkę Beth Louise, ale będą na nią mówić Ludie, bo tak od dziecka nazywano jej matkę. Colie karmiła Ludie butelką, ponieważ cesarskie cięcie wolno się goiło i nie mogła karmić piersią.

- Nie powiedziałem ci o tym wcześniej, ale... J.C. dzwonił.

Serce skoczyło Colie w piersi.

- Doprawdy? – zapytała, starając się, by zabrzmiało to bez troski.

- Tak, jakieś trzy tygodnie po twoim wyjeździe. – Wielebny

umknął wzrokiem. – Nie rozmawiałem z nim, po prostu odłożyłem słuchawkę. Może nie powinienem tak się zachować. Wiem też, że poszedł spotkać się z Lucy, próbując cię odnaleźć.

Czy w końcu jej uwierzył? Czy żałował tego, co powiedział?  
Czy chciał naprawić ich relację?

Serce tłukło jej się w piersi, w głowie trwała gorączkowa gonitwa myśli.

- Zabroniłam Lucy mówić mu, gdzie wyjechałam – powiedziała cicho. – Obiecała, że tego nie zrobi. – Lucy nigdy nie wspomniała, że J.C. z nią rozmawiał. Pewnie chciała oszczędzić przyjaciółce dalszych cierpień. – Dość już narobiłam ci problemów.

Wielebny Thompson wyglądał, jakby bił się z myślami.

- Nigdy nie próbowałem spojrzeć na tę sprawę z twojej strony. Nie idę z duchem czasu. Wciąż żyję w świecie, w którym ludzie byli moralni, żyli według nauk Kościoła. Nie potrafię się zmienić...

- Nie proszę cię o to – wpadła mu w słowo. – J.C. mi nie ufał. Co to by był za związek? Jeśli naprawdę się kogoś kocha, to wierzy się w to, co mówi. J.C. nikomu nie ufa i nikomu nie wybacza. – Popatrzyła na dziecko, które trzymała w ramionach. – Nie wydaje mi się, żeby planował cokolwiek naprawić. – Uśmiechnęła się smutno. – Może zadzwonił, żeby się upewnić, że daję sobie radę. Pewnie nawet się cieszy, że nie musi opiekować się dzieckiem, którego nie chciał. – Skrzywiła się, ponieważ każdy ruch wciąż sprawiał jej ból.

- Bardzo możliwe.

- Darby chciał mieć dziecko - dodała Colie z uśmiechem. - Był ze mną na każdej lekcji w szkole rodzenia, chodził ze mną do lekarza, wspierał przez całą ciążę. Niczego nie opuścił, nawet kiedy był osłabiony po chemii. Jest tak samo podekscytowany jak ja. To wspaniałe, że mam kogoś, kto tak bardzo się o mnie troszczy. - Podniosła wzrok na ojca. - Darby kochał swoją żonę i wciąż za nią tęskni, ale Ludie przyniosła mu wiele radości. Cieszę się, że mam go przy sobie, nawet jeśli nie zostało nam wiele czasu.

- Jest dobrym człowiekiem. Modlę się za niego każdego wieczoru. Oczywiście również za ciebie i Ludie.

- Prawda, że jest śliczna jak laleczka?

- Pamiętam twoje narodziny. Byliśmy tacy podekscytowani! Kochaliśmy Roda, ale chcieliśmy też mieć córeczkę. Marzyłem o dziecku, które wyglądałoby tak samo jak Louise. - Wziął głęboki oddech. - I tak się stało, kochanie. Jesteś do niej niesamowicie podobna.

Colie podniosła wzrok.

- Ja też za nią tęsknię, tato.

- To tylko chwilowe rozstanie - powiedział z zadumą. - Jeśli wierzymy w życie pośmiertne, to wierzymy też, że znów zobaczymy się z tymi, którzy odeszli. Dlatego religia jest tak potrzebna.

- Masz rację. - Pogłaskała kręcone włosy córeczki. Przez chwilę zastanawiała się, czy matka J.C. też miała kręcone włosy, ale odsunęła od siebie tę myśl. - Muszę zrobić zdjęcia dla Lucy...

- Chętnie cię wyręczę. - Wielebny wyjął smartfona i z zapalonym zaczął fotografować dziecko.



Lucy pokazywała zdjęcia koleżankom w barze. J.C. właśnie dokończył lunch i już miał wychodzić, kiedy usłyszał, o czym rozmawiają.

Zatrzymał się przy nich.

- Mogę? – spytał dziwnie onieśmielony.

Lucy pokazała mu telefon. Z ekranu uśmiechała się do niego Colie, trzymająca na rękach śpiące niemowlę. J.C. zacisnął zęby. Dziecko było idealną kopią jego matki. Nigdy w życiu, nawet w dzieciństwie nie cierpiał tak bardzo jak w tej chwili. Rod perfidnie go okłamał. Dlaczego?

- Jest śliczna – wydusił przez zaciśnięte gardło. – Jak Colie ją nazwała?

- Beth Louise – odparła Lucy. – Ale ona i Darby nazywają ją Ludie. Tak mówiono na jej matkę.

J.C. skinął głową. Po raz ostatni rzucił okiem na zdjęcie, po czym wyszedł z restauracji. Ludzie będą o tym plotkować, ale co go to obchodzi? Colie poślubiła kogoś innego...

Dziecko było prześliczne. Miało rudoblond włosy i jasne oczy. Coś w kształcie jego ust przypominało mu Colie. Miało też długie palce, jak jego matka, która grała na pianinie.

Wsiadł do SUV-a, nadal cierpiąc katusze. Jeśli potrzebował potwierdzenia, że dziecko jest jego, to teraz je otrzymał. Ale było za późno. O wiele za późno.

Po tygodniu Colie wyszła ze szpitala. Dziecko sprawiało jej tyle radości, że niemal nie zwracała uwagi na ból, ale Darby i tak nalegał, żeby zatrudnili pielęgniarkę.

Argumentował, że to będzie korzystne również dla niego, ponieważ jego stan wciąż się pogarszał. Co dwa dni musiał mieć robioną transfuzję płytek krwi, żeby spowolnić rozwój

nowotworu. Był chudy i blady, i tylko czasami pojawiał się w biurze.

Pewnego ranka nie zgłosił się na transfuzję. Zaniepokojona pracownica szpitala zadzwoniła do Colie i spytała, co dzieje się z panem Howlandem, ale Colie też nic nie wiedziała i przez następnych kilka godzin odchodziła od zmysłów.

Kiedy Darby wrócił, był poważny i mało mówny.

- Podjąłem decyzję - oznajmił. - Nie spodoba ci się. - Gdy spojrzała na niego smutna i wyczekująca, wyjawiał, co to za decyzja: - Zamierzam przerwać transfuzje. - Uniósł dłoń. - Colie, życie nie jest wartością bezwzględną. Liczy się też jego jakość. Cierpię coraz bardziej. Jestem słaby, nie mogę dłużej pracować. Tylko dzięki wam moje życie jest znośne, ale mój stan wciąż się pogarsza. Przecież sama widzisz, że nie wytrzymam już zbyt długo. To tylko odwlekanie nieuniknionego.

Westchnęła z żalem. Bardzo polubiła swojego męża.

- Nie będę udawała, że się z tobą zgadzam. Ciągłe wymyślają nowe lekarstwa, nowe metody leczenia...

- Żadna z nich nie będzie gotowa na czas. Nie powiedziałem ci o tym, ale wczoraj rozmawiałem z onkologiem. - Darby usiadł na krawędzi łóżka. - Najwyżej trzy miesiące, Colie. Tak powiedział.

Starła się żyć z dnia na dzień i nie myśleć o zbliżającej się tragedii. Tak było łatwiej dla nich obojga. Jej oczy wypełniły się łzami.

- Trzy miesiące?

Skinął głową i pogłaskał ją po głowie.

- Mimo choroby to był bardzo radosny okres w moim życiu.

Czekanie, aż dziecko przyjdzie na świat. – Uśmiechnął się smutno. – Mary i ja tak bardzo chcieliśmy mieć dzieci! Cierpiałem, ale świadomość, że muszę doczekać narodzin Ludie, podtrzymywała mnie na duchu. Niestety mój stan się pogarsza. Niedługo zaczną tak bardzo faszerować mnie lekami, że nie będę wiedział, co się wokół mnie dzieje.

Wzdrygnęła się, a wzruszony Darby dodał jeszcze:

- Jestem zaszczycony, że zgodziłaś się za mnie wyjść, Colie. Ale wszystko ma swój koniec.

Ujęła jego dłoń i powiedziała szczerze:

- Dziękuję. Uratowałeś nas.  
- To była piękna przygoda. – Uśmiechnął się. – Ale teraz musisz pozwolić mi odejść.

Nawet nie próbowała powstrzymać łez.

- Będę z tobą przez cały czas, aż do końca.  
- Wiem.

Kiedy Ludie miała dwa miesiące, Colie nie była w stanie dłużej opiekować się Darbym. Jej rolę przejęło hospicjum. Dobrze chociaż, że miał dostatecznie dużo pieniędzy, żeby nie martwić się wydatkami. Rachunki za leczenie i opiekę pochłoną dużą część jego oszczędności. Colie to nie obchodziło. Była przyzwyczajona do tego, że musi pracować na życie. Najważniejsze było, żeby jak to tylko możliwe, ulżyć Darby'emu, który cierpiał straszliwie.

Na domiar złego dostała telefon ze szpitala. Jej ojciec w trybie nagłym musi być operowany. Stan był krytyczny.

Toby'ego i Annie nie było w mieście, więc Colie zadzwoniła do Sari Grayling Fiore, siostry Rena Coltera. Ledwie

powstrzymując panikę, poprosiła ją o zgodę na skorzystanie z odrzutowca Graylingów, bo jak najszybciej musi się dostać do Catelow.

Sari od razu się zgodziła.

- Samolot będzie na ciebie czekał na lotnisku. Jak bardzo źle jest?

- Nie wiem! Powiedzieli, że ma przebity wyrostek. Nie wiem, co to znaczy, ale brzmi okropnie!

Sari wiedziała, ale zachowała to dla siebie.

- Przyjedź najszybciej, jak to możliwe. Samochód będzie na ciebie czekał na lotnisku. Zawiezie cię prosto do szpitala.

- Jesteś dla mnie taka dobra...

- Ty też wiele dla nas zrobiłaś, Colie. Kochamy cię. Przykro mi z powodu Darby'ego. Słyszeliśmy, że nie jest najlepiej.

- Nie zostało mu wiele czasu – odparła ze smutkiem. – Nie chcę go zostawiać, ale muszę zobaczyć się z tatą. Oczywiście Rod nadal jest nieuchwytny – dodała gniewnie.

- Twój brat?

- Tak.

- Może jeszcze przyjedzie.

- Ja na pewno przyjadę. Bardzo ci dziękuję. Nie wiem, jak ci się odwdzięczyć!

- Nie musisz. Zadzwoń po taksówkę i jedź prosto na lotnisko.

- Wiem, zaraz zadzwonię. Jeszcze raz dziękuję!

- Nie ma problemu.

Colie zadzwoniła do Jacka Moralesa, byłego policjanta

z San Antonio, który uznał, że prowadzenie całodobowej firmy taksówkarskiej w Jacobsville jest mniej stresujące niż poprzednie zajęcie.

- Przepraszam, że budzę cię o drugiej w nocy...

- Od tego tu jestem - odparł. - Będę po ciebie za pięć minut.

- Dzięki.

Colie pocałowała Darby'ego i wyjaśniła mu sytuację.

- Uważaj na siebie - odparł powoli. Widać było, że mówienie sprawia mu problem. - Pozdrów tatę i życz mu ode mnie zdrowia.

- Wrócę, jak będę mogła najszybciej. Obiecuję.

- Wiem, moja wspaniała żono.

Powstrzymując łzy, Colie szybko się spakowała, położyła Ludie w nosidełku, zamieniła kilka ostatnich słów z pielęgniarką i wyszła.

O tej porze w szpitalu Catelow było niezwykle cicho. Colie siedziała w poczekalni z Ludie i czekała, aż operacja dobiegnie końca.

Nie minęło wiele czasu, nim chirurg wyszedł z sali operacyjnej.

- Zdążyliśmy - oznajmił z widoczną ulgą, uśmiechając się do Ludie. - Będzie żył.

- Dzięki Bogu! - Kamień spadł jej z serca. - Tak bardzo się martwiłam!

- W odróżnieniu od naszego pacjenta - odparł chirurg. - Bardzo rozboleł go brzuch, a potem nagle przestał. Próbował odesłać karetkę z powrotem, ale kiedy ratownicy usłyszeli, że

czuje się lepiej, załadowali go do samochodu i przywieźli prosto do mnie. Ledwie zdążyli. – Chirurg pochylił się do Colie. – Z jego wyrostka prawie nic nie zostało!

- Naprawdę?

- Brak bólu oznacza, że wyrostek jest przebity. Kiedyś mój pacjent umarł, bo uznał, że czuje się dobrze, i nie wezwał na czas karetki. Wyrostek to zdradliwa bestia.

- Pewnie tak. Tata wyzdrowieje?

- Na pewno. Kiedy wybudzi się z narkozy, będzie się pani mogła z nim zobaczyć. – Spojrzał na dziecko. – Chłopiec czy dziewczynka?

- Dziewczynka. Dzisiaj kończy dwa miesiące.

- Ładne włosy.

- Też tak myślę. – Colie przygryzła wargę. – Wpuszczą mnie do niego z dzieckiem?

- Poprosimy kogoś, żeby ją popilnował – obiecał lekarz. – Niech się pani nie martwi.

Colie wróciła do ojca, zostawiając dziecko z emerytowaną pielęgniarką, która pracowała w szpitalu jako wolontariuszka.

- Nieźle mnie wystraszyłeś, wiesz? – powiedziała, kiedy wielebny Thompson otworzył oczy i rozejrzał się senne.

- Przepraszam – odparł. – Wygląda na to, że wiem o wyrostku mniej, niż sądziłem.

- Dobrze, że chociaż ratownicy znają się na rzeczy.

- Przywiozłaś ze sobą Ludie?

- Tak. Jest w poczekalni, pilnuje jej pielęgniarka. Musiałam

zostawić Darby'ego. Jest w bardzo złym stanie, opiekuje się nim hospicjum.

- Twoje życie jest nieustającą tragedią, kochanie. Miałem nadzieję, że inaczej się to wszystko potoczy.

Pocałowała go w czoło, a potem oznajmiła z prostotą:

- Podejmujemy decyzje, a potem musimy z nimi żyć. Tak to już jest.

- Masz rację. Ale Bóg nas kocha, nieważne, co zrobimy.

Colie się uśmiechnęła.

- Wiem, tato, wiem.

- Córeczko, pewnie nie możesz zbyt długo zostać.

- Niestety, ale tylko do czasu, aż wyjdiesz ze szpitala i znajdę ci pielęgniarkę. Potem muszę wracać do Darby'ego.

- Rozumiem. Na pewno nie było ci łatwo tak go zostawić. Jeśli chcesz, możesz już wrócić.

- Więc kiedy wyjdiesz ze szpitala?

- Nie potrzebuję opieki. Pytałem o to lekarza.

Chciała zaprotestować, ale poznała po jego minie, że to nie ma sensu.

- No, niech ci będzie – odparła z uśmiechem.

Wielebny westchnął.

- W tym tygodniu Roda ani razu nie było w domu. Zadzwonił i powiedział, że pojechał w interesach do Denver. Nie chciał zdradzić, jakie to interesy. Nie jestem pewien, czy w ogóle pracuje jeszcze w sklepie z narzędziami.

- Pewnie ma jakieś ważniejsze sprawy. Może znalazł sobie nowe zajęcie – odparła Colie, siląc się na lekki ton.

- Pewnie tak.

- Teraz wracam do domu, ale wieczorem cię odwiedzę.  
Muszę nakarmić Ludie.

- W porządku.

Pastor zamknął oczy i znów zapadł w sen.

W domu nic się nie zmieniło poza tym, że pojawiło się więcej kurzu. Colie rozłożyła nosidełko i schowała w lodówce kilka butelek mleka dla niemowląt. Jeśli miała poczekać, aż ojciec wróci ze szpitala, będzie musiała zrobić jakieś zakupy.

Zadzwoiła do Lucy, która akurat miała wolne, i zapytała, czy może popilnować Ludie. Przyjaciółka od razu przyjechała, nie posiadając się ze szczęścia, że nareszcie zobaczy małą Ludie.

- Ojej, naprawdę wygląda jak laleczka! – zawołała. – Jakie ładne włosy!

Colie niemal niezauważalnie się skrzywiła.

- Zgaduję, że ktoś w twojej rodzinie miał rude włosy, co? – kontynuowała Lucy, nieświadoma, że temat jest krępujący.

- Pewnie tak – odparła Colie. – Postaram się wrócić jak najszybciej.

- W porządku, nie musisz się śpieszyć. Jestem pewna, że Ludie i ja jakoś się dogadamy!

- Dzięki, Lucy.

- Od tego są przyjaciółki. Jeśli kiedyś urodzę dziecko, a mam nadzieję, że tak będzie, ty na pewno zrobisz dla mnie to samo.

- Możesz na mnie liczyć – odparła z uśmiechem Colie.



- Merrie powiedziała mi, że Colie jest w Catelow – odezwał się Ren, pijąc poranną kawę ze swoim szefem ochrony – Przyleciała samolotem jej siostry.

Ręka, w której J.C. trzymał filiżankę, zauważalnie drgnęła.

- Doprawdy? Dlaczego?

- Jej ojciec musiał przejść pilny zabieg wycięcia wyrostka – odparł Ren, popatrując na J.C. – Natomiast mąż Colie jest w ostatnim stadium raka. Opiekuje się nim hospicjum.

- To musi być straszne. – J.C. aż się wzdrygnął.

- Moja matka też chorowała na raka – dodał Ren. – Ale to tak dawne dzieje, że prawie zapomniałem, jak było nam ciężko. Ale miała zdecydowanie lepsze prognozy. Wyzdrowiała i nie pojawiły się nawroty.

J.C. skinął głową, wpatrując się w swoją filiżankę, po czym spytał niby obojętnym tonem:

- Czy przywiozła ze sobą dziecko?

- Tak.

J.C. nigdy by nie przyznał, jak bardzo chciał je zobaczyć. Zmusił się, żeby skierować myśli na inne tory. Dokończyli kawę, nie rozmawiając więcej na ten temat.

Jeszcze tego samego dnia J.C. zaszedł do sklepu spożywczego. Delsey, kucharka Rena, poprosiła go, żeby kupił chleb. Gdy zbliżał się do działu z pieczywem, zobaczył Colie, która pochylała się nad półkami.

Zatrzymał się i czekał, aż go zauważy.

Na jego widok prawie podskoczyła, jednak J.C. tak bardzo był pogrążony w poczuciu winy, że nie zauważył radosnego błysku, który na moment pojawił się w jej oczach.

Podszedł krok bliżej, dyskretnie sprawdzając, czy w pobliżu nie ma innych klientów, ale było wczesne popołudnie i większość ludzi siedziała jeszcze w pracy.

- Jak twój ojciec? – zapytał.

Colie przełknęła nerwowo.

- Czuje się dużo lepiej. Pojutrze pozwolą mu wrócić do domu.

- Co się stało?

- Zapalenie wyrostka. Doszło do perforacji. Lekarze zdążyli w ostatniej chwili.

J.C. skinął głową. Cała jego uwaga była skupiona na dziecku, które Colie trzymała w ramionach. Nie potrafił oderwać od niego wzroku. Dziewczynka miała rudoblond włosy jak jego matka. Nagle otworzyła oczy i popatrzyła na niego. Już teraz można się było domyślić, że jej oczy będą szare, takie same jak jego.

- Mogę zostać tylko do jutra – powiedziała Colie. Jej głos lekko drżał. – Darby jest w bardzo złym stanie. Pomaga mu pani z hospicjum, ale i tak powinnam być przy nim. – Zamilkła na chwilę. – Był dla mnie bardzo dobry.

J.C. oddychał ciężko, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Wcisnął rękę do kieszeni.

- Cieszę się. Ja nie byłem – powiedział szorstko.

Colie odwróciła wzrok. Wzięła paczkę krakersów, ulubionego przysmaku jej ojca. Uwielbiał słone przekąski.

- Widziałeś Roda? – zapytała, by przerwać niezręczne milczenie.

- Jedyne miejsce, w którym mógłbym go zobaczyć, to

rubryka kryminalna – skwitował z pogardą.

Zaskoczona Colie spojrzała na niego i ich spojrzenia spotkały się na sekundę. W jego oczach kłębiło się tyle emocji, że aż się zachwiała.

- A ty? Widziałaś się z nim, odkąd przyjechałaś?

- Nie. Tata mówi, że od tygodnia nie było go w domu. Podobno pojechał w interesach do Denver – dodała gorzko.

- Wplątał się w coś złego. Nie wiem, o co dokładnie chodzi, ale krążą plotki... – Colie wrzuciła krakersy do wózka. – Coś wiesz – stwierdził J.C. z zadziwiającą przenikliwością.

Zaskoczona Colie podniosła wzrok i szepnęła:

- Nie mogę ci powiedzieć. Kiedyś chciałam, ale teraz...

- Rod wiedział, że chcesz, prawda? Dlatego wymyślił skuteczny sposób, żebym nie uwierzył w nic, co od ciebie usłyszę.

Wyglądała jak przyłapaną na gorącym uczynku.

J.C. ze smutkiem pokiwał głową.

- Nareszcie to rozgryzłem, ale szkoda, że tak późno... za późno.. – Wziął głęboki oddech. – Colie, powinienem ci być powiedzieć o moim dzieciństwie. O doświadczeniach, które sprawiły, że nauczyłem się nikomu nie ufać.

Colie milczała. J.C. miał przed nią tajemnice. Mieszkała z nim przez kilka tygodni, lecz i tak do końca go nie poznała.

J.C. zmrużył oczy i oznajmił wprost:

- A ty powinnaś mi powiedzieć, że jesteś dziewicą. – Twarz Colie pokryła się ciemnym rumieńcem. Krew, którą wziął za początek okresu, niechęc do seksu, to wszystko zaczęło mieć sens. – Na miłość boską! Mogłem przeczytać książkę czyjakiś

artykuł... Dowiedzieć się, co robić... – Zamilkł zrozpaczony i bezradny

Colie zastanawiała się, czy kiedykolwiek się tego domyśli. Tyle wstrząsających odkryć w sklepie spożywczym w Catelow. I żadne z nich nie miało znaczenia. Żadne z nich nie miało wpływu na jej życie.

J.C. westchnął ciężko.

– Colie, musisz zrozumieć, że spotykałem się nabierałem doświadczenia tylko z wytrawnymi kochankami. Wszystkie lubiły ostry seks. – Odwrócił wzrok. – Zachowujemy się tak, jak nas nauczono.

Colie przypomniała sobie historię prostytutki, w której kiedyś zakochał się J.C. Pewnie takie kobiety jak ona wcale nie lubiły seksu, tylko udawały. Teraz zachowanie jej byłego kochanka zaczynało mieć sens.

– Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, J.C. – powiedziała cicho. – Wyszłam za męża.

– Cieszę się, że znalazłaś dobrego męża – odparł, nie patrząc w jej stronę.

– On i jego żona nie mogli mieć dzieci – wyznała. – Był bardzo podekscytowany i wspierał mnie przez cały czas, aż do cesarskiego cięcia...

– Cesarskiego cięcia?!

– Coś poszło nie tak. Nie wiedzą, co dokładnie. Przez kilka tygodni było ciężko, ale już dochodzę do siebie. Darby zatrudnił pielęgniarkę, żeby zajęła się mną i Ludie... a teraz zajmuje się nim. – Do oczu napłynęły jej łzy. – Rzadko spotyka się ludzi takich jak on. Daje tyle, ile może, nie żądając nic w zamian.

- Całkowite przeciwieństwo mnie – odparł krótko J.C. – Ja tylko biorę. Tak jak mój ojciec, gdziekolwiek jest.

Colie przyjrzała się jego surowej twarzy.

- Nigdy nie wybaczasz, prawda? To jedna z pierwszych rzeczy, jakich się o tobie dowiedziałam. – Uśmiechnęła się smutno. – Nie chciałeś mi wybaczyć.

- Nie wiedziałem...

- Rod nigdy w życiu nie powiedział prawdy, a ja nigdy nie skłamałam. Ale kiedy przyszło co do czego, to jemu uwierzyłeś.

- Dlatego, że... – Urwał, by nie powiedzieć: „Dlatego że się bałem”. Ale wtedy przyznałby się do słabości. – Nie chciałem mieć rodziny.

- W takim razie miałeś szczęście. Udało ci się tego uniknąć.

Spojrzał na dziecko, które szeroko otwartymi szarymi oczami patrzyło prosto na niego. Przez chwilę miał wrażenie, jakby Ludie go rozpoznała... Ale nie, to musiało być złudzenie.

- Śliczna dziewczynka – zauważył cicho.

- Jest bardzo grzeczna. Prawie nigdy nie płacze, chyba, że jest głodna albo trzeba ją przewinąć.

- Zawsze chciałaś mieć dzieci.

Colie skinęła głową, uśmiechając się smutno.

- A ty nie chciałeś. I tak by nam nie wyszło. Poza tym przyniosłam mojemu biednemu ojcu dostatecznie wiele wstydu. Przypuszczam, że odkąd opuściłam miasto, plotki ucichły.

- Wszyscy myślą, że to córka twojego męża – stwierdził

z większą goryczą, niż sam się spodziewał.

- Oczywiście, że to córka mojego męża – odparła Colie.

Jej słowa boleśnie go dotknęły, dopóki nie zdał sobie sprawy, że nie były wymierzone przeciwko niemu. Colie zachowywała się jak zwierzę w potrzasku. Okłamując go, bała się nawet na niego spojrzeć.

Ale zatrzymał to dla siebie, by nie wpędzać jej w jeszcze większe zmieszanie.

- Byłem przy tym, jak wysłałaś Lucy zdjęcia. Pokazała mi je...

Podniosła wzrok, a w jej oczach była taka udręka, że J.C. zapomniał, o czym mówił.

- Wszystko zepsułem... – szepnął, patrząc to na Colie, to na dziecko w jej ramionach.

- Nieważne... – Uśmiechnęła się z rezygnacją. – Darby mawia, że przeszłość jest wspomnieniem, a przyszłość nadzieją. Mamy tylko tu i teraz. I ma rację.

J.C. kątem oka zauważył starszego mężczyznę z wózkim, który zmierzał w ich stronę.

- Muszę już iść. – Wziął z półki bochenek chleba. – Delsey poprosiła, żebym zrobił jej zakupy.

- Sari wysłała po mnie odrzutowiec Graylingów – odezwała się Colie. – Byłoby mi ciężko dostać się tutaj na czas z dzieckiem i wszystkimi rzeczami Ludie. Nosiდეłko, pieluszki, butelki...

- Nie karmisz jej piersią? Ach, tak. Nie po cesarskim cięciu.

- Skąd wiesz?

- Merrie też rodziła przez cesarskie cięcie. Ren ze

zdenerwowania odchodził od zmysłów. Musiałem schować całą whisky.

Colie uśmiechnęła się słabo.

- Darby powiedział, że nigdy nie miał większej ochoty na drinka. A nie znosi alkoholu.

Nienawidził, gdy wspominała o swoim mężu. Nienawidził całego świata. Miłość jego życia stała przed nim z dzieckiem w ramionach, a on mógł tylko patrzeć na jej szczęście.

- W życiu nie ma przycisku „reset” – powtórzył to, co niedawno powiedziała mu Lucy. – Na Boga, oddałbym wszystko, żeby był – dodał wpatrzony w Ludie.

Colie, świadoma obecności starszego pana z wózkiem, nie podjęła tematu, mówiąc tylko:

- Powiedz Sari, że jeszcze raz jej dziękuję. I że rano chciałabym wrócić do domu, jeśli można.

- Powiem jej. – Cofnął się o krok. – Wszystkiego dobrego, Colie. Pozdrów ode mnie ojca.

- Tak zrobię. Do widzenia, J.C.

Nie ośmielił się na nią spojrzeć. Był zbyt zrozpaczony, zbyt załamany własnym postępowaniem, przez które stracił rodzinę.

- Do widzenia, Colie – odparł, mając nadzieję, że udało mu się zachować neutralny ton. Uprzejmie skinął głową starszemu panu, po czym wyszedł ze sklepu. Miał przy tym wrażenie, że serce wyrwano mu z piersi.

Colie zauważyła, że ani razu nie obejrzał się za siebie. Uśmiechnęła się ze smutkiem. Nic się nie zmieniło.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Colie poczekała, aż jej ojciec wróci do domu, a potem wzięła Ludie i pojechała na lotnisko. Lecąc do Jacobsville myślała o dziwnej rozmowie z J.C. Czy wiedział, że Ludie jest jego córką? Musiał wiedzieć. Nie powiedział tego wprost, ale nie mogło być wątpliwości, że to właśnie miał na myśli.

Na chwilę, tylko na chwilę, pozwoliła sobie pomyśleć o tym, co by było, gdyby J.C. wcześniej zrozumiał swój błąd. Gdyby porozmawiał z nią, zanim poślubiła Darby'ego. Ale przecież wielokrotnie mówił, że nie chce mieć dzieci. Może gdyby wiedział, że to jego dziecko, zażądałby, żeby je usunęła.

Popatrzyła na córeczkę, którą trzymała w ramionach, i zapomniała o wątpliwościach. Ludie była jej skarbem. Każdy dzień z nią był cudowny i pełen radości. Żałowała, że jej życie nie potoczyło się bardziej tradycyjnie, i że J.C. nie był z nią bardziej szczery. Musiało mu się przydarzyć coś bardzo złego, co położyło się cieniem na całym jego życiu.

Co to mogło być? Wiedziała, że jego matka zmarła, kiedy miał dziesięć lat. Potem mieszkał w domach zastępczych, aż stał się pełnoletni. Czy to traumatyczne wydarzenie przytrafiło mu się w jednym z nich? To mogłoby tłumaczyć, dlaczego mimo upływu lat wciąż nienawidził swojego ojca. J.C. nie zastanawiał się, z jakich powodów ludzie zachowują się tak, a nie inaczej. Jego świat był czarno-biały.

Colie naprawdę mu współczuła. Przez całe życie był sam. Jego córka będzie dorastać w Teksasie, nosząc nazwisko innego mężczyzny tylko dlatego, że nie chciał jej zaufać. Ta



myśl bardzo ją zasmuciła.

Myśląc o Darbym, posmutniała jeszcze bardziej. Choroba postępowała szybko, nie zostało mu wiele czasu. Postanowiła, że zrobi wszystko, żeby jego ostatnie dni były szczęśliwe.

Popatrzyła na córkę i uśmiechnęła się. Ludzie wpatrywała się w nią małymi szarymi oczkami. Zrobiła minę, która podejrzenie przypominała uśmiech. Czy tak małe dziecko mogło już się uśmiechać? Będzie musiała zapytać lekarza, kiedy wróci do domu.

Roztargnienie J.C. nie uszło uwadze Rena.

- O czym tak myślisz? - zapytał.

- Colie przywiozła ze sobą córkę. Śliczna z niej dziewczynka - odparł z goryczą.

- Merrie chciała się z nią zobaczyć, ale nasz syn ma zapalenie ucha, więc ma pełne ręce roboty. Ja też. Mówią, że pierwsze dwa lata spędza się głównie u lekarzy - zażartował.

- Dzieci ciągle chorują mimo wszystkich tych szczepień.

- Merrie poprosiła, żeby rozłożyć je w czasie, prawda? - zapytał J.C. z roztargnieniem.

- Tak, to była nasza wspólna decyzja. Nie chcieliśmy, żeby dostał wszystkie naraz. Podobno to bezpieczne, ale ostrożności nigdy dość.

- Typowi rodzice - podkpiwał J.C., ale jego oczy pozostały smutne. - Coś, czego sam nigdy nie poznam.

- Czy Colie mówiła, co u jej ojca? - zapytał Ren, zmieniając temat.

- Szybo wraca do zdrowia. - J.C. zawahał się na moment. - W sobotę mam wolne. Pomyślałem, że mógłbym go

odwiedzić. Oczywiście jeśli wpuści mnie do domu.

- Wielebny Thompson taki nie jest. Nie chowa urazy, a jego drzwi zawsze są otwarte.

- Tak, wiem... – Zastanawiał się przez chwilę. – Przyniosę mu trochę owoców. Colie wspominała, że je uwielbia.

- Prezent na zgodę? Niezły pomysł!

Pomysł, że kilka jabłek mogłoby wynagrodzić ojcu Colie wszystkie krzywdy, wydał się J.C. nedorzeczny. Całkiem możliwe, że nie zostanie nawet wpuszczony do środka. Musiał jednak spróbować.

- Delsey zrobiła garnek zupy – powiedział Ren. – Nalej do słoika i zanieś pastorowi. Przyda mu się bardziej, niż owoce.

J.C. się uśmiechnął.

- Dobrze. Dziękuję.

Z Darbym było coraz gorzej. Colie musiała wynająć opiekunkę dla dziecka, bo ta, która już u niej pracowała, musiała poświęcać całą uwagę jej mężowi. Darby otrzymywał końskie dawki środków przeciwbólowych, które sprawiały, że spał przez większość czasu. Kiedy się budził, Colie zawsze była przy jego łóżku czy to w dzień, czy w nocy.

- Nie wiem, jak ci dziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłaś – powiedział pewnego razu podczas jednego z coraz krótszych okresów przytomności.

- To działa w obie strony. – Uścisnęła jego zimną, chudą rękę. – Uratowałaś mnie.

- Przepraszam, że muszę cię zostawić – powiedział sennie.  
- Ale wiesz, teraz będę z Mary. – Uśmiechnął się. – Widziałem ją. Była przy mnie wczoraj w nocy, kiedy spałaś. Uśmiechała

się do mnie. – Zamknął oczy, nieświadomy fascynacji widocznej na twarzy Colie. – Kiedy nastanie czas, przyjdzie po mnie i zabierze do domu. Nie boję się. Już nie...

Colie wielokrotnie słyszała, że kiedy człowiekowi czas już się kończy, osoba, którą najbardziej kochał, prowadzi go na tamten świat. Była przy matce aż do końca. Ona też przed śmiercią widziała własną matkę, która stała w progu i uśmiechała się do niej.

To przypominało jej, że życie toczy się dalej, nawet kiedy tych, których się kochało, już nie ma. Pamiętała z dzieciństwa podobne opowieści o ludziach, którzy pod koniec widzieli dawno zmarłych bliskich. To było pocieszające. Wiedziała, jak bardzo Darby kochał swoją żonę. Cieszyła się, że wyczekuje ponownego spotkania z nią.

Na chwilę odeszła od jego łóżka, żeby nakarmić córkę. Zostawiła Darby'ego pod opieką pielęgniarki. Druga pielęgniarka poszła do apteki, żeby kupić lekarstwa.

Nie minęło pięć minut, nim pielęgniarka stanęła w drzwiach. Jej twarz była ściągnięta, oczy zaczerwienione. Pracowała tu od kilku tygodni i bardzo polubiła Darby'ego, choć jako profesjonalistka zwykle nie zdradzała żadnych emocji.

– Pani Howland? – odezwała się łagodnie. Wzięła głęboki oddech. To była najtrudniejsza część jej pracy. – On odszedł.

Colie miała wrażenie, jakby ktoś ją uderzył. Wpatrywała się w pielęgniarkę blada i zszokowana.

– Ale... dopiero co u niego byłam...

– Bardzo mi przykro – powiedziała cicho pielęgniarka. – Po prostu odetchnął głęboko... i było po wszystkim. – Zawahała

się. – Wie pani, że nie życzył sobie, żebyśmy próbowali go ratować...

- Tak, wiem. W porządku. Potrzymaj ją, proszę. – Wstała i podała pielęgniarce Ludie oraz butelkę z mlekiem, po czym poszła do sypialni Darby'ego.

Jego twarz miała dziwny kolor, ale poza tym wyglądał, jakby spał. Colie usiadła na łóżku i dotknęła jego policzka, który wciąż był ciepły.

- Mary po ciebie przyszła, prawda? – szepnęła, przetykając łzy. – Cieszę się, że w końcu jesteś szczęśliwy, Darby. Ale tęsknię za tobą. Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Wstała i pocałowała go w czoło. Nie chciała go zostawiać. Musiała sobie przypomnieć, że teraz to tylko pusta skorupa. Darby, prawdziwy Darby, był już na niebiańskiej łące, śmiał się, zbierał kwiaty... Wracając do pielęgniarki, Colie starała się myśleć tylko o tym. Czekają ją wiele pracy.

Pogrzeb był taki, jaki należał się wybitnemu członkowi lokalnej społeczności i patriocie. Darby był weteranem wojennym, więc pożegnała go gwardia honorowa, która oddała uroczystą salwę, a trumna była przykryta amerykańską flagą. Był to przejmujący widok dla Colie, która dobrze pamiętała pogrzeb matki, choć minęło już tyle lat.

Ojciec kiedyś jej powiedział, że z wiekiem pogrzeby stają się coraz trudniejsze, bo każdy kolejny przywodzi na myśl wszystkie poprzednie. Piętrzą się w umyśle niczym koszmar, za każdym razem przywołując cały nagromadzony ból i tęsknotę. Nawet dla kogoś, kto wierzy w życie pozagrobowe, było to trudne doświadczenie. A jej ojciec uczestniczył w pogrzebach niemal wszystkich swoich zmarłych parafian.

Teraz siedział u boku Colie, podczas gdy drugi pastor, Jake Blair, opowiadał o Darbym i jego zasługach dla lokalnej społeczności.

Colie trzymała dziecko na kolanach. Ludie była bardzo cicha. Bezgłośnie bawiła się grzechotką, jakby mimo młodego wieku rozumiała, że w kościele należy być cicho. Z ciekawością patrzyła do góry, w zapłakane oczy Colie. Puściła grzechotkę i sięgnęła malutką rączką do jej twarzy, jakby chciała ją pocieszyć.

Colie ujęła jej dłoń i ucałowała. Darby bardzo pokochał Ludie, na zawsze pozostaną jego dłużniczkami. Popatrzyła na trumnę i pomyślała o mężczyźnie, który leżał w środku, czując dojmujący ból straty.

Pochowali go na cmentarzu Jacobsville obok ukochanej Mary. Colie już zamówiła nagrobek pasujący do nagrobka Mary. Obiecała sobie, że będzie regularnie kłaść kwiaty na obu mogiłach.

Po pogrzebie jej ojciec musiał wrócić do domu. Sari Fiore ponownie zorganizowała dla niego przelot, żeby nie musiał martwić się publicznym transportem. Odrzutowiec czekał na lotnisku w Jacobsville, a Jack Morales już pakował jego walizkę do taksówki.

- Nie chcę zostawiać cię samej – odezwał się pastor.

- Nie będę sama – odparła Colie, by go pocieszyć. – Mam Ludie, a podczas wakacji przylecimy cię odwiedzić. Nadal pracuję w kancelarii, więc pieniądze nie są problemem. Darby spłacił kredyt na dom, który obecnie należy do mnie. Muszę zarabiać tylko tyle, żeby go utrzymać. A także Ludie i siebie.

- Darby miał sporo pieniędzy...

- Owszem, miał. Niestety kuracje onkologiczne pochłaniają mnóstwo pieniędzy i z oszczędności Darby'ego nic nie zostało. Ale wiesz, że dla mnie to żaden problem. Nie wyszłam za niego dla pieniędzy.

- Wszyscy wiedzą, że tak nie było, ale tylko my znamy prawdziwy powód – cicho powiedział pastor. – To, że dał Ludie swoje nazwisko, było niezwykle szlachetne z jego strony.

- Coś, czego J.C. nigdy by dla mnie nie zrobił – odparła smutno Colie.

Wielebny Thompson nie odpowiedział od razu. Dowiedział się czegoś o J.C, o czym powinien wiedzieć już rok temu. Ale nie mógł wyjawić tego Colie, bo jeszcze bardziej by ją to zraniło, nie dając nic w zamian.

- Będę za tobą tęsknić, kochanie. – Przytulił ją mocno.

- Ja za tobą też.

Wielebny westchnął ciężko.

- Żałuję, że twój brat nie jest taki jak ty.

- Niemoralny...?

- Nie żartuj. Mam na myśli, że chciałbym, żeby był tak dobry, życzliwy i odpowiedzialny jak ty. Ostatnio wcale go nie widuję. Colie, wydaje mi się, że on się wplątał w coś bardzo niedobrego.

- Nie wtrącaj się w jego sprawy – odparła szybko. – Musisz mi zaufać. Wiem, co się dzieje, ale nie mogę ci powiedzieć. Po prostu udawaj, że niczego nie zauważyłeś. Proszę. Dla mnie i dla Ludie!

Jej odpowiedź zaskoczyła pastora. Nie spodziewał się, że

Colie cokolwiek wie o tej sprawie. A potem przypomniał sobie, jak powiedziała, że Rod poszedł do J.C. i naopowiadał mu kłamstw na jej temat.

- Twój brat potrzebuje pomocy...
- Tato, jemu nie można pomóc! Bo on sam nie chce sobie pomóc. Najpierw musi zrozumieć, że ma problem, a nie sądzę, żeby to kiedykolwiek się stało.
- Cuda zdarzają się każdego dnia.
- Owszem.
- Czasem nadzieja to wszystko, co mamy – powiedział ze smutkiem. – Uważaj na siebie i na moją wnuczkę.
- Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz w domu.
- Oczywiście, kochanie. – Pastor cmoknął wnuczkę w czoło.
- Opiekujcie się sobą nawzajem. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.
- Też mam taką nadzieję. Bezpiecznej podróży!

Colie patrzyła, jak wsiada do taksówki i odjeżdża. Miała łzy w oczach. Nigdy nie czuła się tak samotna jak teraz.

Czas mijał. Colie rozmawiała z ojcem przez Skype'a przynajmniej dwa razy w tygodniu. To nie było to samo, co prawdziwe spotkanie, ale jednak łagodziło tęsknotę.

Tymczasem, choć Colie o tym nie wiedziała, wielebny miał jeszcze kogoś, kto nad nim czuwał.

To zaczęło się niespodziewanie. Pewnego wieczoru, zaraz po powrocie ze szpitala, wielebny Jared Thompson usłyszał dzwonek do drzwi. Otworzył je i ujrzał na werandzie J.C. Calhouna, który z niepewną miną podał pastorowi wielką torbę.

- Merrie i Delsey zrobiły zupę. Jest bardzo dobra. Merrie była tak miła, że powiedziała, żebym przyniósł pastorowi słoik... Żeby pastor nabrał sił...

- To bardzo miłe z ich strony – odparł z uśmiechem. – Dziękuję, że mi ją przyniosłeś.

- Żaden problem. Miałem po drodze.

To by było na tyle, jednak J.C. nie ruszył się z miejsca, tylko jak na szachistę przystało, popatrywał nad ramieniem wielebnego na rozłożoną w salonie szachownicę i próbował ustalić, co się na tych sześćdziesięciu czterech polach dzieje.

- Pastor gra w szachy?

- Owszem. A ty?

- Byłem w szachowej reprezentacji mojej jednostki. Wciąż czasem gram z Renem.

- Hm... – Wielebny wyraźnie się ożywił. – Masz chwilę?

- No cóż... – J.C. wyglądał na zaskoczonego. – Nie mam nic pilnego do zrobienia...

- Chciałbyś zagrać?

- Bardzo chętnie, ale nie chcę się narzucać. Ren powiedział mi o wyrostku...

- Czuję się już dużo lepiej. I przydałoby mi się towarzystwo.

- Posłuchaj... – J.C. wyraźnie się zdenerwował, nie pojmując, w jakim kierunku tak naprawdę zmierza ta rozmowa. – Jeśli chodzi o to, co się stało...

- Wejdz. Zaparzę kawę.

J.C. wahał się już tylko kilka sekund.

- Dobrze.



Zegrali dwa razy. Był remis.

- Jesteś doskonałym graczem – zauważył wielebny.

- Matka nauczyła mnie grać – odparł z dumą. – Przez pewien czas pracowała dla rządu w Kolumbii Brytyjskiej. Pochodziła z Irlandii. Miała rude włosy i szare oczy. Była inteligentna, dobra i kochająca. – Zacisnął usta. – Dokładne przeciwieństwo mojego ojca.

Wielebny nic nie powiedział, tylko słuchał, a trochę już odprężony J.C. kontynuował:

- Kiedy byłem mały, mój ojciec odwoził matkę na zebranie w szkole. Jak zwykle był pijany i samochód wypadł z zakrętu. Moja matka zginęła, a ojciec uciekł. Poszedłby do więzienia, ale nie udało się go odnaleźć. A ja byłem przerzucany do kolejnych domów tymczasowych i rodzin zastępczych... – Odetchnął głęboko, wpatrując się w szachownicę. – W drugiej z tych... rodzin przybrana matka uznała, że trzeba mi pokazać, jak wygląda prawdziwe życie. Uznałem, że jest odrażająca. Może dla innych nie, ale dla mnie taka właśnie była... – Wyraźnie poruszony przerwał na moment.. – Poszedłem szukać ratunku u jej męża. Miałem nadzieję, że mnie wysłucha... i zrobił to. – Jego twarz wykrzywił bolesny grymas. – Potem zamknął drzwi, przekręcił klucz i powiedział, że jeśli nie chciałem jego żony, to może on mi się spodoba.

- Mój Boże – szepnął wielebny. – Tak mi przykro...

J.C. nigdy nikomu o tym nie powiedział, a współczucie było tym ostatnim, czego spodziewał się od kogoś, komu wyrządził tak wiele krzywd.

- Kiedy sobie poszedł, wyszedłem przez okno i uciekłem. Biegłem tak długo, jak długo starczyło mi sił. Byłem zbyt

zawstydzony i przestraszony, żeby komukolwiek opowiedzieć, co się stało. Mieszkałem na ulicy, zebrałem na chleb i uciekałem przed policją. Pewnego razu spotkałem sztygara i jego żonę, którzy przyjechali do miasta na zlot. Byli dobrymi ludźmi. Powiedziałem im, że moi rodzice zginęli, a ja nie mam gdzie się podziać.

- I? - zachęcił łagodnie Jared.

- Mieszkali w Jukonie kilkaset kilometrów od Whitehorse. Miałem nadzieję, że policja mnie tam nie znajdzie. Powiedzieli, że się mną zaopiekują. Nie mieli dzieci i głęboko mi współczuli, więc postanowili mi pomóc. Nie wiem, jak im się udało, ale zdobyli dokumenty, które legalizowały mnie w obliczu prawa. Mieszkałem z nimi prawie rok. Zamierzali mnie adoptować. - J.C. zaśmiał się gorzko. - Pewnego dnia wracałem ze szkoły. Przystanek autobusu był pół kilometra od ich domu, ale kiedy tylko wysiadłem, od razu zobaczyłem dym i płomienie. Rzuciłem plecak i biegłem przez całą drogę. Chciałem ich wyciągnąć, ale drzwi stały w ogniu. Nie udało mi się przez nie przedrzeć. Jeden z sąsiadów mnie złapał i przygwoździł do ziemi, żebym się nie wyrwał i nie pobiegł ich ratować. Zresztą i tak było już za późno.

- W twoim życiu było wiele nieszczęść - powiedział łagodnie pastor.

- Strażacy powiedzieli o mnie swojemu przełożonemu, który trochę poszperał i odkrył, że uciekłem z rodziny zastępczej. Próbowałem mu powiedzieć, co się stało, ale uznał, że zmyślam. - J.C. bawił się figurą szachową. - Zadzwoił na policję, która wysłała kogoś, żeby mnie do nich odwieźć. Po drodze powiedziałem, że potrzebuję do toalety. Wymknąłem się tylnym wyjściem i schowałem się w lesie. Poczekałem, aż tamten człowiek odjedzie, a potem zabrałem

się z grupą drwali, którzy zmierzali do Juneau. Tam nie da się dojechać samochodem – dodał z lekkim uśmiechem. – Wyłącznie łodzią lub promem. Powiedziałem, że czekają na mnie rodzice. Że miałem popłynąć drugą łodzią, ale się zgubiłem.

- I znowu byłeś sam – powiedział cicho wielebny.

Skinął głową. Łatwo było mówić pastorowi o tym wszystkim, bo miało się pewność, że nikomu nie wyjawi powierzonych mu tajemnic.

- Znalazłem się na ulicy, szukając czegoś, co pozwoliłoby mi przeżyć. Dołączyłem do gangu. Byli tam tacy jak ja, czyli bezdomni chłopcy, których życie nieźle doświadczyło. Pracowali dla szefa tamtejszej mafii. Zostałem chłopcem na posyłki. Było to nielegalne, ale lepsze niż kradzież czy bicie ludzi.

- Przynajmniej miałeś własny kąt.

- Tak. Trzymałem się z nimi aż do ukończenia szkoły średniej. Udało mi się tego dokonać, choć reszta dzieciaków drwiła z mojego uporu. Dobrze to wszystko zorganizowałem. Wymyśliłem sobie rodziców, poprosiłem jednego ze starszych kolegów, żeby pozwolił mi korzystać z dziennika elektronicznego na swoim komputerze. Wiedziałem, że bez nauki na zawsze pozostanę bezdomny. Chciałem czegoś więcej niż to, chciałem lepiej żyć. Te dzieciaki były twarde i bezwzględne, ale pomagały sobie nawzajem, i właśnie dzięki nim policja nigdy nie odkryła, że uciekłem od rodziny zastępczej. – Zamilkł na moment. – Życie na ulicy to najtrudniejsza szkoła, przetrwają tylko najtwardsi i najsprytniejsi. Właśnie na ulicy ostatecznie się przekonałem, że nigdy nikomu nie wolno ufać i cały czas

trzeba być przygotowanym na najgorsze. Moja matka miała amerykańskie obywatelstwo, więc kiedy skończyłem szkołę i osiągnąłem pełnoletniość, zdobyłem jej i mój akt urodzenia. Udowodniwszy, że jestem Amerykaninem, przekroczyłem granicę i podjąłem pracę w Billings. Nie miałem nic przeciwko Jukonowi, ale chciałem zacząć od nowa. Zostałem policjantem.

Tego pastor nie wiedział. Jego brwi powędrowały w górę.

- Spędziłem w policji dwa lata – kontynuował J.C. – Bywało ciężko, ale byłem przyzwyczajony do przemocy i patologii, więc dawałem sobie radę. Ale chciałem zobaczyć trochę świata, a nie miałem pieniędzy, więc zaciągnąłem się do wojska. Łatwo wpasowałem się w hierarchiczną, wojskową społeczność. Służyłem w kilku jednostkach, aż skończyłem w oddziale specjalnym. Tam poznałem Rena. Przez kilka lat jeździłem po świecie, pracując na zlecenie. Spotkaliśmy się ponownie, kiedy oboje służyliśmy w armii rezerwowej. Wówczas Ren zaproponował mi pracę. Znałem się na ochronie i skończyłem kurs programowania. W ten sposób znalazłem się na ranchu w Wyoming.

- Nie lubisz kobiet – odgadł pastor.

J.C. wzdrygnął się. Jared czekał, bo był przekonany, że ta historia ma dalszy ciąg.

- Nie miałem pojęcia o kobietach. Kiedy byłem w gangu, wielu moich kolegów miało dziewczyny, ale to były krótkie, przelotne związki. Matka nauczyła mnie wierzyć, że w miłości chodzi o coś więcej. – J.C. odchylił się na krześle. – Po tym, jak zaciągnąłem się do wojska i ukończyłem podstawowe szkolenie, poznałem Cecelię. Była wyrafinowana, inteligentna, bogata. Spotkałem ją w klubie, kiedy byłem na

przepustce. Wydawała się mną oczarowana. Znała jednego z moich kolegów. Choć wtedy nie miałem o tym pojęcia, powiedział jej, że mam dużo pieniędzy, więc postanowiła wyciągnąć ode mnie, ile się da. – Podniósł gońca z szachownicy i popatrzył na niego niewidzącymi oczami. Myślnami był daleko stąd. – Oszalałem na jej punkcie. Kupowałem drogie prezenty, codziennie zabierałem na miasto. Była... niesamowita – dokończył, nie wyjawiając, że była też świetna w łóżku. – Nie wiedziałem tylko, że jest prostytutką – dodał przez zaciśnięte zęby. – Przekonałem się o tym w najgorszy możliwy sposób. To były jej urodziny. Kupiłem bukiet kwiatów i poszedłem do jej mieszkania, żeby zrobić jej prezent niespodziankę. Drzwi były uchylone, więc wszedłem do środka. – Skrzywił się z goryczą. – Właśnie mówiła klientowi, że udało jej się usidlić jednego z żołnierzy. Głupiego i naiwnego chłopaka, który nawet nie wiedział, że jest prostytutką. Kupował jej różne drogie prezenty i robił wszystko, co chciała.

Wielebny się wzdrygnął.

- To prawda, że byłem naiwny. Nie wiedziałem nic o kobietach, prócz tego, że już wtedy miałem nie najlepszą opinię na ich temat. Tamto wydarzenie sprawiło, że wybiłem sobie z głowy zakładanie rodziny. Od tego czasu brałem, co mogłem, a potem odchodziłem, zanim ktoś miał okazję mnie zranić. – Zawahał się. – Aż wreszcie poznałem Colie... Jej koleżanka Lucy powiedziała, że w życiu nie ma przycisku „reset”. Ale gdyby był... – Podniósł głowę, a pastor ujrzał na jego twarzy czystą rozpacz. – Uwierzyłem w kłamstwo. Sądzę, że głęboko w środku wiedziałem, jaka jest prawda. Ale tak bardzo kochałem Colie i tak bardzo się bałem... Zdradzono mnie wiele razy...

- Nie powiedziałaś jej tego wszystkiego, prawda? – domyślił się pastor.

- Nie... Nie zaufałem jej na tyle.

- Gdzie się podziewał twój ojciec przez cały ten czas?

- Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. Zabił moją matkę.

- J.C., ludzie zawsze mają powód, żeby zachowywać się tak, a nie inaczej. Czasem jest to strach, czasem słaby charakter, czasem traumatyczne doświadczenia. Ale zawsze jest jakiś powód.

- Matka mówiła, że chciał mieć ranczo, ale kiedy pojawiłem się na świecie, musiał porzucić marzenia i pójść do pracy w kopalni, żeby nas utrzymać. Ona też miała dobrą pracę w biurze, ale często chorowała. Mój ojciec nigdy nie zasługiwał na to miano. – Zaśmiał się zimno. – Kiedy wchodziłem mu w drogę, po prostu mnie bił. Regularnie przyjeżdżała do nas policja. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek widział go trzeźwego.

Wielebny Thompson zdążył sobie wyrobić bolesny portret mężczyzny, którego kochała jego córka. Z całego serca żałował, że J.C. nie przyszedł do niego wcześniej. Jakże ogromne brzemie dźwigał na swych szerokich barkach!

- Dlatego uznałeś, że dobre małżeństwo to mit, który w prawdziwym życiu się nie zdarza?

- Ani dobra kobieta – dodał z żalem. – Jedyną, jaką poznałem, była moja matka. Wszystkie inne bardzo się od niej różniły.

- Moi rodzice byli misjonarzami – powiedział pastor. – Wzięli ślub jako nastolatki i spędzili ze sobą czterdzieści lat. Zginęli razem podczas tornada. Dobrze się stało, bo

żadne z nich nie przetrwałoby bez drugiego. Moje małżeństwo było takie samo. Kochałem moją żonę do końca i wciąż opłakuję jej odejście.

Czy gdybym też dorastał w takiej rodzinie, moje życie wyglądałoby inaczej? – pomyślał w zadumie, mówiąc przy tym:

- Colie bardzo cię kocha. Żałuję, że podjąłem takie, a nie inne decyzje. Nie pomyślałem, co się stanie, gdy zamieszka ze mną, jak to wpłynie na nią, a także na ciebie.

- Każda decyzja ma swoje konsekwencje – odparł pastor. – Życie składa się z lekcji. Popęlniamy błędy, żeby się na nich uczyć. – Uśmiechnął się. – Wiara uczy nas, że największym darem jest przebaczenie. J.C., nie sądzisz, że najwyższy czas, żebyś sobie wybaczył?

Jego ręka drgnęła, prawie upuścił gońca. Ostrożnie odłożył go na szachownicę, po czym spytał:

- Słucham? Ja sobie?

- Ten psychiczny syndrom często dostrzegam u molestowanych dzieci. – Pastor zauważył zdziwienie J.C. – O tak, to dzieje się nawet w najlepszych rodzinach. Widziałem w życiu zdecydowanie zbyt wiele. Wszystkie te dzieci mają jedną wspólną cechę, a mianowicie obwiniają się za to, co im zrobiono. Myślą, że jest w nich coś złego, że same ściągnęły na siebie nieszczęście. To nieprawda.

J.C. w milczeniu słuchał z uwagą.

- Ci, którzy je skrzywdzili, w wielu przypadkach sami byli molestowani w dzieciństwie. Więzienia są ich pełne: dzieci, które żyły w ciągłym strachu, które bały się komukolwiek powiedzieć, co się dzieje, które sądziły, że tylko pogorszą

sytuację.

- Znam to uczucie.

- Oczywiście, że znasz. Musisz zrozumieć, że nieświadomie wymierzasz sobie karę. Powinieneś zostawić przeszłość za sobą i ruszyć do przodu. Oglądanie się za siebie nigdy nie jest rozsądne.

- No, chyba że śledzi cię wrogi żołnierz z AK-47 – zażartował J.C.

Wielebny zaśmiał się lekko.

- Byłem kapelanem podczas operacji Pustynna Burza. Wiem, jak wygląda wojna i jakie są jej skutki.

J.C. skinął głową.

- Zawsze byłem w pierwszym szeregu – wyznał. – Do tego nie da się przyzwyczaić. Byliśmy przerażeni.

- Każdy, kto twierdzi, że nie boi się walki, kłamie. Odwaga nie polega na nieodczuwaniu strachu. Chodzi o to, żeby nie pozwolić, by nami rządził. Żeby robić to, co należy, nawet w obliczu największej grozy. Tym właśnie jest prawdziwy heroizm.

J.C. znów bawił się gońcem.

- Żałuję, że wcześniej z tobą nie porozmawiałem.

- Ja też tego żałuję – odparł cicho wielebny Thompson. – Chowanie urazy to jak rana, w którą wdało się zakażenie. Tylko się jątrzy.

- Niezłe porównanie.

- Dziękuję, pracowałem nad nim przez lata – skwitował rozbawiony pastor, a J.C. też się uśmiechnął. – Gdybyś miał jakieś obawy, to pamiętaj, że nigdy nikomu nie powtarzam



tego, co usłyszałem. Bezwzględnie dochowuję tajemnicę.

- Wiedziałem, że nie muszę o to prosić. Ale dziękuję.
  - Proszę bardzo. – Oczy starego pastora rozbłysły. – To co, do trzech wygranych? – Wskazał szachownicę.

J.C. się uśmiechnął.

- No jasne, o ile masz więcej kawy. Mój kubek jest pusty.
- Mój też, ale łatwo temu zaradzić.

J.C. nie miał ochoty wychodzić.

- Bałem się, że zatrzaśniesz mi drzwi przed nosem – wyznał, stojąc na werandzie. – Zniszczyłem twoją reputację.

- Zdarzały mi się gorsze rzeczy, niż nadszarpnięta reputacja. – Pastor wzruszył ramionami. – To Colie ucierpiała najbardziej.

- Wiem. – J.C. w nerwowym geście wepchnął ręce do kieszeni. – Wszystko poszło nie tak – dodał z goryczą. – Wiesz, przywiozłem z podróży pierścioneł i dwie obrączki. Ze szmaragdami. Zielone, jak jej oczy.

- Aha... – Pastor nie krył zaskoczenia.

- Byłem gotowy podjąć ryzyko, mimo że wciąż miałem wątpliwości. – J.C. odwrócił wzrok. – Nie mów jej o tym. To tylko bardziej ją zrani.

Pastorowi brakło słów. Nie wiedział, co powiedzieć. Biedna Colie! Ale szybko odzyskał wewnętrzną równowagę.

- Colie powiedziała, że Rod przyjechał po ciebie na lotnisko – oznajmił, marszcząc brwi.

J.C. się zawahał. Nie chciał przysporzyć pastorowi kolejnych zmartwień, dzieląc się domysłami na temat tego,

co robił Rod i dlaczego skłamał na temat Colie.

- Rozumiem – dodał uspokajająco pastor. – Próbujesz mnie ochronić. J.C., wiem, jak ludzie zachowują się pod wpływem narkotyków. Często odwiedzam ośrodki poprawcze. Wielu młodych ludzi, którym próbuję udzielić pomocy, nadal jest pod wpływem.

- Rod był moim przyjacielem... – niepewnie zaczął J.C.

- Rod całkiem się zagubił – wpadł mu w słowo. – Ale nie zamierzam spisywać go na straty. Pewnego dnia zrozumie, że sam wyrządza sobie krzywdę. Wtedy będę przy nim, żeby go wesprzeć. Zawsze trzeba wybaczać, pamiętaj. – Uśmiechnął się. – O to właśnie chodzi w religii. O wybaczenie. We współczesnym świecie to rzadki dar.

- To prawda.

Stali przez chwilę w zadumie, wreszcie pastor rzucił pogodnie:

- Lubię szachy.

- Ja też – odparł J.C. z uśmiechem.

- Piątek wieczorem? Oczywiście o ile nie wyskoczy mi coś pilnego.

Serce zabiło J.C. szybciej.

- Byłoby miło. Nie mam żadnych planów. Prawdę mówiąc, nie mam życia towarzyskiego.

- Szachy to też życie towarzyskie – skwitował pastor. – To co, o szóstej? Zrobię chili i placki kukurydziane.

J.C. się uśmiechnął.

- Przyniosę dzbanek maślanki.

- Skąd wiesz, że ją lubię?

- Colie. - J.C. wzruszył ramionami. - Naprawdę bardzo przepraszam za wszystko, co wam zrobiłem. Tak długo mieszkałem w wielkich miastach, że zapomniałem, jak surowi potrafią być ludzie w małych miasteczkach. I jak dużo plotkują!

- Już ci mówiłem, że nie chowam urazy. - Spojrzał na J.C. z przekornym błyskiem w oku. - No i nie znam wielu ludzi, którzy grają w szachy.

- Ja też nie - z uśmiechem odparł J.C.

- W takim razie do zobaczenia w piątek.

- Przyjadę o szóstej. - J.C. się zawahał. - Dziękuję - dodał, nie patrząc w oczy pastorowi. Chciał dodać „za wysłuchanie”, ale nie przechodziło mu to przez gardło.

Ale wielebny wiedział, co ma na myśli.

- Nie ma za co. Cieszę się, że mogłem pomóc.

J.C. nadal był na siebie wściekły za wszystkie błędy, które popełnił. Ale to był nowy początek, przynajmniej jeśli chodzi o ojca Colie. Nie mógł pozbyć się nadziei, że to samo czeka jego, Colie i ich małą córeczkę.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wielebny Thompson miał nadzieję, że po śmierci męża Colie wróci do domu. Powiedziała jednak, że lubi mieszkać i pracować w Jacobsville, że ma tu przyjaciół i rodzinę. Jednak pastor wiedział, dlaczego naprawdę nie chce wracać. Nie ufała sobie, że uda jej się utrzymać z dala od J.C., i nie chciała pogorszyć sytuacji ojca. Ale była samotna. Jedyną radością w jej życiu była Ludie. Colie żyła dla swojej córki.

J.C. czasem pytał o Colie, a wielebny pokazywał mu zdjęcia i filmiki szybo rosnącej Ludie. J.C. cieszył się, patrząc, jak dziewczynka robi pierwsze kroki, mówi pierwsze słowa. Ale zarazem czuł dojmujący smutek na myśl, że nigdy jej nie pozna.

Pastor nie powiedział Colie o piątkowych wieczorkach szachowych. Jego córka żyła, pracowała i wydawała się zadowolona ze swojej sytuacji. Może pewnego dnia przyjedzie i pogodzi się z J.C., który, jak się okazało, skrywał pod maską samotnika wiele wspaniałych cech.

Kiedy upłynęły dwa lata od śmierci Darby'ego, pastor wybrał się do Teksasu, żeby zobaczyć się z córką i wnuczką. Colie nie chciała przyjeżdżać do Wyoming, gdzie wszyscy pamiętali o jej romansie z J.C. Jej córka miała teraz burzę jasnorudych włosów i szare oczy, takie same jak jej ojciec. Gdyby ktoś ją zobaczył, plotki od razu by się rozeszły. Poza tym Rod wciąż trzymał się ze swoim „kumplem”, który mógłby pomyśleć, że Colie wróciła, żeby zdradzić ich tajemnicę. Nie mogła ryzykować, że jej ojcu lub jej córce

stanie się krzywda. A także nie chciała natknąć się na J.C. i rozdrapywać starych ran. Lepiej było zostać w Jacobsville, gdzie miała dobrą pracę, przyjaciół i spokojne życie.

- Sapiesz jak maszyna parowa - zauważył J.C. podczas jednej z piątkowych rozgrywek. - Powinieneś pójść do lekarza.

Wielebny przewrócił oczami.

- To tylko pyłki - odparł. - Jest jesień. Zawsze mam problemy z oddychaniem, kiedy kwitną jesienne kwiaty.

J.C. mu nie uwierzył. Regularnie spotykał się z pastorem od ponad dwóch lat i patrzył, jak Ludie dorasta na ekranie jego komputera. Nie spodziewał się, że tyle radości sprawi mu oglądanie urywków z życia swojego dziecka.

Pragnął polecieć do Teksasu i zobaczyć się z Colie, ale za bardzo się bał. Sprawiał jej zbyt wiele bólu. Nie był pewien, czy potrafiłaby mu wybaczyć, a poza tym duma bolała go na samą myśl o błaganiu o drugą szansę. J.C. Calhoun nigdy o nic nie błagał.

Wiedział, dlaczego Colie nie wraca do domu. Obawiała się, że na widok Ludie ludzie połączą fakty. Pewnie myślała też, że J.C. wciąż nie jest gotów się z nią związać. Nie mógł jej za to winić. Skąd miałyby wiedzieć, że się zmienił?

To duma powstrzymywała przed podróżą do Teksasu i ubłaganiem Colie, żeby wróciła z nim do domu. Sama zdecydowała, że chce trzymać się od niego z daleka. Kochała ojca, a w tutejszej kancelarii na pewno znalazłoby się dla niej miejsce. Ale nie chciała wracać. Może dlatego, że obawiała się plotek... a może dlatego, że przestała kochać J.C. Nie zależało jej na nim na tyle, żeby wrócić do domu.

Zdjęcia i filmiki wciąż były lepsze niż nic. J.C. roześmiał się, oglądając film sprzed czterech miesięcy, nagrany na drugich urodzinach Ludie. Dziewczynka nabrała lody na łyżkę i takim pociskiem potraktowała chłopca, który siedział po drugiej stronie stołu i ją wyzywał. Oglądali ten film już kilka razy.

- Mała ma temperament – skomentował z rozbawieniem wielebny.

- W tym przypadku najzupełniej usprawiedliwiony – odparł J.C., który nagle spoważniał. – Nie podoba mi się, że nazywają ją czarownicą. Colie była taka sama, widziała więcej niż inni...

- Owszem, tak samo jak żona Tanka Kirka – wpadł mu w słowo wielebny. – W każdej społeczności są ludzie obdarzeni wyjątkowymi zdolnościami, których nie mają inni.

J.C. z zaciekawieniem spojrział na niego i spytał:

- Czy nie powinny cię niepokoić zjawiska paranormalne?

- Większość darów pochodzi od Boga, mój synu – odparł z uśmiechem pastor. Zauważył przy tym, jak mocno na jego słowa zareagował J.C., który prawie nie znał własnego ojca. – Spójrz, jakie są ich owoce. Jeśli wynika z nich coś dobrego, to przecież nie mogą być złe, prawda?

- Pewnie masz rację. – J.C. zamyślił się na chwilę. – Moja babka ze strony ojca potrafiła przewidywać przyszłość. Mój dziadek był szamanem z plemienia Siuksów. Wśród rdzennych Indian osoby obdarzone takimi zdolnościami są cenione i szanowane.

Pastor od razu zrozumiał, co to znaczy. J.C. sugerował, że Ludie odziedziczyła dar po jego przodkach. Wiedział, że jest jego córką.

- Myślisz, że Colie kiedyś wróci do domu? – zapytał J.C. kilka ruchów później.

- Nie mam pojęcia. Ludzie plotkują. Colie wyszła za męża, ale wszyscy wiedzą, że przedtem spędziła sporo czasu z tobą...

- Ludie by na tym ucierpiała – ze smutkiem dokończył za pastora. – Jest ślicznym dzieckiem. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy, że mogę ją oglądać na zdjęciach i filmach. Jest...

- J.C. zastanowił się nad właściwym słowem. – Jest niesamowita.

- To prawda. – Pastor odchylił się na krześle. – Nigdy nie myślałeś, żeby polecieć do Teksasu i powiedzieć mojej córce, że znasz prawdę? – zapytał prosto z mostu.

- Myślałem. Ale sprawiłem jej dostatecznie wiele bólu. Sądzę, że teraz jest szczęśliwa. – Z udręką spojrzął na pastora – Nie jestem dobrym materiałem na męża. Pochodzę z rozbitej rodziny, mam problemy z zaufaniem... – Wbił wzrok w szachownicę. – To, że mogłem z tobą porozmawiać, bardzo mi pomogło, ale rany, które mi zadano, są głębokie. Nie wiem, czy nie wyrządziłbym jej jeszcze większej krzywdy.

- Twoja córka dorasta bez ojca – zauważył wielebny.

J.C. bezustannie się tym zadręczał. Jego córka nosiła nazwisko innego mężczyzny. Nie znała swojego prawdziwego ojca. Mogła nigdy go nie poznać.

- Colie myśli, że nie wiem, że Ludie jest moją córką. Nie chce, żebym się dowiedział. – Podniósł głowę w samą porę, by zobaczyć, jak przez twarz pastora przemyka wyraz bólu.

Wielebny pochylił się do przodu. Jego policzki pokrywał rumieniec. Dziwne, zwłaszcza, że w pokoju było raczej

chłodno.

- Istnieje powód, dla którego Colie nie chce wrócić do domu, i nie ma on nic wspólnego z tobą. – Po tym zaskakującym wyznaniu wielebny Thompson usiłował zaczerpnąć oddechu. Miał wrażenie, że pierś przygniata mu ogromny ciężar. Miał też nudności. To pewnie przez to chili, które zjadł na obiad. – Widziałeś się ostatnio z moim synem? – zapytał.

- Rod mnie unika. Pewnie wiesz, dlaczego.

- Dlatego, że byłeś policjantem, J.C., i choć tak wiele przeszedłeś, wciąż wierzysz w sprawiedliwy porządek stanowiący przez prawo. To jedna z rzeczy, które w tobie podziwiam.

- Dziękuję – odparł szczerze wzruszony.

- Mój syn odrzucił wszystkie zasady, jakie mu wpołem – powiedział pastor z goryczą – i wplątał się w coś nielegalnego. Rzadko kiedy pojawia się w domu. Dzwoni tylko w święta i urodziny, składa krótkie życzenia, a potem się rozłącza. – Jego spojrzenie było nieobecne. – Ciągłe kręci się gdzieś z tym swoim znajomym z Jackson Hole. Od dawna nie pracuje w sklepie z narzędziami. Ludzie mówią, że jeździ nowym jaguarem i nosi szyte na miarę garnitury. Obaj wiemy, że zwykły sprzedawca narzędzi nie zarabia takich kroci..

J.C. przytaknął.

Wielebny przycisnął dłoń do piersi.

- Gdyby cokolwiek mi się stało, musisz się upewnić... że Colie jest bezpieczna – powiedział z naciskiem. – I Ludie.

- Co dokładnie wiesz? – spytał J.C., marszcząc brwi.

Pastor walczył, by zaczerpnąć tchu.



- Colie wspominała o sprawie, nad którą pracuje jej kancelaria. Występują w obronie gangstera, który ma powiązania z mafią narkotykową w Jackson Hole. W zamian za nietykalność ich klient jest gotów wydać wszystkich dilerów i dostawców. Już dostali list z pogrózkami.

Serce podeszło J.C. do gardła.

- Rod jest zamieszany w tę sprawę – oznajmił to, co było dla niego oczywiste.

- Tak podejrzewam. Proszę, zrób wszystko, co w twojej moc, żeby ochronić moją córkę i wnuczkę.

- Nie pozwolę, żeby ktokolwiek skrzywdził Colie i Ludie. Przysięgam.

- Dziękuję. – Teraz pastor był blady jak ściana. – J.C., jesteś dla mnie niczym syn – wyznał. – Żałuję... Dlaczego to tak boli? – Oddychał z coraz większym trudem.

J.C. był w takim szoku po tym, co powiedział mu pastor, że w pierwszej chwili nie rozpoznał objawów zawału serca.

- O Boże! – Zerwał się na równe nogi i złapał pastora, który osuwał się na ziemię. Wyrwał z kieszeni telefon i zadzwonił po pogotowie.

- Chroń... Colie! Powiedz, że ją kocham... – zdołał jeszcze powiedzieć wielebny i stracił przytomność.

Colie jadła kolację z kuzynami, Annie i Tobym Mosby, a Ludie siedziała na krzeselku i bawiła się gryzakiem. Nagle upuściła zabawkę i popatrzyła na matkę szeroko otwartymi oczami.

- Dziadzia! Dziadzia chory!

Colie pobladła. Czuła, że dzieje się coś niedobrego, ale nie

miała pojęcia co. Chwyciła telefon i zadzwoniła do ojca. Zabrział jeden sygnał, drugi, trzeci...

Była sobota wieczorem. O tej porze jej ojciec prawie nigdy nie wychodził z domu. Oczywiście zawsze któryś z jego parafian mógł nagle zachorować albo pracował nad kazaniem i nie usłyszał, że dzwoni telefon...

- Colie?

To był głos J.C. J.C.? Co on robił w domu jej ojca?

- Chciałam zadzwonić do taty...

- Właśnie dotarła karetka. Pojadę z nim do szpitala. Musisz tu przylecieć, proszę, pośpiesz się. Przykro mi, ale prawdopodobnie twój ojciec miał zawał.

- O Boże!

- Kazał ci przekazać, że cię kocha. - J.C. Był tak samo przerażony jak ona. - Przyleć jak najszybciej. Daj znać, o której będziesz. Przyjadę po ciebie na lotnisko.

- Dobrze - wykrztusiła Colie. - Dzięki.

- Pośpiesz się. - Po tych słowach odłożył słuchawkę.

Colie powoli obróciła się do kuzynów. Była blada jakściana.

- Chodzi o tatę. Prawdopodobnie miał zawał. Muszę się dostać do Catelow.

- Zaraz zorganizuję samolot - powiedział Toby, wstając.

- Pomogę ci się spakować - zaoferowała Annie.

- Muszę zadzwonić do kancelarii... - Zdała sobie sprawę, że jest sobota. - Muszę zadzwonić do pana Donnally'ego - poprawiła. - Nie wiem, czy uda mi się wrócić do poniedziałku. Mam jeszcze kilka dni urlopu... - mówiła, idąc

za kuzynką do sypialni z dzieckiem na rękach.

Ludie wyciągnęła małą rączkę i dotknęła mokrego policzka matki.

- Dziadzia umarł.

Colie zmroziło krew w żyłach. Może jej córka się myliła. Musiała się mylić.

- Jedziemy się z nim zobaczyć. Będzie dobrze. Na pewno będzie dobrze.

- Umarł. - Ludie zalała się łzami.

Annie się wzdrygnęła. Podobnie jak Colie, też wiedziała, że mała Ludie ma niezwykłą profetyczną moc i dostrzega przyszłe wydarzenia.

- Spakujemy cię i zawieziemy na lotnisko - powiedziała. - Mogę z tobą polecieć, jeśli chcesz.

- Nie trzeba. J.C. odbierze mnie z lotniska - odparła Colie.

Annie uniosła brwi.

- To z nim rozmawiałaś przez telefon? Nie sądziłam, że on i twój ojciec dobrze się dogadują.

- Ja też nie. Może Ren wysłał J.C., żeby przyniósł tacie słoik zupy czy coś w tym stylu. Merrie trochę go dokarmia. - Po policzkach Colie spływały łzy. - Płaszcz. Muszę wziąć płaszczy. Jesienią w Wyoming robi się zimno. Ludie też musi mieć coś ciepłego.

Kuzynka przytuliła ją.

- Wszystkim się zajmę. Bądź dobrej myśli.

Colie naprawdę chciała myśleć optymistycznie. Ale z oczu jej córki wciąż płynęły łzy...

J.C. czekał na nich na lotnisku. Wyglądał na starszego i bardziej zmęczonego życiem, niż go zapamiętała. Na widok Colie ogarnęło go milion sprzecznych emocji. Nie widzieli się od ponad dwóch lat.

Przeniósł wzrok na dziewczynkę, którą trzymała w ramionach. Jej jasnorude włosy podskakiwały w rytm kroków matki, a szare oczy patrzyły prosto na niego, jakby go rozpoznała.

- Co z tatą? – zapytała od razu Colie.

J.C. przez całą drogę zastanawiał się, jak jej to przekazać. Tylko czy jest na to jakaś dobra rada?

- Tak mi przykro...

- Dziadzia umarł – powiedziała Ludie. Jej wargi drżały.

J.C. z osłupieniem spojrział na nią.

- Wiedziała, że coś mu się stało, zanim jeszcze do niego zadzwoniłam – powiedziała Colie, przełykając łzy. To się stało tak nagle! Jak to możliwe, że już nigdy nie zobaczy ojca?

J.C. wyciągnął rękę i otarł jej policzek. Nagle Ludie złapała go za palec.

- Ty grałeś z dziadzią – powiedziała swoim uroczym, dziecięcym głosem.

J.C. wciąż nie ochłonął z szoku.

- Tak.

- O co chodzi, skarbie? – zapytała Colie, patrząc na córkę.

- Szachy – wyjaśnił J.C., po czym sięgnął po walizkę i torbę Ludie. – Powinniśmy jechać.

- Mój brat...

- Nie widziałem go. Próbowałem się z nim skontaktować, ale zmienił numer. Zadzwoiłem na policję. Znajdą go i powiadomią, jaka jest sytuacja.

- Tata dalej jest w szpitalu? – zapytała Colie, kiedy szli w stronę wyjścia.

J.C. zacisnął usta.

- Nie. Przewieźli go do...

- Rozumiem – przerwała Colie. Wiedziała, co J.C. chce powiedzieć.

- Niedobry pan, mamó – powiedziała Ludie, gdy skierowali się w stronę parkingu. – Bardzo, bardzo niedobry. Idzie po nas.

J.C. wymienił z Colie zaskoczone spojrzenia.

- Jaki pan, kochanie? – zapytała Colie.

- Niedobry. Ma pistolet.

Colie z niepokojem przygryzła wargę.

- Często tak robi? – zapytał J.C.

- Bez przerwy. – Mocniej przycisnęła Ludie do piersi. – W porządku, kochanie – powiedziała łagodnie, całując ją w policzek. – Wszystko jest w porządku.

Ludie wtuliła się w jej szyję.

- Mamó...

Dar Ludie zaniepokoił J.C. Nie wiedział, że jest aż tak potężny. Ile ona miała, dwa lata? Ciekawe, czy jego babka potrafiła przepowiadać przyszłość w tym wieku.

Niedaleko wejścia był zaparkowany czarny SUV. Był prawie taki sam jak poprzedni, tyle że nowszy. Colie uśmiechnęła się

niepewnie.

- Nic się nie zmienia – powiedziała cicho.

- Lubię czarny. – J.C. wzruszył ramionami.

- Zapomniałam o foteliku! – wykrzyknęła Colie. – Miałam go zabrać, ale w całym tym zamieszaniu... – Nagle urwała, widząc fotelik samochodowy przypięty do tylnego siedzenia.

- Planuję do przodu – stwierdził J.C.

Colie odebrało mowę. Ale nie jej córce.

- Jesteś miły – powiedziała do J.C., uśmiechając się przy tym. Miała dołeczki w policzkach. W jej szarych oczach błyszczało coś na kształt czułości.

- Ty też jesteś miła, malutka – powiedział cicho J.C.

Colie przypięła córkę do fotelika.

- Niedługo wrócimy do domu. Dobrze? – Podała Ludie ulubiony gryzak.

- Dobrze, mamó.

Colie zamknęła drzwi i usiadła na przednim siedzeniu. Miała na sobie džinsy, biały sweter i wełniany płaszcz. Ludie miała białą puchową kurtkę, którą wyprosiła w sklepie z artykułami dla dzieci w Teksasie.

- Przynajmniej jesteście ubrane odpowiednio do pogody – powiedział J.C., włączając silnik. On też miał džinsy i swój ulubiony kożuch.

Jak za dawnych czasów, pomyślała Colie z ukłuciem bólu.

- Przecież pamiętam, że jesienią bywa tu zimno – odparła po prostu.

Kiedy jechali przez miasto, Colie zauważyła plac budowy.

- Co tutaj będzie? – zapytała.

- Nowa smażalnia ryb – wyjaśnił J.C. – Stara spłonęła w zeszłym roku.

- Mieli dobre jedzenie – powiedziała z żalem.

- Owszem. Tęsknię za nim.

Colie zerknęła na niego, zauważając, że na jego przystojnej twarzy przybyło kilka zmarszczek.

- Dlaczego byłeś z tatą? – zapytała, bo bardzo ja to intrygowało.

Kąciki ust J.C. drgnęły.

- Musiał odwiedzić jednego z parafian w szpitalu, więc przełożyliśmy naszą cotygodniową partyjkę szachów z piątku na sobotę.

- Cotygodniową partyjkę szachów? – powtórzyła z niedowierzaniem Colie. Ojciec nawet jej o tym nie wspomniał.

- Tak... Graliśmy, jedliśmy kolację... Czasem ja gotowałem, czasem on. – Przerwał, bo nie mógł dłużej mówić przez ściśnięte gardło.

Colie przyglądała mu się z fascynacją. Mężczyzna, którego zapamiętała, nie okazywał emocji.

Przez dłuższy czas jechali w milczeniu. J.C. dojechał do skrzyżowania i skręcił w ulicę, która prowadziła do domu ojca Colie.

Część liści opadła już z drzew, ale jesień wciąż była w pełnym rozkwicie. Na widok rodzinnego domu Colie poczuła wszechogarniający ból i tęsknotę. Wszystkie wspomnienia, te dobre i te złe, w jednej chwili stanęły jej

przed oczami.

J.C. zaparkował przed werandą i zaniósł bagaże do środka. Zaraz po wejściu Colie zauważyła szachownicę, na której wciąż były poustawiane figury.

- Powiedział, że coś boli go w piersi. Od razu wiedziałem, co się stało - powiedział J.C., podążając za jej wzrokiem. - Położyłem go na podłodze i zadzwoniłem po pogotowie. Próbowałem udzielić mu pierwszej pomocy, ale zanim znalazłem się na noszach, wiedziałem, że jest już za późno. - Włożył ręce do kieszeni. - To nie pierwszy atak serca, jaki widziałem - dodał łagodnie. - Był ciężki, bardzo ciężki.

- Pokazywali w telewizji, jak to się robi - wyjąkała Colie. - Robią sztuczne oddychanie, przykładają elektrody...

J.C. popatrzył jej w oczy.

- Skarbie, ciężki atak serca trwale uszkadza mięsień sercowy. Martwica tkanek następuje prawie od razu - powiedział łagodnie. - Nawet gdyby siedział na pogotowiu z grupą ratowników, nic by to nie zmieniło. Tak jak lubił mawiać, na każdego czasem przyjdzie czas... - Na widok rozpacz Colie krajało mu się serce. Instynktownie wziął ją i Ludie w ramiona i przytulił je mocno. - Tak mi przykro. Był najlepszym, najzyczliwszym człowiekiem, jakiego znałem - powiedział głęboko wzruszony.

Colie wdychała znajomy zapach J.C., którego nigdy nie udało jej się zapomnieć. Nawet po wszystkim, co jej zrobił, wciąż nie mogła się nacieszyć jego bliskością.

J.C. przytulił ją mocniej.

- Czekaając na ciebie na lotnisku, zadzwoniłem po Lucy - powiedział. - Niedługo tu będzie.



- Dziękuję – wyszeptała Colie.

- Zadzwoń też do pastora młodzieży. Powiedział, że wszystko zorganizuje.

- Zakład pogrzebowy... – zaczęła nerwowo.

- Jakiś czas temu twój ojciec powiedział mi, jak chce być pochowany – uspokoił ją. – Już do nich zadzwoniłem. Rano cię do nich zawiozę, żebyś ustaliła ostatnie szczegóły.

Podniosła na niego zapłakane, zielone oczy.

- Dziękuję – wykrztusiła.

Pogłodził jej wilgotny policzek.

- To drobnostka. Bardzo kochał was obie. Żałuję, że nie udało mi się go uratować.

Colie patrzyła na niego w oszołomieniu. Nigdy by nie pomyślała, że J.C. tak bardzo zależało na jej ojcu.

- Był dla mnie bardzo dobry – powiedział po chwili. – Choć na to nie zasłużyłem. – Milczał przez chwilę. – Mawiał, że nie warto dusić w sobie urazy. W życiu chodzi o to, żeby wybaczać. – Uśmiechnął się łagodnie. – Życie trwa dalej. Śmierć to tylko jeden z etapów, które trzeba przejść. Twój ojciec jest teraz z twoją matką. Chodzą po łące, śmieją się i zbierają kwiaty.

Colie gwałtownie zaczerpnęła tchu. Kiedy umarł Darby, pocieszała się taką samą wizją życia po życiu.

- To ty powinnaś to powiedzieć, nie ja – dodał.

Colie zajrzała w jego szare oczy.

- Zmieniłeś się.

- Upływ czasu sprawia, że się zmieniamy. Czasem nawet na

lepsze. – Popatrzył na szachownicę i westchnął. – Będę za nim tęsknił, Colie.

- Ja też.

Właśnie próbował ubrać w słowa, jak bardzo upływ czasu go zmienił, kiedy telefon zadzwonił mu w kieszeni.

- Calhoun, słucham? – powiedział, przykładając telefon do ucha.

- Komendant Marcus z tej strony. Znalazłem pana Thompsona i powiadomiłem go o śmierci ojca. Powiedział, że przyjedzie jeszcze dzisiaj.

- Dziękuję – odparł J.C. – Będę twoim dłużnikiem.

- Dużo o nim wiesz? – zapytał cicho komendant.

- Powiedziałbym, że za dużo.

- Hm... On ma powiązania z facetem, którego FBI od dawna ma na oku – powiedział policjant. – Uczepił się go jak kleszcz. Coś się szykuje i całkiem możliwe, że twój kumpel oberwie. Z tego, co rozumiem, tamten facet uważa go za słaby punkt. Potraktuj to jako ostrzeżenie.

- Przez dwa lata byłem policjantem. Nadal prowadzę szkolenia policyjne w Iraku. Potrafię o sobie zadbać.

- W takim razie po prostu bądź ostrożny. W grę wchodzi duże pieniądze. Federalni już wszczęli śledztwo. Ludzie robią się drażliwi, kiedy ich nielegalnym interesom zagraża niebezpieczeństwo.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Dzięki za informację.

- Wpadnij, kiedy będziesz w pobliżu – dodał Marcus lżejszym tonem. – Pogadamy o starych czasach.

- Jasne. Jeszcze raz dziękuję.

Colie patrzyła na J.C. z ciekawością.

- Komendant Jackson Hole walczył ze mną na froncie – wyjaśnił J.C. – Odnalazł twojego brata. Rod powiedział, że przyjedzie jeszcze dzisiaj... A jego wspólnik przyjedzie z nim.  
- Popatrzył z niepokojem na Ludie, która siedziała na kanapie i bawiła się gryzakiem.

- Nie pozwolę na to – oznajmiła Colie. – Nie wpuszczę go za drzwi.

J.C. spojrzał jej w oczy i stwierdził z naciskiem:

- Nie zostawię cię z nimi samej. – Colie otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale uciszył ją gestem. – Rozmawiałem z Lucy. Zatrzyma się u ciebie aż do pogrzebu.

Po minie Colie odgadł, że ulżyło jej, gdy się okazało, że nie miał na myśli siebie. To zabolowało, ale nie dał nic po sobie poznać. Przez lata nauczył się ukrywać emocje.

- Naszym szeryfem jest Cody Banks. Wystarczy jedno słowo, a będzie tu w ciągu kilku minut. – J.C. przerwał. – Rozmawiałem z nim na temat Roda. Ale nie powiedziałem mu niczego, czego i tak już nie wiedział.

- Na temat...? – zapytała niepewnie Colie.

- Klient, którego broni twoja kancelaria, ma powiązania z działalnością Roda, Colie. Nie wierzę, że o tym nie wiedziałaś.

Patrząc na Ludie, odparła smutno:

- Tak, wiedziałam.

- Podobnie jak twój ojciec. Martwił się o was, choć do końca wierzył, że Rod zrozumie swoje błędy.

Colie podniosła wzrok.

- Ty i mój ojciec, grający razem w szachy... – powiedziała w zamyśleniu. – Trudno mi w to uwierzyć.

- Też przeżyłem spore zaskoczenie, kiedy przyjechałem tu pierwszy raz. To było wtedy, kiedy twój ojciec miał operację wyrostka. Zaprosił mnie na partię szachów. – Uśmiechnął się do wspomnień. – To był nowy początek. Szkoda, że nadszedł tak późno.

Colie pomyślała o wierszu, który kiedyś przeczytała:

*Ze wszystkich smutnych słów*

*Napisanych czy wypowiedzianych,*

*Najsmutniejsze są te:*

*Mogło być inaczej.*

To była absolutna prawda.

- Co u Merrie i Rena? – zapytała, żeby zmienić temat.

- Mają się dobrze. Bardzo by się ucieszyli, gdybyś ich odwiedziła przed powrotem do domu.

- Nie wiem, ile czasu minie, zanim uda mi się wszystko załatwić. – Do jej oczu znów napłynęły łzy.

- Zrobię, co mogę, żeby ci pomóc. Był dobrym człowiekiem. Najlepszym, jakiego poznałem.

Spojrzała w jego jasnoszare oczy, tak podobne do oczu Ludie. Nie wiedziała, czy podejrzewał, że Ludie jest jego córką. A jeśli by mu powiedziała, czy uwierzyłby jej?

- No dobrze, chyba już czas, żebym wrócił do domu – powiedział J.C. po chwili niezręcznej ciszy. – Jeśli będziesz czegoś potrzebować, możesz w każdej chwili zadzwonić.

- Dziękuję, że nas przywiozłeś.

- Żaden problem. - Spojrzał na Ludie, która wciąż przypatrywała mu się z ciekawością. Sam jej widok sprawiał mu ból. Tyle już go ominęło!

Colie udało, że nie widzi cierpienia w jego oczach.

- Jeśli Rod tu przyjedzie, zadzwoń do mnie – powiedział z naciskiem J.C. – Lub od razu do szeryfa. Nie igraj z ogniem.

Colie odetchnęła głęboko, po czym oznajmiła:

- Rod bardzo się stoczył. Nie wiem, czy jest jeszcze dla niego nadzieja. Ale mówiłam poważnie. Nie wpuszczę go za drzwi.

Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że zdeterminowany mężczyzna z łatwością przedrze się przez nią i Lucy. Groźby i prośby na nic się nie zdadzą.

- Miej telefon pod ręką.

- Zawsze go mam przy sobie.

Nie chciał zostawiać ich samych, ale pożegnał się i wyszedł. Odjeżdżając, zauważył kątem oka Colie, która stała w drzwiach z córką na rękach. To był przejmujący widok: rodzina, której mógł być częścią. Ale jedyne, co mógł teraz zrobić, to dopilnować, żeby nic złego im się nie stało.

W drodze do domu zadzwonił do Cody'ego Banksa, i najpierw streścił wszystko, co wiedział o byłym przyjacielu, a potem poinformował:

- Rozmawiałem z komendantem Jackson Hole, który powiedział, że Rod wpadł w złe towarzystwo. Colie obiecała, że nie wpuści go do domu. Ale komendant obawia się, że Rod przyprowadzi ze sobą współnika...

- Jeśli będzie szukał kłopotów w moim mieście, to je

znajdzie – oświadczył Cody.

- Colie i Ludie będą same. Jedyne, co udało mi się załatwić, to że przyjedzie do nich koleżanka Colie, Lucy. Sam bym u nich został, ale to tylko wywołałoby kolejne plotki.

- To miło, że o tym pomyślałeś, ale w razie kłopotów silny mężczyzna bardziej by im się przydał, niż dziesięć komórek z wybranym 112.

- Myślisz, że o tym nie wiem? – odparł ostrzej, niż zamierzał.

- Wybacz. – Szeryf się zawahał. – Może znamy kogoś, komu mogłaby na tyle zaufać, żeby z nią został?

- Ren pewnie się zgodzi, gdybym go poprosił – powiedział J.C. po chwili zastanowienia. – Lub nawet Willis. Mógłby wziąć swojego wilka – dodał półzartem.

- Jasne, jasne. Mała dziewczynka i głodny trójnogi wilk...

- Och, daj spokój. Przecież wiesz, że jest oswojony.

- Żadne dzikie zwierzę nie jest do końca oswojone. Zapomniałeś o moim lisie?

- Au – odparł J.C., skrywając rozbawienie.

- Cholerny zwierzak prawie odgryzł mi palec, a wychowałem go od szczenięcia – dodał szeryf. – Bez dwóch zdań, psy są lepszymi towarzyszami dla ludzi. Mój husky ma już pięć lat. Żona dała mi go na święta, rok przed tym, jak odeszła – dodał cicho.

J.C. nie odpowiedział. Jak większość mieszkańców Catelow, wiedział, że żona szeryfa Cody'ego zmarła na chorobę, którą zaraziła się od jednego z pacjentów w szpitalu. Szeryf długo opłakiwał jej śmierć i nigdy już się nie ożenił.

- Kiedy byłem mały, też miałem psa rasy husky – oznajmił J.C. – Zabierałem go na sanki. Był świetnym kompanem.

- Tak, te psy z natury takie są. Ale gdy ktoś się do ciebie włamie, wtedy husky oprowadzi złodzieja po domu i pomoże mu zanieść łup do samochodu – stwierdził z rozbawieniem szeryf.. – To nie jest pies stróżujący.

- To prawda.

- Powiedz Colie, że jak tylko coś się zacznie dziać, natychmiast ma do mnie dzwonić – dodał szeryf. – I tak mało śpiam, a poza tym chętnie pokazałbym jej braciszкови, gdzie jego miejsce. Aha, ale o tym jej nie mów.

- Nie powiem. Ale czuję to samo. Rod zaczął zadawać się z niebezpiecznymi ludźmi. To tylko kwestia czasu, zanim odpowie za swoje czyny.

- Znowu gadasz jak glina – zauważył Banks.

- Hm, możliwe. Dzięki za pomoc.

- Od tego tu jestem. Colie przyjechała na długo?

- Ma pracę w Teksasie – odparł J.C. z goryczą. – I chyba jest tam szczęśliwa.

- Szkoda, że straciła męża.

J.C. nie lubił myśleć o mężczyźnie, który zajął jego miejsce w życiu Colie.

- Mówiła, że bardzo kochał ich córkę.

- Jak wyglądał? – zapytał nagle Banks.

- Jej mąż? Nie wiem.

- Zresztą, nieważne. Momencik... – Banks odsunął na chwilę telefon od ucha. – Mamy wypadek na międzystanowej.

Muszę lecieć.

- Jasne.

J.C. się rozłączył. Po raz pierwszy zastanowił się, jak wyglądał mąż Colie. Zakładał, że Ludie jest jego córką, a wielebny Thompson też tak uważał. Ale co, jeśli tamten mężczyzna też miał rude włosy i szare oczy? Wtedy jego założenia mogą okazać się błędnie.

Był zaskoczony, jak bardzo rozczarowała go ta myśl.



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Colie płakała w rękaw Lucy.

- Tak mi przykro, Colie – mówiła jej przyjaciółka, kołysząc ją jak małe dziecko. – Tak mi przykro. Wiem, jak bardzo kochałaś swojego ojca.

- Tata prawie nigdy nie chorował. Miał zapalenie wyrostka, ale oprócz tego... – Pociągnęła nosem i odsunęła się, by otrzeć łzy. – Wciąż nie potrafię uwierzyć, że grywał w szachy z J.C.

- Byli sobie bliscy – powiedziała Lucy ku jej zaskoczeniu. – J.C. opiekował się twoim ojcem. Zawsze był w pobliżu gotowy do pomocy. Pastor zaangażował go do rozwożenia produktów spożywczych biednym rodzinom. Powiedział, że J.C. jest urodzonym wolontariuszem.

- Czego to ja się dowiaduję – odparła melancholijnie Colie. Zajrzała do swojej dawnej sypialni, w której spała teraz jej córka, a potem wróciła do salonu. – Jest bardzo zmęczona. – Zamilkła na moment. – Ludzie powiedziała, że mój ojciec jest chory, i wiedziała, że odszedł, zanim spotkaliśmy J.C. na lotnisku.

- To niesamowity dar – odparła Lucy. Jej brwi się uniosły. – J.C. pojechał po ciebie na lotnisko?

- Tak. Zamontował nawet fotelik dziecięcy w swoim SUV-ie. – Colie uśmiechnęła się i pokręciła głową. – Stary J.C. nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

- Lub może by zrobił, a ty po prostu nie miałaś okazji się

przekonać?

- To też jest możliwe.

- Twój ojciec mówił, że J.C. uwielbia oglądać filmiki z Ludie, które mu wysyłałaś. – Widząc spojrzenie Colie, Lucy przygryzła wargę. – Ups. Wybacz. Wymusnęło mi się.

- W porządku. Wiem, że J.C. podejrzewa, jak jest naprawdę. Ja nigdy mu tego nie powiedziałam, ale może tata... Nie miałam pojęcia, że byli sobie bliscy.

- Życie bywa bardzo pogmatwane, co?

- Racja.

- Czy twój brat będzie na pogrzebie?

- Tak. Ale nie wpuszczę go do domu – odparła Colie. – Jeśli naprawdę przyjedzie ze swoim współnikiem, to będzie go interesować tylko spadek, no i czy trzymałam język za zębami.

Lucy westchnęła.

- To dlatego do nas nie wróciłaś.

- Tak. Nie mogłam nawet powiedzieć mojemu ojcu. Bałam się, że porozmawia o tym z Rodem i napyta sobie kłopotów. Byłam przerażona. Chciałam wrócić, ale było zbyt wiele powodów, dla których nie mogłam tego zrobić.

- Na czele z J.C.?

Colie skinęła głową, idąc w stronę kuchni.

- Nie chciałam narażać taty na kolejne złośliwe plotki. Sprawiałam mu tyle bólu. – Do oczu znów napłynęły jej łzy. – Gdybym tylko mogła cofnąć się w czasie do momentu, kiedy poznałam J.C.!

- Gdybyś to zrobiła, nie byłoby z tobą Ludie – zauważyła Lucy.

Colie popatrzyła na przyjaciółkę wilgotnymi od łez oczami.

- Masz rację.

- Chyba nie myślisz, że twój brat naprawdę może cię skrzywdzić?

Colie się zawahała. Wzięła z pudełka filtr i włączyła ekspres do kawy.

- Nie wiem – odparła po chwili. – Naprawdę nie wiem. Kiedyś był moim ukochanym starszym bratem, ale odkąd wrócił z wojska, całkiem się zmienił. Zmienił się w kogoś, kogo nie znam... i wołałabym nie znać.

- Tak właśnie narkotyki działają na ludzi.

- To takie smutne. – Opadła na krzesło przy kuchennym stole. Widziała stąd szachownicę, na której J.C. grał z jej ojcem. Zmusiła się, by skupić wzrok na Lucy. – Rod był dobrym człowiekiem, ale niestety słabym i podatnym na wpływy. Robił wszystko, co mu powiedziano. Szedł za tłumem.

- Tacy ludzie zwykle nie kończą dobrze. Przez naszą kancelarię przewinęło się wielu takich jak on.

- To prawda. Po prostu... to smutne.

- Mam nadzieję, że mój syn będzie miał odwagę, by zawsze postępować słusznie – westchnęła Lucy. – Ma dopiero rok, ale chcemy wychować go na dzielnego i uczciwego człowieka.

- Też bardzo mi zależy, żeby Ludie wyrosła na dobrą osobę. Wiesz, że...

W tym momencie usłyszały bardzo wyraźny szcęk zamka.

Drzwi frontowe się otworzyły. Staął w nich Rod, a za nim Barry, jego ponury wspólnik z Jackson Hole.

- Przepraszam, siostró... - odezwał się niepewnie Rodney.

Colie zerwała się na nogi. Nie była już tą nieśmiałą i bezbronną dziewczyną co kiedyś. Wyjęła z kieszeni komórkę i pokazała ją bratu.

- Albo natychmiast wyjdiesz, albo zadzwonię po szeryfa.

- Teraz to też jego dom - oświadczył Barry. Miał na sobie garnitur, który kosztował więcej, niż Colie zarabiała przez rok.

- Dopiero kiedy testament będzie prawomocny. Zakładam, że znasz prawo? - odparła zimno Colie, nie cofając się ani o krok.

Barry rzucił jej wściekłe spojrzenie. Oczywiście, że znał prawo. Uciekał przed nim przez większość życia.

Rod zarumienił się, patrząc na nich.

- Siostró, nie mam gdzie się podziać... - jęknął żałośnie.

- Sprzedaj jaguara i wynajmij pokój w motelu - odparła Colie.

Rumieniec Roda pociemniał.

- To tylko próbny model... - Gdy spojrzął na Barry'ego, coś przemknęło między nimi, jakby bezgłośnie porozumienie. - Słuchaj, powinniśmy porozmawiać...

- Nie teraz - odparła spokojnie Colie. - Muszę zorganizować pogrzeb, a moja córka śpi.

- Och. Przywiozłaś ją ze sobą? - Rod wyglądał na wytrąconego z równowagi. Znów obejrzał się nerwowo na wspólnika. - Myślałem, że zostanie z twoim mężem

w Teksasie...

- Mój mąż nie żyje.

- Och. – Rod poruszył się niespokojnie. – Rozumiem.

Przykro mi.

- Chorował na raka, Rod. Był gotów, by odejść.

- Musiało ci być ciężko, siostrzo.

- Ciężko! – parsknęła Lucy, nie potrafiąc ukryć gniewu. – Gdybyś jeszcze wiedział, co to znaczy, Rodneyu Thompsonie!

Rod odwrócił wzrok.

- Chodźmy – powiedział Barry, rzucając Lucy i Colie wrogie spojrzenie. – Możemy wrócić później i porozmawiać z twoją siostrą. Kiedy będzie sama – dodał z niemal jawną groźbą.

- J.C. wie, że tu jestem – powiedziała Colie, zwracając się do Rodneya. – Przyjechał po mnie na lotnisko. Tym razem było całkiem inaczej, bo bez ciebie nie miał kto zalać go stekiem kłamstw!

- Nie ekscytuj się – odparł Barry. – Nie wiem, co sobie wyobrażałaś, ale J.C. Calhoun to dla nas żadne zagrożenie.

- Cody Banks nim będzie – odgryzła się Cole. – I obiecuję ci, jeśli tylko przekroczysz próg, dowie się o tym. – Wskazała telefon.

- Siostrzo... – zaczął Rodney.

Jego współlnik wziął go za ramię i wyprowadził go na dwór, zatrzasnąwszy drzwi.

- Teraz możesz zadzwonić do Cody'ego – powiedziała Lucy.  
- Ten człowiek ci groził!

Colie wybrała numer szeryfa.

- Gdybym miał kogoś, kogo mógłbym do ciebie wysłać, zrobiłbym to – odparł Cody Banks. – Dzwon, jeśli będziesz potrzebować pomocy. J.C. wie, że Rodney przyjechał?

- Jeszcze nie.

- Zadzwoń do niego – odparł szeryf. – On i twój ojciec byli sobie bliscy. Może nam pomóc.

Colie poczuła ukłucie niepokoju.

- Nic mu nie mów – powiedziała pośpiesznie. – Zadzwoń do J.C. i sama mu powiem. Okej?

- Nie ma sprawy. – Szeryf zamilkł na chwilę. – Mówią, że twój mąż miał raka...

- Szpiczaka mnogiego. Pod koniec było nam bardzo ciężko.  
- Colie zamilkła na chwilę. – J.C. i mój tata grający w szachy! To był dla mnie szok.

- Ludzie się zmieniają, Colie – odparł łagodnie szeryf. – Możesz w to nie wierzyć, ale pracuję w policji od ładnych kilku lat. Ci, których spisano już na straty, przechodzą metamorfozę każdego dnia.

- Ty wiesz o tym najlepiej.

- Dlatego mówię. Przykro mi z powodu twojego męża, ale życie toczy się dalej. Kiedy moja żona umarła, myślałem, że nie mam po co dalej żyć. Ale jakoś dałem sobie radę i nadal daję. Z czasem robi się coraz łatwiej. I masz śliczną córeczkę, dzięki której będziesz zawsze o nim pamiętać.

To zabrzmiało niemal jak pytanie.

- Tak, mam – odparła. – Był bardzo dumny z Ludie.

- Ludie – powtórzył szeryf. – Tak się nazywała twoja matka, prawda? Louise, ale wszyscy mówili na nią Ludie.

- Tak było.... Tęsknię za mamą, ale myśl, że teraz jest przy niej tata, przynosi mi ulgę – wykrztusiła ze ściśniętym gardłem. – Przepraszam, ale musi minąć trochę czasu, zanim będę mogła o tym rozmawiać.

- Prześpij się, odpocznij – poradził szeryf. – Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebować. Powiedz też J.C. Dobrze?

- Dobrze. I dziękuję. – Rozłączyła się i spojrzała na Lucy. – Chciał powiedzieć J.C. Ale słyszałaś, co mówił ten facet. Jeśli powiem J.C., a oni się dowiedzą, może skończyć martwy! To była niemal jawna groźba!

- Słonko, to ty możesz skończyć martwa! – oburzyła się Lucy. – J.C. szkoli policjantów, sam był gliniarzem i żołnierzem. Wie, jak postępować z brutalnymi i niebezpiecznymi ludźmi. To jest poważna sytuacja. Nie dasz sobie z nią rady sama!

Colie wciąż się wahała. Przecież Rod jej nie skrzywdzi ani nie pozwoli, żeby jego wspólnik zrobił jej coś złego.

- Myślisz, że Rod nigdy nie podniesie na ciebie ręki. – Lucy знаła Colie tak długo, że wyczytała to z jej miny. – Ale jego wspólnik jest do tego zdolny, a Rod mu się nie przeciwstawi. Nie potrafi postawić na swoim. w kryzysowej sytuacji wpadnie w panikę. Nie wiesz, co się stało w wojsku, prawda?

- Z kim? Z Rodem?

- Tak. Z Rodem. To przykra sprawa i nikt nie miał serca, żeby powiedzieć o tym twojemu ojcu lub tobie. Oddział Roda został wysłany, żeby spacyfikować grupę buntowników. Kiedy Rod ich zobaczył, odrzucił broń i uciekł. Dwóch żołnierzy z jego oddziału zginęło. Jednak zamiast stanąć przed sądem wojennym, został tylko wydalony z wojska, ponieważ jego przełożony znał twojego ojca i poręczył za niego.

- Mój Boże! – krzyknęła wstrząśnięta Colie. – Nigdy nie wspomniał o tym ani słowem!

- Nic dziwnego, to nie powód do dumy – skwitowała Lucy. – Prawdę zna J.C., ale nie spisał go na straty, jak inni weterani. Jest lojalny do szpiku kości. Jednak kiedy Rod wmieszał się w handel narkotykami, J.C. już nie chciał mieć z nim więcej do czynienia.

Nogi ugięły się pod Colie. Usiadła na kanapie.

- Wciąż nie mogę w to wszystko uwierzyć.

Lucy postawiła kawę na stoliku i usiadła naprzeciwko Colie.

- Pamiętaj, żeby zamknąć drzwi na klucz i zawsze mieć telefon pod ręką. Najlepiej by było, gdybyś zadzwoniła do J.C. i poprosiła, żeby został u ciebie na noc.

- I ponownie sprowokował plotkarzy do działania? – odparła Colie ze smutnym uśmiechem. – Gdyby chodziło tylko o mnie, pewnie bym tak zrobiła, ale mam córkę, która może przez to ucierpieć. – Colie z trudem przełknęła ślinę. – Dam sobie radę. Gdyby cokolwiek się działo, mogę zadzwonić do szeryfa. Rod nie ma klucza do drzwi. Udało mu się wejść tylko dlatego, że nie były zamknięte.

- Załóż też łańcuchy – poradziła Lucy. – Nie liczyłabym na to, że nie potrafią otworzyć zamka.

- Rod chce wszystkim wmówić, że przyjechał na pogrzeb taty. Tak naprawdę przyjechał dlatego, że jeden z klientów kancelarii, w której pracuję, zamierza zeznawać w sprawie handlu narkotykami, która sięga do Jackson Hole. Jeśli to zrobi, agenci federalni wkroczą do akcji. Wielu handlarzy narkotyków, w tym najprawdopodobniej wspólnik Rodneya,



będzie musiało uciekać za granicę.

- Jaki to ma związek z tobą?

Colie popatrzyła na przyjaciółkę. Nie mogła jej powiedzieć, że na własne oczy widziała, jak gangster przekazuje Rodowi walizkę pełną narkotyków. Że opuściła Catelow przede wszystkim dlatego, by przestępcy uwierzyli, że nikomu nie zdradzi ich tajemnicy. Bo chciała chronić swojego ojca, swoje dziecko i siebie.

- Nie mogę ci powiedzieć – powiedziała łagodnie. – Wtedy ty też znalazłabyś się w niebezpieczeństwie. Po prostu musisz mi uwierzyć, że istnieje realne zagrożenie. Jutro zamierzam zadzwonić do moich pracodawców w Teksasie i poprosić ich o pomoc. Mają doskonałego detektywa. Jeśli ich o to poproszę, na pewno go tu przyślą. Był w Zielonych Beretach.

- A zatem tak zrób. Zaraz z samego rana – powiedziała zdecydowanie Lucy.

Colie uścisnęła ją.

- Dziękuję. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

Lucy się uśmiechnęła.

- Takie twardzielki jak my zawsze dadzą sobie radę.

- Twardzielki. – Colie odwzajemniła jej uśmiech. – To właśnie my.

Szykowała się długa noc. Ludie, która wieczorami zwykle gaworzyła, była niespotykane cicha i bezustannie wpatrywała się w matkę wielkimi, pełnymi niepokoju oczami.

- Zły pan – powiedziała, kiedy Colie położyła ją do łóżka. – Zły pan, mamó. Robi ludziom krzywdę.

- Nie skrzywdzi nas. Ktoś nam pomoże – zapewniła Colie

z uśmiechem.

- Chcę do taty... - W szarych oczach Ludie błysnęły łzy.

Colie pochyliła się, żeby odgarnąć jasnorude loki z jej wilgotnych policzków.

- Ludie, twój tata nie żyje...

- Mój prawdziwy tata żyje - upierała się Ludie dziecięcym głosem. - Chcę do prawdziwego taty. - Gdy oszołomiona Colie zaniemówiła, dziewczynka dodała: - Przyjechał po nas. Zaniósł mnie do domu.

Colie pobladła. J.C. Ludie właśnie powiedziała, że J.C. jest jej ojcem. Nie mogła wiedzieć! To niemożliwe. Bardzo uważała, żeby o nim nie wspominać w obecności swojego nad wiek rozwiniętego dziecka.

- Ludie... - zaczęła, nie wiedząc, co jej powiedzieć.

- Mój tata kochał dziadzię...

- Wszyscy go kochaliśmy - wykrztusiła Colie.

- Mój prawdziwy tata nas obroni. - Ludie zamknęła oczy. - Lubię mojego prawdziwego tatę...

Jej głos ucichł.

Colie siedziała i patrzyła na śpiącą córeczkę, czując w sercu ogromny ciężar.

Następnego ranka zrobiła śniadanie i nakarmiła Ludie, która wciąż zachowywała się bardzo cicho. Po śniadaniu zamierzała zadzwonić do kancelarii i poprosić, żeby przysłali detektywa.

Nie zadzwoniła. Zanim zdążyła zebrać naczynia ze stołu, usłyszała szczęknięcie klucza z zamku. Łańcuch był założony, ale wystarczyło jedno szarpnięcie, żeby go zerwać. Colie

nawet nie zdążyła krzyknąć, gdy dwóch mężczyzn otoczyło ją w rogu kuchni...

Nad Skyhornem, ranczem Rena Coltera, padał gęsty śnieg. J.C. Calhoun jechał przez białe tumany, wspominając czasy, kiedy mieszkał w Jukonie. Nie pochodził z Wyoming, ale jeden z jego przodków żył w pobliskiej Montanie. Uśmiechnął się na myśl o nim. Pewnego dnia będzie musiał powiedzieć o nim Ludie, o wojowniku Siuksów, który walczył u boku Lakotów w bitwie o Rosebud.

Ludie, jego córka... J.C. westchnął, zastanawiając się, czy Colie kiedykolwiek powie mu, jak było naprawdę. Miał swoje podejrzenia, ale nie wiedział niczego na pewno.

Lecz w tej chwili najważniejsze było ich bezpieczeństwo. Miał nadzieję, że z Colie wciąż jest Lucy i że Rod oraz jego wspólnik się nie pojawili. Później zamierzał dla pewności je odwiedzić.

Zauważył dużą zaspę koło ogrodzenia rancza. Zapewne sosna złamała się pod ciężarem śniegu i lodu. Zjechał na pobocze i wysiadł z samochodu. Śnieg padał na krótkie czarne włosy L.C. Nie znosił czapek, choć Ren wciąż go o to nagabywał. Ale J.C. był synem Indianina i dorastał na ulicy. Był niepokornym, na wpół dzikim buntownikiem, który przez długie lata nie chciał się uspokoić, ustatkować... aż do teraz.

Wciąż czuł ból, gdy wspominał, jak trzy lata temu zmieszał z błotem biedną Colie. Nie odezwała się ani słowem. Po prostu patrzyła na niego tymi swoimi wielkimi, zielonymi oczami. Nie należała do tych, którzy potrafią postawić na swoim. Może właśnie dlatego wzbudziła jego zainteresowanie? Po prostu przyjmowała to, co był w stanie jej ofiarować, nie żądając nic więcej. Chciała małżeństwa, ale

zgodziła się na nieformalny związek. Od początku zmuszał ją, żeby grała na jego zasadach.

Tak było przez całe jego życie. Jego drobna irlandzka matka od zawsze broniła go przed gniewem ojca. Bezgranicznie kochała syna, ale kochała również męża mimo wszystkich jego wad. To, jak jej mąż, inteligentny człowiek i utalentowany nauczyciel, stacza się na dno, musiało sprawiać jej wiele bólu. Zrezygnował z nauczania i poszedł do kopalni, bo w ten sposób mógł zarobić więcej pieniędzy. Brak pieniędzy oraz syn zabiły jego marzenia o założeniu rancza. I chociaż było z nim coraz gorzej, żona go nie opuściła. Powiedziała kiedyś małemu J.C.:

– Nie zostawia się tych, których się kocha. Cokolwiek by się działo, trzeba ich wspierać i ratować za wszelką cenę.

Dzieciństwo J.C. było jednym wielkim horrorem. Kiedy dorósł, poszedł do wojska, ale okazał się zbyt niepokorny, żeby zrobić prawdziwą karierę wiodącą ku generalskim gwiazdkom. Skończył w oddziale specjalnym, gdzie podczas pacyfikacji rebeliantów poznał jednego z dowódców, Rena Coltera. Zaprzyjaźnili się. Ren zaproponował mu pracę, a J.C. przyjął jego ofertę.

Lubił Rena. Był takim samym awanturnikiem jak on. Oczywiście odkąd Ren się ożenił, nie wdawał się już w żadne bójki i inne awantury. J.C. lubił też żonę Rena. Miała rękę do zwierząt, podobnie jak Colie.

Przypomniał sobie, jak Colie bezgłośnie płakała, jak łzy płynęły z jej zielonych oczu milczącym strumieniem. Jej ciemnobrązowe loki, jej bladą twarz. Krzyczał i krzyczał, aż skończyły mu się obelgi, a ona nie odezwała się ani słowem, nawet kiedy wystawił ją za drzwi.

Otrząsnął się. Wspominanie dawnych błędów nie miało sensu, przynosiło tylko ból i smutek. Odkąd poznał Colie, nigdy nie spojrzął na inną kobietę i pewnie tak już zostanie. Widział siebie, jakim się stanie za ileś tam lat: siwy i ponury facet walczący z całym światem. Prawdziwy samotnik, ale właśnie takie życie pasowało do niego. Miał mały dom na kilkuset hektarach ziemi, które przylegały do posiadłości Rena, a także trochę rasowego bydła. Ren sowicie mu płacił za zarządzanie ochroną rancza, zarabiał też na szkoleniach dla policjantów na Bliskim Wschodzie. Inwestował prawie wszystko, co zarobił. Właściwie nie potrzebował już więcej pieniędzy, ale lubił swoją pracę. Ostatnio tylko ona sprawiała mu przyjemność.

Spostrzegł leżącą na ziemi krowę. Wsiadł z samochodu i uklęknął obok niej. Była to jedna z ciężarnych jałówek, która zaplątała się w drut kolczasty.

- Nie ruszaj się, Bessie. Zaraz cię wyciągnę – powiedział, poklepując ją po głowie.

Wrócił do samochodu, żeby wziąć nożyce do drutu i zadzwonić do Willisa.

- Najlepiej wyślij sanie – powiedział. – Wygląda na to, że ma tylko powierzchowne obrażenia, ale lepiej dmuchać na zimne.

- Zgadza się – odparł Willis. – Wyślę Grandy'ego.

- Okej. Poczekam tu na niego.

Rozciął druty i pomógł jałowce wstać. Z trudem trzymała się na nogach. Sprawdził je po kolei, ale wydawały się całe. Może dlatego wyglądała niepewnie, że była w zaawansowanej ciąży.

- Wszystko będzie dobrze – powiedział łagodnie. – Tylko stój spokojnie...

Nagle usłyszał coś dziwnego, jakby... płacz dziecka? Pokręcił głową. Zaczynał mieć omamy. Może Ren miał rację, gdy mówił, że spędza za dużo czasu sam.

Poszedł odłożyć nożyce do samochodu. Wtedy je zobaczył. Ślady opon. Zmarszczył brwi. Skąd te ślady opon? To była boczna droga prowadząca na ranczo. Nikt tędy nie jeździł. Nie były przykryte śniegiem, więc powstały niedawno.

Uklęknął na jedno kolano i przyjrzał im się dokładnie. Najwyraźniej przejechał tędy samochód. Otworzył szerzej oczy, widząc coś jeszcze. Krew!

Rozejrzał się czujnie. Poszedł do pikapa, wyjął 44 Magnum. zawiesił kaburę na pasku i wsunął do niej rewolwer.

Zauważył ślady prowadzące od drogi w stronę, gdzie krowa zaplątała się w drut. Poszedł za nimi. To były dziwne ślady, jakby były to ślady dziecka. Do diabła, co na wielkiej łące podczas śnieżycy robił jakiś dzieciak?! Nie, pewnie znów mu się przywidziało. To pewnie jakieś zwierzę. Ale ta krew...

Znów usłyszał ten dźwięk. Płacz. Kwilenie.

Obrócił się i zmrużył oczy. To tam, z lewej, pod kępą młodych sosen leżała biała kurtka, którą wziął za zaspę. Taka jak ta, którą miała na sobie Ludie.

Podbiegł, uklęknął obok niej, wyciągnął rękę i dotknął rękawa ubrudzonej krwią kurtki. A wtedy szare oczy otworzyły się i spojrzały prosto na niego.

- Ludie! – wykrzyknął. – Mój Boże, co się stało? Co ty tu robisz?

Jej twarz miała wyraz, jaki nigdy nie powinien pojawić się

na twarzy dziecka. J.C. ujrzał w nim takie samo przerażenie, jakie widział na twarzach weteranów wojennych.

- Możesz mi powiedzieć co się stało? – Spojrzał na ślady krwi z przodu kurtki i serce podeszło mu do gardła. – Jesteś ranna?

- N...nie – szepnęła, trzęsąc się.

J.C. nagle dopadły lodowate sztylety strachu.

- Gdzie jest twoja mama? – spytał, starając się mówić spokojnym głosem.

- Nie wiem. – Po twarzy Ludie popłynęły łzy. – Mama wysadziła mnie z auta i kazała się schować. Zanim...

- Zanim?

- Zanim... – Załkała. – Zanim do niej strzelił.

J.C. wstrzymał oddech.

- Kto strzelał?

Ludie wyraźne była w szoku. – Zastrzelił moją mamę. Biegłam i biegłam. Zastrzelił moją mamę!

- Mój Boże. – Wszędzie było pełno dowodów, ale J.C. to nie obchodziło. Wziął Ludie na ręce i przytulił ją do piersi. – Wszystko w porządku, słońce – szepnął. – Jesteś bezpieczna.

Wyszarpnął telefon z kieszeni i zadzwonił do szeryfa.

- O Boże! – krzyknął Cody, kiedy J.C. powiedział mu, co znalazł. – Zaraz tam będę. Całe szczęście jesteśmy trzy kilometry od twojej pozycji. Dobrze, że masz przy sobie GPS. Niczego nie dotykaj. Zaraz zadzwonię do Davisa. – Davis był miejscowym detektywem.

- Powiedziała, że ktoś strzelał do jej matki – dodał J.C. –

Musisz znaleźć Colie!

- Zaraz się tym zajmiemy. Czy dziecku nic się nie stało?  
Mamy wysłać pogotowie?

- Tak.

- Jesteśmy już w drodze.

J.C. się rozłączył. Odgarnął włosy z twarzy. Serce waliło mu jak młot.

- Wszystko będzie dobrze. Nikt cię nie skrzywdzi. Obiecuję.

- Chcę do mamy – załkała dziewczynka.

- Znajdziemy ją, Ludie – powiedział łagodnie J.C. –  
Obiecuję, że ją znajdziemy.

Ludie popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Wujek Rod mu pomógł.

J.C. posłał wujka Roda do diabła. Nie ujdzie mu to na sucho. Jeśli Colie nie żyła, lepiej, żeby Rod nigdy nie stanął mu na drodze.

Wstał z dzieckiem na ramionach, rozglądając się ostrożnie. Ślady opon wiodły w stronę domu Thompsonów. Jak to możliwe, że Ludie się tu znalazła? I gdzie była Colie?

Dziewczynka zdawała się wyczuwać jego przerażenie.  
Dotknęła małą rączką jego policzka.

- Mama żyje – powiedziała, potrząsając rudą głową.  
Wyglądała jak porcelanowa lalka. – Mama żyje.

J.C. przypomniał sobie, jak Colie przyjechała na pogrzeb ojca. Ludie płakała. Wiedziała, że wolebnym Thompson nie żyje, jeszcze zanim wylądowali na lotnisku.

- Dużo wiesz, co? – powiedział łagodnie.



Ludie przytaknęła.

- Jesteś moim tatą – powiedziała wysokim czystym głosem.

J.C. znieruchomiał na moment, a Ludie przyglądała mu się uważnie.

- Zły pan strzelał do mamy. Jest w domu. Domu dziadzi.

Serce skoczyło J.C. w piersi. Wyjął telefon i znowu zadzwonił do Banksa.

- Moglibyście sprawdzić, czy Colie nie ma w domu Thompsonów? – zapytał. – Nieważne, skąd wiem – dodał, patrząc na Ludie. – Po prostu sprawdźcie. – Westchnął. – Jasne. Dzięki. – Rozłączył się.

- Chcę do mamy. – Głosik Ludie się załamał.

J.C. przytulił ją mocniej i pocałował wilgotne policzki, sam czując napływające do oczu łzy. Boże, żeby tylko Colie była cała! Proszę!

Ludie otoczyła ramionami jego szyję i przytuliła się mocno.

- Boję się – szepnęła. – On zrobił krzywdę mojej mamie. Powiedział, że mi też zrobi...

- Nikt cię nie skrzywdzi – obiecał J.C. – Póki żyję, będę cię chronić. Przysięgam!

Ludie trochę się odprężyła, ale nie przestała płakać.

W tym momencie syreny wdarły się w ciszę wysokich ośnieżonych sosen i odległych gór.

Szeryf Cody Banks wyskoczył z radiowozu. Za nim wysiadł jego zastępca, Matt Davis.

Cody zmarszczył brwi, widząc J.C. z dzieckiem na rękach.

- Nic nie mów – mruknął J.C. – Na jej kurtce i w miejscu,

gdzie leżała, są ślady krwi. Mówi, że ktoś postrzelił jej matkę. Kiedy ją znalazłem, płakała...

- Niczego nie zamierzałem mówić - odparł Cody i wzdrygnął się, gdy dziewczynka podniosła głowę, ukazując czerwone, opuchnięte oczy. - Karetka jechała tuż za mną.

Ambulans wjechał na zaśnieżoną łąkę i wyskoczyło z niego dwóch ratowników. W czasie, gdy badali Ludie, detektyw zebrał dowody i dokładnie obfotografował cały teren.

- Wygląda na to, że nic jej nie jest - powiedział jeden z ratowników, uśmiechając się do dziewczynki. - Mimo wszystko dobrze byłoby ją zabrać ją do szpitala i dokładnie zbadać...

- Nie! - Ludie wtuliła się mocniej w J.C., kiedy ratownik wyciągnął po nią rękę.

J.C. nie zamierzał jej oddawać. On, który nie znosił dzieci, nie potrafił się z nią rozstać.

- Zawiozę ją tam - powiedział.

- Możemy ją umieścić w domu tymczasowym... - zaczął Cody.

- Nie! - krzyknęła rozpaczliwie Ludie i znowu zaczęła płakać.

J.C. wziął głęboki oddech.

- Byłem kiedyś zaręczony z jej matką, więc jakbym należał do rodziny. Póki co mogę ją wziąć do siebie.

- Sąd to rozstrzygnie - powiedział Cody, uśmiechając się pod nosem na widok oczywistej więzi między dzieckiem a mężczyzną, który jeszcze niedawno nie chciał mieć dzieci. - Będziemy musieli też jak najszybciej zabrać ją do psychologa.

Na pewno ma traumę. Davis, bierzmy się do pracy.

- Byłeś już w domu wielebnego Thompsona? – zapytał J.C.

- Wysłałem tam jednego z moich ludzi – odparł szeryf. – Niedługo będziemy wiedzieć coś więcej.

J.C. skinął tylko głową. Nie potrafił i nie chciał sobie wyobrazić świata, w którym nie ma Colie.

Davis zebrał cały dostępny materiał dowodowy, tymczasem Cody'emu udało się ustalić model samochodu, w którym była Colie Thompson Howland. Jedna z kamer monitoringu Rena Coltera zarejestrowała samochód, który zatrzymał się na chwilę, i uciekającą Ludie. Samochód należał do Rodneya Thompsona.

Odkąd drogi jego i Rodneya się rozeszły, J.C. słyszał o nim wiele plotek. Były żołnierz stoczył się z pozycji odpowiedzialnego sprzedawcy w miejscowym sklepie z narzędziami do bezwartościowego próżniaka i dilera narkotyków, który był kilkakrotnie aresztowany za posiadanie. Kiedyś J.C. kochał go jak brata, ale te czasy należały do przeszłości.

Kto postrzelił Colie? Odpowiedź na to pytanie była boleśnie oczywista. Ludie wysiadła z samochodu wujka. Jej matka pewnie wciąż w nim była... martwa. Czy Rodney zastrzelił własną siostrę? J.C. zacisnął zęby. Chciał, żeby Rodney dostał dożywocie. Nie zdawał sobie sprawy, że powiedział to na głos, dopóki Cody mu nie odpowiedział:

- Myślałem o tym samym, jeśli tylko uda nam się to udowodnić. Mój człowiek właśnie jedzie do jego domu. Chcę przejąć samochód, zanim zdąży zatrzeć ślady. Przede wszystkim trzeba znaleźć... – Szeryf zawahał się, zdając sobie sprawę, że Ludie na niego patrzy. Nie chciał przy niej mówić

„zwłoki”.

- Zabiorę Ludie na pogotowie – oświadczył J.C. Desperacko pragnął pojechać do domu Colie, ale to jej córką powinien zająć się w pierwszej kolejności. – Wiem, że nie mogę wziąć udziału w śledztwie, ale jej matka była moją narzeczoną. – J.C. przerwał na chwilę, by powstrzymać szalejące w nim emocje. – Przez prawie dwa lata co tydzień grywałem z jej ojcem w szachy. Najpierw on, teraz ona... Boże, to zbyt wiele!

- J.C. mocniej przytulił Ludie i popatrzył na Banksa. – Zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz coś wiedzieć. Dobrze?

- Dobrze – obiecał Cody. – Bardzo mi przykro – dodał, patrząc ze współczuciem na zapłakaną twarz małej dziewczynki.

J.C. wziął głęboki oddech, skrywając emocje.

- Chodź, Ludie. Jedziemy do szpitala.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Colie właśnie kończyła śniadanie, kiedy usłyszała szczęknięcie klucza w zamku. Ludie poderwała głowę.

- Zły pan, mammo! Zły pan! – powiedziała nagłaco.

Zanim Colie zdążyła zareagować, Rodney i jego wspólnik Barry wparowali do domu. Rod wyglądał na niepewnego i zawstydzonego, natomiast Barry na aroganckiego i pewnego siebie. Ku jej przerażeniu, trzymał w ręce pistolet.

- Colie, musisz zadzwonić do swojego szefa i powiedzieć, żeby wycofał się ze sprawy handlu narkotykami – oznajmił Rodney nerwowym, niecierpliwym tonem. – Zrobi to, jestem pewien – dodał, patrząc na Barry'ego. – Mówiłem, że ten pistolet jest niepotrzebny!

- Ona cię nie posłucha – odparł Barry, trafnie odczytując wyraz jej twarzy. – Nie obchodzi jej, czy pójdziesz do więzienia, czy nie.

- To nieprawda... – zaczęła Colie. Potrzebowała więcej czasu do namysłu. Nieważne, co z nią się stanie, przede wszystkim musiała uratować Ludie. Gdyby tylko poprosiła J.C., żeby z nią został...

- Ale... – zaczął Rod. Wyglądał, jakby los siostry naprawdę go obchodził. Chociaż raz jego oczy nie były podkrążone. Wyglądał tak, jak Colie go zapamiętała, zanim zaczął brać narkotyki.

- Zamknij się, Rod – powiedział Barry. – Za późno na sentymenty. Bierz dzieciaka i chodź za mną.

- Nie! – krzyknęła Colie, sięgając po nóż kuchenny.

Barry wycelował pistolet w głowę Ludie.

- Twój wybór – warknął.

Colie była przerażona. Barry nie blefował. Doskonale wiedział, że jeśli klient jej kancelarii złoży zeznania, wkrótce znajdzie się w więzieniu stanowym. Gotów był zrobić wszystko, żeby do tego nie dopuścić, nawet zamordować niewinne dziecko.

- Dobrze – powiedziała, odkładając nóż. – Dobrze, zrobię wszystko, co zechcesz. Tylko nie rób krzywdy Ludie.

- Zły pan – powiedziała Ludie, patrząc na Barry'ego. – Zły pan.

- Owszem – potwierdził Barry z aroganckim uśmiechem. – Chodźmy. – Wycelował broń w Colie. – Bierz dzieciaka i chodź.

- Gdzie je zabierasz? – zapytał ze strachem Rod.

- Na przejażdżkę. Zostań tu i czekaj, aż wrócę – polecił Barry. – Daj mi swoje kluczyki.

Rodney wykonał polecenie, ponieważ był po uszy w kłopotach i wiedział, że Barry nie zawaha się zastrzelić również jego. Dopiero później zdał sobie sprawę, co powiedział jego wspólnik. „Czekaj, aż wrócę”. Barry zamierzał wrócić sam.

- Możesz ze mną zrobić, co zechcesz, tylko nie rób krzywdy mojej córce – błagała Colie.

Barry zjechał z drogi na opuszczonej ścieżkę, która biegła wzdłuż rancza Rena Coltera.

- Powiedziałaś im, co widziałaś trzy lata temu, prawda? –

zapytał Barry. – Powiedziałaś, że widziałaś, jak przekazuję Rodowi walizkę narkotyków. Jesteś jedyną osobą, która może to poświadczyć.

Colie wstrzymała oddech. Czyli o to w tym wszystkim chodziło.

- Nikomu nie powiedziałam.

- Jasne, jasne – odparł gniewnie. – Ale będziesz zeznawać.

- Nie, nie będę! Obiecuję. – Colie trzymała Ludie na kolanach, ściskając ją mocno.

- Za późno. – Barry zatrzymał samochód i wyjął pistolet. – Hm, tu będzie dobrze. Kameralnie. Żadnych świadków.

Colie miała kilka sekund na podjęcie decyzji. Otworzyła drzwi i wystawiła Ludie na śnieg.

- Uciekaj! – krzyknęła. – Biegnij jak...wiatr! – Jej głos się załamał, kiedy Barry pociągnął za spust. Krew trysnęła na wszystkie strony.

Słyszając strzał, Ludie krzyknęła przeraźliwie. Chciała się obrócić, ale wtedy jej matka znów do niej krzyknęła. Popędziła w stronę ogrodzenia, znalazła dziurę i przeczołgała się przez nią. Ledwie widząc przez śnieg i łyż, pobiegła w stronę drzew.

- Zostaw... moje... dziecko! – wydyszała Colie, siłując się z Barrym. Była silna jak na kobietę, ale rana ją osłabiała. Kręciło jej się w głowie. Czuła, jak życie wypływa z niej przez dziurę w piersi. – Zostaw ją!

- I tak zaraz zamarznie – warknął Barry. – Nie będzie świadkiem.

- Świadkiem... – Świat rozmazywał się przed oczami Colie.

Walczyła, żeby złapać oddech, zaczęła odczuwać narastający ból. Żeby tylko Ludie udało się uciec! Musiała zachować świadomość, musiała walczyć jak najdłużej...

Po raz ostatni zaczerpnęła tchu i zemdlała. W pierwszej chwili Barry chciał po prostu wypchnąć ją z samochodu, ale wtedy ten, kto ją znajdzie, mógłby też znaleźć jej córkę. Nie chciał, żeby ją znaleziono.

Zawrócił do domu Rodneya.

Rod czekał na werandzie, nerwowo chodząc w tę i z powrotem. Gdy Barry zajechał na podwórze, podbiegł do samochodu.

- I co zrobiłeś... o nie! Colie! - krzyknął.

- Zrobiłem to, co konieczne - odparł nonszalancko Barry. - Teraz nie będzie mogła zeznawać przeciwko mnie. Nawet jeśli tamten facet wsypie innych dilerów, na mnie nic nie mają. Tylko ona mogła wsadzić mnie do więzienia. Nie mogłem ryzykować.

- Moja siostra. - Rod delikatnie wziął ją na rękę. Po jego policzkach spływały łzy. - Moja siostra...

- Twój samochód, jej krew. Zgadnij, kogo oskarżą o morderstwo? - syknął Barry.

Rodney go nie słyszał. Delikatnie położył Colie na podłodze werandy.

- Zabiłeś moją siostrę! - Zajrzał do samochodu i przeraził się jeszcze bardziej. - Gdzie jest Ludie?

Barry wzruszył ramionami.

- Błąka się po lesie, o ile już nie zamarzła. Ale czy to ważne? Pomyśl lepiej o sobie. Na przykład ja zamierzam



wrócić do Jackson Hole. Zostałeś sam, Rodney. I tak byłeś beznadziejnym dilerem. Dobrze, że nie muszę się już przejmować tobą ani twoją siostrą. – Spojrzał na umierającą kobietę. – Sądzę, że nie będzie już sprawiać problemów.

- Morderca! – Rod ruszył na niego z pięściami.

Barry jednym ciosem wysłał go na podłogę, poprawił garnitur i poszedł do swojego samochodu. Był bardzo zadowolony z siebie. Nawet jeśli Rodney zadzwoni po policję, on sam był bezpieczny. Nie było żadnych świadków, a cała krew była w samochodzie Rodneya. Jeśli ktoś pójdzie siedzieć, to na pewno nie on. I kto wie, przy takiej śnieżycy jeszcze długo mogą szukać ciała dziecka.

Rodney zadzwonił po pogotowie z jednego ze swoich jednorazowych telefonów. Nie odważył się zostać z Colie. Barry miał rację. Jeśli jego siostra umrze, to on pójdzie za kratki. Zostawił ją samą, sprzedał swoją duszę Barry'emu w zamian za szybki zysk. Jego ojciec nie żył, a siostra umierała. No i była jeszcze Ludie. Co z nią? Nie miał pojęcia, gdzie może być. Nie znalazłby jej w tej śnieżycy, nawet gdyby miał czas, żeby jej szukać.

Pogładził Colie po włosach. Miała paskudną ranę na piersi. Jeśli pogotowie zaraz nie przyjedzie, wkrótce się wykrwawi. Poszedł do domu i wziął z kuchni reklamówkę. Położył ją na ranie i obwiązał kocem. W czasie służby widział wiele prowizorycznych opatrunków. Dobrze, że zapamiętał ten.

Colie wciąż krwawiła, ale Rod nie mógł z nią zostać. Chciał zostawić jej list, oskarżyć Barry'ego, przeprosić Colie za wszystkie nieszczęścia, jakie sprowadził na nią i jej dziecko. Jej dziecko! Zmroziło mu krew w żyłach. Ojcem Ludie jest J.C. Był absolutnie pewien, że to on ją spłodził, i mógł sobie tylko

wyobrażać, co zrobi, jeśli znajdzie ją martwą. Lub jeśli znajdzie martwą Colie.

Najbezpieczniej byłoby uciec za granicę. Rod miał pieniądze. Mogło mu się udać, ale tylko wtedy, jeśli zacznie działać bardzo szybko.

Wskoczył do samochodu, powstrzymując obrzydzenie na widok krwi, i pomknął w stronę najbliższej granicy. Za jakiś czas będzie musiał znaleźć stację benzynową, najlepiej mało uczęszczaną i na uboczu, żeby kupić środki potrzebne do wyczyszczenia tapicerki. Tymczasem modlił się, żeby karetka przyjechała na czas, nawet, gdyby miał przez to trafić do więzienia. To on był winien tego wszystkiego. Ojciec wychował go na dobrego człowieka, ale okazał się słaby, podatny na wpływy. Gdyby jego ojciec żył, gardziłby nim. On sam gardził sobą. Ale się nie zatrzymał.

Policjant znalazł Colie na werandzie i zadzwonił po karetkę. Ratownicy zjawili się w ciągu kilku minut.

- Popatrz na to - powiedziała ratowniczką, wskazując prowizoryczny opatrunek. - Ktoś próbował jej pomóc.

- Może ten, kto do niej strzelał - odparł jej kolega. - Na szczęście mamy coś lepszego. Zgłośmy to i zanieśmy ją do wozu.

- Już na to wpadłam! - krzyknęła ratowniczką, biegnąc do karetki.

J.C. i Ludie właśnie opuścili izbę przyjęć. Lekarz powiedział, że dziewczynka nie odniosła fizycznych obrażeń. Miała szczęście, że J.C. znalazł ją tak szybko, bo gdyby została w śniegu choć trochę dłużej, nabawiłaby się poważnych odmrożeń.

J.C. wziął ją na ręce i skierował się w stronę wyjścia ze szpitala.

- O, mama – powiedziała Ludie.

J.C. podążył za jej spojrzeniem. Na korytarzu nikogo nie było.

- Nie ma tu twojej mamy – odparł, uśmiechając się. – Szukają jej... – Nie miał zbyt wielkich nadziei, że znajdą ją żywą. Ta świadomość paliła go jak kwas, jednak dla dobra Ludie musiał zachować spokój.

- Mama – upierała się dziewczynka.

J.C. spojrzał jeszcze raz... i ujrzał ratowników, którzy na noszach nieśli nieprzytomną kobietę.

- Colie! – zawołał, podbiegając do noszy z Ludie na rękach.  
- To jej córka – powiedział, idąc za ratownikami – Czy ona przeżyje?

- Jest ciężko ranna. Ma przebite płuco – odparła ratowniczką, kierując się w stronę sali operacyjnej. – Lekarz oceni jej stan i poda prognozę. Jest pan jej krewnym?

- Jej narzeczonym...

- To moja mama! – zwołała zapłakana Ludie. – Mama przeżyje?

- Zrobimy, co w naszej mocy – zapewnił ją ratownik.

- To mój tata – dodała Ludie, dotykając policzka J.C.

Ratownik uśmiechnął się, widząc radość i dumę na twarzy jej ojca.

- Poczekamy tutaj – powiedział J.C., nim drzwi sali operacyjnej zamknęły się za nimi.

Po oczekiwaniu, które ciągnęło się w nieskończoność, chirurg wyszedł z sali operacyjnej.

- Co z nią? – zapytał J.C., zrywając się na nogi.

- Przeżyje – odparł lekarz, widząc przerażenie w dwóch parach identycznych szarych oczu.

- Dzięki Bogu – westchnął J.C., a Ludie uśmiechnęła się promiennie.

- Dolny płąt jej płuca został uszkodzony. Kula drasnęła jelito i utkwiała w okolicach kręgosłupa. Usunięcie jej byłoby bardzo ryzykowne, ale organizm sam sobie z tym poradzi. Nie będzie wiedziała, że tam jest.

- Ja też gdzieś mam kulkę – odparł J.C. – Dostałem ją na Bliskim Wschodzie. Niespecjalnie mi się podoba taka pamiątka, ale lekarz powiedział mi to samo.

- Tak, miałem kilka spięć z policjantami, którzy potrzebowali kuli jako materiału dowodowego. Nie zgodziłem się na coś, co uważałem za niepotrzebne ryzyko. Musieli znaleźć inne dowody.

- Czy możemy zobaczyć Colie? – zapytał J.C.

Chirurg już zamierzał kategorycznie tego zabronić, ale błagalne spojrzenie Ludie sprawiło, że się ugiął.

- No dobrze, tylko na chwilę. Jeszcze nie wyszła spod narkozy.

J.C. poszedł za nim na salę pooperacyjną, gdzie pielęgniarka opiekowała się dwojgiem pacjentów.

- To jej córka – wyjaśnił chirurg pielęgniarce, która uśmiechnęła się na widok uradowanej twarzyczki Ludie.

- Mama!

J.C. podszedł do bladego, bezwładnego ciała.

- Boże, nigdy w życiu tyle się nie modliłem – szepnął.

- Było blisko – powiedział chirurg. – Gdyby znaleziono ją trochę później albo gdyby ktoś nie opatrzył wcześniej rany...

- O czym pan mówi? – zapytał zaskoczony J.C.

- Ktoś się nią zajął, zanim przyjechali ratownicy – wyjaśnił chirurg. – Rana była obandażowana plastikiem. Ktoś zrobił to bardzo skutecznie, prawdopodobnie uratował jej życie.

J.C. wyciągnął rękę i dotknął białej twarzy Colie. Czule odgarnął jej brązowe włosy.

- Colie... – szepnął ochryple.

W tym momencie powoli otworzyła oczy. Spojrzała na niego przez mgłę otępienia. Zamrugwała. Skrzywiła się.

- Mama! – zawołała Ludie.

Colie popatrzyła na dziecko i uśmiechnęła się mimo bólu, który już do niej wracał.

- Ludie. Moja córeczka... – wyszeptała.

- Kto do ciebie strzelał? – zapytał J.C.

- Barry. Chciał zabić... nas obie. Wypchnęłam Ludie z samochodu. Kazałam jej... uciekać. – Otworzyła szerzej oczy. – Bałam się, że zamarznie na śmierć!

- Jest cała i zdrowa. Zabiorę ją do siebie. Wszystko będzie dobrze, kochanie.

Colie podniosła wzrok na J.C. Widać było, że cierpi.

- Dziękuję...

Pogładził ją po włosach.

- Jutro do ciebie wrócimy. Dobrze?

Colie udało się uśmiechnąć.

- Kocham cię, Ludie – szepnęła.

- Ja też cię kocham, mamo – odparła dziewczynka. – Zły pan uciekł! – dodała.

- Nie ucieknie daleko – oznajmił J.C. – Szuka go połowa policji w Wyoming.

- Kiedy go znajdą, chcę pięciu minut sam na sam – szepnęła Colie. – Z łyżką do opon... – Spróbowała się zaśmiać, ale zamiast tego zasnęła.

- Teraz najlepiej zrobi jej sen – powiedział chirurg. – Musicie już iść. Ja też. Czeka na mnie kolejny pacjent.

- Dziękuję, że pozwolił nam pan ją zobaczyć – powiedział J.C., rzucając Colie tęskne spojrzenie. – Byliśmy przerażeni.

- Mama jest już zdrowa – powiedziała Ludie, przytulając się do niego.

J.C. uśmiechnął się do chirurga i poszedł do samochodu.

Kiedy on i Ludie dotarli na ranczo, J.C. zadzwonił do szeryfa, by przekazać mu najnowsze wieści. Ten jednak nie odebrał. J.C. zostawił mu wiadomość głosową, a potem pojechał do domu Rena.

Zostawił Ludie u Merrie, prosząc, żeby wykąpała ją i wyprała jej ubranka. Sam pojechał do miasta, by kupić jakieś ubrania i kilka zabawek dla Ludie, która miała zamieszkać w jego domu. Merrie zapewniła go, że zaopiekuje się dzieckiem. Rozbawił ją i ucieszył widok więzi, która już nawiązała się między córką a ojcem.

Banks zadzwonił, kiedy J.C. chciał wejść do sklepu

z artykułami dla dzieci. Podczas rozmowy z szeryfem J.C. powiedział między innymi:

- Udało mi się chwilę z nią porozmawiać. Wyjawiała, że postrzelił ją Barry Todd. Chciał też zabić Ludie, ale Colie wypchnęła ją z samochodu i kazała jej uciekać.

- Rozumiem. Musi coś na niego mieć, skoro próbował zabić ją i jej dziecko.

- Też tak mi się wydaje – zgodził się J.C. – Sądziłem, że to przez tę sprawę w Teksasie. Klient jej kancelarii jest gotów wsypać całą szajkę, najwyraźniej włączając to Barry'ego.

- W takim razie może miał dwa powody.

- Ktoś opatrzył ranę. Ktoś, kto wiedział, jak to zrobić. Miała przebite płuco. Chirurg powiedział, że opatrunek uratował jej życie.

- Dzięki Bogu – westchnął Banks. – Todd nie zrobiłby czegoś takiego.

- Wiem. Jestem prawie pewien, że to Rod. Jest weteranem wojennym i wie, co zrobić z raną postrzałową.

- Zapewne. Mam list gończy na niego i na Todda. Jeśli ich znajdziemy, Todd pójdzie siedzieć za usiłowanie zabójstwa. A ponieważ porwał Colie i jej córkę, możemy w to zaangażować agentów federalnych. Porwanie to przestępstwo federalne. Todd sam się wkopał.

- Mam nadzieję – odparł J.C. – Zostawiłem Ludie z Merrie i pojechałem po ubrania i jedzenie dla małej. Potrafię gotować, ale dziś nie mam na to siły.

- Mnie to mówisz – parsknął Banks. – Dopiero co dostałem wezwanie do kradzieży. Jakiś koleś obrabował bank i uciekł. Dopadliśmy go w domu jego babci, ale grozi, że ją zabije, jeśli

się nie wycofamy. Dlatego jeszcze nie byłem w szpitalu, żeby przesłuchać Colie. Mówisz, że będzie żyć?

- Tak powiedział lekarz. Musiał zostawić w niej kulę.
- Rozumiem. Też jedną mam – powiedział Banks.
- Ja też – odparł ze śmiechem J.C. – Może założymy klub?
- Jasne, Klub Kulastych... Muszę wracać do moich ludzi.

Dam znać, jeśli dopadniemy Todda albo brata Colie.

- Dzięki, Cody.
- Żaden problem.

J.C. się rozłączył. Wziął głęboki oddech i przekroczył próg sklepu. Sprzedawczyni, która wiedziała o nim od Lucy, popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Potrzebuję kilku rzeczy dla mojej córki. – Powiedzenie tych kilku słów sprawiło mu niezwykłą radość.

Kobieta się uśmiechnęła.

- Powiedz, czego potrzebujesz.

Kupowanie ubrań dla dwuletniej dziewczynki okazało się trudniejsze, niż J.C. sądził. Nie miał pojęcia, jaki nosi rozmiar, więc po prostu zgadywał. Sprzedawczyni zapewniła go, że jeśli część rzeczy nie będzie pasować, po prostu wymieni na inny rozmiar. Kupił piżamę, kilka par spodni, dwie koszulki, trochę bielizny i nowy płaszcz. Nie miał ochoty ubierać swojego dziecka w zakrwawioną kurtkę.

Zapłacił kartą i zaniósł zakupy do swojego SUV-a. Stała przy nim zapłakana i roztrzęsiona kobieta

- Colie! – zawołała Lucy. – Co z nią?! Co z Ludie?!
- Są całe i zdrowe – zapewnił ją J.C. – Colie została



postrzelona, Ludie udało się uciec. Najadła się tylko strachu.

- Kto to zrobił? – zapytała gniewnie Lucy. – Pewnie ten wstrętny facet, który przyczepił się do Roda! Ten Barry Todd!

- Tak powiedziała Colie. Wciąż nie wiem, dlaczego to zrobił, skoro mogą go obciążyć zeznania klienta kancelarii Colie, a nie samej Colie.

- Ja też nie wiem – odparła Lucy. – Colie powiedziała, że jest coś jeszcze. Tajemnica, której nie chciała zdradzić nawet mnie. Powiedziała, że naraziłaby mnie na niebezpieczeństwo. Jestem prawie pewna, że dlatego wyjechała do Teksasu, a po śmierci męża na pewno wróciłaby do ojca, gdyby nie istniał poważny powód, żeby trzymała się z dala od Catelow.

J.C. westchnął.

- Myślę, że dlatego Rodney i jego wspólnik Barry przyjechali po mnie na lotnisko i powiedzieli, że Colie mnie zdradzała. Powinienem obić im pyski i zaufać Colie. Mam z tym problemy – dodał, umykając wzrokiem.

- Czasem dostajemy od losu drugą szansę – zauważyła Lucy.

- Czasem mamy nadzieję, że tej też nie zaprzepaścimy. W tej chwili po prostu się cieszę, że obie żyją. Niewiele brakowało.

- Jeśli Colie potrzebuje pomocy przy Ludie, chętnie się nią zaopiekuję.

- Dziękuję, powiem jej. Póki co Ludie mieszka ze mną na ranczu Skyhorn. Na wypadek, gdyby ten bandyta dowiedział się, że przeżyła, i spróbował jeszcze raz. – Zacisnął zęby. – Poproszę też Banksa, żeby zapewnił ochronę Colie.

- Dobry pomysł. W takim razie wracam do domu –

powiedziała Lucy. – Usłyszałam w radio o strzelaninie i zobaczyłam twój samochód w drodze do szpitala. Uznałam, że będziesz wiedział, co się stało.

– I trafiłaś. Colie jest na intensywnej terapii, więc wątpię, żeby cię wpuścili. Ale chirurg powiedział, że całkiem możliwe, że jutro przeniosą ją na normalną salę. Wybudziła się z narkozy, kiedy przyszliśmy z Ludie ją zobaczyć. Zrobili dla nas wyjątek.

– Tak się cieszę, że udało się ją uratować. Nie mam wielu przyjaciółek. Tęskniłam za Colie, odkąd wyjechała do Teksasu.

– Wszyscy za nią tęskniliśmy. – Zerknął na zegarek. – Muszę wracać na ranczo. Poprosiłem Merrie, żeby popilnowała Ludie. – Zaśmiał się lekko. – Przypuszczam, że przejdę dziś intensywny kurs opieki nad dzieckiem.

Lucy przyjrzała mu się w zamyśleniu.

– Jest cudownym dzieckiem. Ma niezwykle zdolności jak na kogoś w tak młodym wieku.

– Potrafi przewidywać przyszłość – potwierdził J.C. – Moja babka miała ten sam dar. To bardzo rzadkie.

– To niesamowite. Ludie jest niesamowita. Jest bardzo dojrzała jak na dziewczynkę, która ma niewiele ponad dwa lata.

– Colie mówiła, że Ludie powiedziała jej o śmierci jej ojca, zanim jeszcze wysiadły z samolotu.

– To wyjątkowe dziecko.

– I urocze, tak samo jak Colie. – J.C. westchnął. – Muszę im wynagrodzić tak wiele, że nawet nie jestem pewien, gdzie zacząć.

- Krok po kroku, J.C., krok po kroku.

Ludie była zachwycona zabawką, którą kupił jej J.C. Był to puszysty pluszowy miś, który powtarzał wszystko, co powiedziała.

- Jest taki słodki! - zawołała radośnie. Podbiegła do J.C., który podniósł ją na rękę. Cmoknął ją w policzek. - Dziękuję, tato - powiedział z błyszczącymi oczami.

J.C. wciąż przyzwyczajał się do dźwięku tego słowa. Za każdym razem, kiedy je słyszał, przepełniało go radością. Kątem oka zobaczył spojrzenia Merrie i Delsey.

- Przypuszczam, że teraz to już tajemnica poliszynela? - powiedział z rezygnacją.

- Od dawna się tego domyślaliśmy - odparła Merrie. - Wszyscy wiedzą, że Colie była w tobie zakochana. Nigdy w życiu nie pozwoliłaby się dotknąć innemu mężczyźnie.

J.C. się zaczerwienił. Cóż, kiedyś nie uwierzył Colie. Wolał kłamstwa, jakich naopowiadał mu Rod. To wciąż bolało.

- Co z Colie? - zapytał Ren. - Barry Todd wciąż jest na wolności. Jeśli się dowie, że przeżyła strzelaninę...

- Banks dał jej jednego ze swoich ludzi do ochrony - odparł J.C. - Właśnie z nim rozmawiałem. Też się martwi.

- Mam nadzieję, że przybiją Barry'ego Todda i Rodneya Thompsona gwoździami do ściany - mruknęła Merrie.

- Za uszy - dodał zimno jej mąż.

- Barbarzyńcy - fuknął J.C.

- Tato, co to jest bar...barba... to coś? - zapytała Ludie.

- Barbarzyńca - powtórzył z uśmiechem J.C. - I zanim ci powiem, musisz trochę podrosnąć. Dobrze?

Ludie skinęła głową.

- Dobrze, tato.

J.C. poprawił córkę na ramionach.

- Lepiej zaniosę ją do łóżka. Ma za sobą długi dzień. – Zawahał się. – Dziękuję, że ją wykąpałaś i nakarmiłaś – dodał.  
- Nie miałem pojęcia, co kupić.

- Miałaś szczęście, że może jeść to samo co nasz syn – z uśmiechem skwitowała Merrie. – Nie ma za co.

- Kiedy Colie trochę wydobrzeje, pojedziemy ją odwiedzić – obiecał Ren. – Ale teraz najbardziej przyda jej się odpoczynek.

- Amen.

Kiedy następnego dnia J.C. przyjechał do szpitala, Colie czuła się dużo lepiej. Półyżwała na łóżku w dwuosobowym pokoju w jednej z tych dziwacznie wyglądających szpitalnych koszul. Wyglądała na zmęczoną i wyczerpaną. Jej włosy były w nieładzie, a klatka piersiowa była owinięta bandażem.

- Jak z Ludie? – zapytała od razu.

- W porządku. Pożyczyłem kojec od jednego z kowbojów i postawiłem go w mojej sypialni. Przez całą noc obudziła się tylko raz.

- Dziękuję.

- Opiekowanie się nią sprawia mi nadspodziewanie wiele radości – dodał J.C., stając koło łóżka. – Nie spodziewałem się tego. Zawsze sądziłem, że dzieci są uciążliwe i problematyczne.

- Kiedy... kiedy się je zna, jest zupełnie inaczej – powiedziała Colie po chwili wahania.

J.C. wiedział, że chciała powiedzieć „kiedy są twoje”, ale nie była gotowa tego przyznać. Nie mógł jej za to winić. Nie zasłużył sobie na jej zaufanie. Miał nadzieję, że uda mu się je odzyskać na tyle szybko, by powstrzymać ją przed powrotem do Teksasu.

- Wczoraj spotkałem na mieście Lucy – powiedział. – Była przerażona i zmartwiona, wypytywała, co się stało. Obiecała, że dzisiaj cię odwiedzi.

- Jest moją jedyną przyjaciółką... – Skrzywiła się, bo mówienie wciąż sprawiało jej ból. – Przepraszam. Wczoraj tak bardzo nie bolało.

- Wczoraj byłaś w szoku. Pierwsze kilka dni po odniesieniu rany jest trudne do wytrzymania, ale jestem pewien, że dasz sobie radę. Bierz lekarstwa i słuchaj lekarzy.

- Pod salą jest mężczyzna w mundurze – zauważyła Colie. – Mignął mi za drzwiami, kiedy wchodziła pielęgniarka...

- To jeden z ludzi Banksa – wyjaśnił J.C. – Wolimy mieć pewność, że Barry nie spróbuje skończyć tego, co zaczął.

- Jest już pewnie na drugim końcu świata.

- Wystawiono za nim list gończy. Za twoim bratem też. Choć najpewniej uratował ci życie.

- Co?

- Zrobił ci prowizoryczny opatrunek – wyjaśnił J.C. – Miałaś uszkodzone płuco. Gdyby nikt nie zabezpieczył rany, bardzo szybko byłoby po tobie.

- Może tata miał rację. Może w Rodzie została jakaś część dobra...

- Czytałem o seryjnym mordercy, który pomagał staruszce

nosić zakupy i naprawił schody niepełnosprawnemu mężczyźnie. – Gdy Colie popatrzyła na niego z zaskoczeniem, dodał: – Złe cechy nie wykluczają dobrych. Ktoś może zrobić coś dobrego, a chwilę później popełnić morderstwo. Ludziom trudno zrozumieć takie rzeczy. Dlatego niektórych przestępców nigdy nie udaje się wykryć.

Colie zmarszczyła brwi.

- Rozumiem.

- Chwilę temu rozmawiałem z chirurgiem – dodał J.C. – Mówi, że jak na razie nie ma żadnych komplikacji. Oczywiście minie trochę czasu, zanim całkiem wrócisz do zdrowia. Nie licz, że za kilka dni wyskoczysz z łóżka i polecisz z powrotem do Teksasu.

- Domyślam się. Ojej, co z moją pracą? – zaniepokoiła się nie na żarty. – Co oni beze mnie zrobią?

- Poproś Lucy, żeby do nich zadzwoniła i wyjaśniła, co się stało.

- Dobry pomysł.

- A ja zajmę się Ludie.

- Nie będzie ci przeszkadzała w pracy?

J.C. się uśmiechnął.

- Moja praca polega głównie na patrolowaniu rancza. Po prostu zabiorę ją ze sobą. Jest zafascynowana końmi, psami i krowami.

- Ludie kocha zwierzęta.

- Tak jak ty – zauważył J.C. – Twój ojciec mówił, że bał się powiedzieć ci o śmierci Toma. Powiedział, że bardzo ciężko to przeżyłaś.

- Kochałam go.

- Pamiętam.

Colie odetchnęła z trudem.

- Ból zaczyna wracać. – Dotknęła przycisku i maszyna podała jej dawkę środka przeciwbólowego. – Współczesna technologia jest niesamowita.

- To prawda.

Colie podniosła wzrok.

- Co, jeśli Barry postanowi dokończyć dzieła, kiedy wyjdę ze szpitala?

- Na wszelki wypadek zabieramy cię do Skyhornu. Merrie powiedziała, że ma dwie wolne sypialnie. Ty i Ludie możecie zamieszkać w jednej z nich, póki zagrożenie nie minie.

- Ojej, to takie miłe z jej strony! – zawołała wzruszona Colie.

- Zaprosiłbym cię do siebie, ale dałem już dość powodów do plotek. Nigdy więcej. – Colie napotkała spojrzenie jego szarych oczu, takich samych jak oczy Ludie. – Sporo namieszałem w naszym życiu. – J.C. zamilkł na chwilę. – Pamiętasz, jak dawno temu porównywaliśmy nasze przepowiednie?

Colie cofnęła się w myślach do tego momentu.

- Pamiętam.

- Z perspektywy czasu sądzę, że były niepokojąco trafne.

- Owszem.

J.C. odgarnął jej włosy z twarzy.

- W twojej było coś o wielkiej radości, która przyjdzie po

wielkim nieszczęściu, prawda?

- Tak.

- W mojej też. - Musnął wargami jej usta. - Kiedy stąd wyjdiesz, myślę, że moglibyśmy spróbować jej poszukać. Tej radości.

- Radości. - Colie patrzyła na niego z niepewną nadzieją w oczach.

Znów ją pocałował.

- Nigdy dotąd nie wierzyłem w cuda.

- Nie...? - Colie próbowała podnieść się wyżej, mocniej przycisnąć usta do jego warg. Minęło tyle czasu! Mimo otępiającego środka przeciwbólowego znów go pragnęła.

- Nie - szepnął. - Ale teraz...

W tym momencie drzwi stanęły otworem. J.C. wyprostował się gwałtownie i przepuścił pielęgniarkę, która przyszła sprawdzić stan Colie.

- Masz rumieńce - zauważyła szczerze zmartwiona. - Lepiej sprawdzę, czy nie masz gorączki.

Colie popatrzyła na J.C. nad jej ramieniem. Wymienili rozbawione spojrzenia.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Chwilę po tym, jak pielęgniarka skończyła badać Colie, na salę zajrzała Lucy. J.C. właśnie gładził Colie po policzku.

- Słuchaj swojego lekarza. Niedługo znowu do ciebie wpadnę. Wezmę ze sobą Lucy. Co ty na to?

- Dobrze, J.C. – odparła z sennym uśmiechem.

- Jeśli będzie próbowała uciekać, zadzwonię do ciebie – obiecała Lucy.

J.C. parsknął śmiechem. Wychodząc z sali, obejrzał się jeszcze na Colie. Jego szare oczy błyszczały radością.

- To był pierwszy raz – zauważyła Colie chwilę później.

- Co masz na myśli? – zapytała Lucy, odwieszając płaszcz na krzesło przy jej łóżku.

- Nigdy dotąd nie oglądał się za siebie.

Lucy się uśmiechnęła.

- Nie jest tym samym człowiekiem co kiedyś, Colie. Ani trochę. Wyobrażasz sobie, jak stary J.C. kupuje ubranka dla dziecka?

- Ani trochę.

- Ja też nie. – Lucy przysunęła się do łóżka. – Jak się czujesz? Kiedy usłyszałam o strzelaninie, prawie dostałam zawału! Właśnie jechałam do szpitala, kiedy zobaczyłam przed sklepem samochód J.C. Pomyślałam, że może będzie wiedział coś więcej.

- Jak zawsze – przypomniała sobie Colie z niewyraźnym uśmiechem.

- Co się stało? To był ten kumpel Roda, prawda? – zapytała gniewnie Lucy.

- Tak, to on. Trzy lata temu zobaczyłam coś, co przeraziło jego i Roda. Widziałam, jak przekazuje Rodowi walizkę pełną narkotyków. Wyjechałam między innymi po to, żeby pokazać Barry’emu, że zamierzam dochować tajemnicy. Ale teraz, kiedy moja kancelaria pracuje nad sprawą handlu narkotykami, przestraszył się, że wszystko im opowiem. Powiedział, że nic na niego nie mają, ale przez moje zeznania mógłby trafić do więzienia. Stałam się zagrożeniem. Tak jak moje dziecko. – Colie zadrżała. – Chciał zabić nas obie. Groząc bronią, zmusił nas, żebyśmy wsiadły do samochodu Roda. Zawiózł nas na nieużywaną polną drogę. Otworzyłam drzwi i wypchnęłam Ludie w tej samej chwili, w której pociągnął za spust. Kazałam jej uciekać. Dzięki Bogu posłuchała mnie, inaczej pewnie już by nie żyła. Gdyby nie Rod, ja też pewnie bym nie żyła.

- Co masz na myśli?

- J.C. powiedział, że ktoś założył mi prowizoryczny opatrunek. Barry na pewno by tego nie zrobił. Rod był na wojnie i wie, jak opatrywać rany.

- Uciekł i zostawił cię na werandzie – powiedziała zimno Lucy. – Usłyszałam od tym od koleżanki, która jest kuzynką jednego z ratowników. Powiedzieli, że byłaś półprzytomna, ale pamiętałaś, że byłaś w samochodzie Roda. Dodali dwa do dwóch.

- Skąd wiedzieli, żeby przyjechać? – zastanowiła się Colie.

- Przypuszczam, że Rod wezwał pomoc – odparła

z wahaniem Lucy. – W innym wypadku nie przyjechaliby na czas.

– Też tak myślałam.

– Rod może mieć swoje dobre strony, ale jeśli go złapią, na pewno trafi do więzienia. Jeśli nie za to, to za handel narkotykami. To poważne przestępstwo.

– Wiem. – Colie zamknęła oczy. – Rod zawsze był podatny na wpływy. Nie potrafił uczyć się na błędach.

– Wielka szkoda – odparła Lucy. – Jest twoim ostatnim żyjącym krewnym.

Colie skinęła głową.

– Niestety, nie wybieramy sobie krewnych – powiedziała ze smutnym uśmiechem.

J.C. pomagał kowbojom przepędzić ciężarne jałówki na bliższe pastwiska. Była to niebezpieczna praca, więc kazał Ludie zostać w samochodzie, skąd z zaciekawieniem obserwowała, co się dzieje.

Willis podjechał na gniadej kłaczycy i zatrzymał się przy samochodzie.

– Widzę, że masz dziś towarzystwo – powiedział ze śmiechem.

– Wilk! – zawołała Ludie, która opuściła szybę. – Pan od wilka! Mogę go zobaczyć? Proszę!

Z zaskoczeniem spojrzeli na dziecko.

– Powiedziałaś jej? – zapytał Willis.

– Nie. – J.C. pokręcił głową.

Willis zagwizdał przez zęby.

- Będziesz musiał o tym powiedzieć żonie Tanka.

- Powiem, jak tylko wrócą z konferencji – odparł z dumnym uśmiechem.

- Tak, młoda damo, możesz zobaczyć wilka. J.C., zawieziesz ją do mojego domu? Tylko pilnuj, żeby nie próbowała go głaskać. Ostatecznie to dzikie zwierzę. Pojadę z wami.

- Jasne. – J.C. zadzwonił do Rena, opowiedział, o co poprosiła go Ludie i uzyskał zgodę na wycieczkę.

Dom Willisa stał w lesie. Całe ranczo Rena graniczyło z parkiem narodowym Wapiti, kawałek drogi od Catelow.

J.C. zatrzymał samochód przed wejściem i pomógł Ludie wysiąść.

- Nie możesz wchodzić do środka – ostrzegł.

Ludie podniosła na niego swoje szare oczy.

- Tato, proszę!

To słowo wciąż robiło na J.C. ogromne wrażenie. Nim zdążył odpowiedzieć, podszedł do nich Willis.

- Miewa swoje humorki – powiedział. – Poczekajcie tutaj, wejdę i zobaczę, czy jest w towarzyskim nastroju.

J.C. i Ludie poczekali na werandzie. Minutę później zobaczyli przez przeszkłone drzwi wilka, który podkuśtykał do nich na trzech łapach. Na ich widok zaskomlał.

- Proszę? – powtórzyła Ludie.

- Kochanie, to nie jest bezpieczne...

- Proszę?!

- Colie mnie zabije – mruknął J.C., ale otworzył drzwi.

Ludie wbiegła do środka, złapała wilka za szyję i przytuliła

się do niego. Wilk położył swoją wielką głowę na jej ramieniu, powąchał i zaskomlał cicho. Nie wykazywał ani śladu agresji.

- Jesteś śliczny – wymruczała Ludie. – Śliczny pan wilk!

Wilk z zadowoleniem przymknął oczy.

- Nigdy nie widziałem, żeby kogoś tak polubił – powiedział Willis. – Pozwala do siebie podejść tylko mnie i Merrie.

- Ludie ma... dar – powiedział J.C.

- O tak.

Później tego samego dnia J.C. zabrał Ludie do szpitala, żeby zobaczyła się z matką. Colie właśnie skończyła jeść lunch, kiedy córka podbiegła do jej łóżka. Na jej widok rozpromieniła się.

- Ostrożnie, kochanie – ostrzegł J.C. – Mama jeszcze nie wyzdrowiała.

- Wiem, tato. Mamo, przytuliłam wilka! Polubił mnie!

J.C. skrzywił się i czekał, aż Colie zmyje mu głowę, ale tylko się uśmiechnęła, po czym zaczęła opowiadać:

- Kiedyś Ludie znalazła psa przy drodze obok Jacobsville. Był duży i dziki. Chciałam ją powstrzymać, ale podbiegła do niego, usiadła na ziemi i zaczęła do niego mówić. Pies położył się, skomląc z bólu. Nawet nie odsłonił zębów. Kuzyn Toby pomógł nam zawieźć go do weterynarza, a potem go adoptowaliśmy. Weterynarz powiedział, że Ludie ma wyjątkowy dar. Słyszałem, że żona Tanka Kirka też go ma. Podobno podniosła rannego grzechotnika i zabrała do lecznicy dla dzikich zwierząt – powiedziała ze śmiechem.

J.C. westchnął z ulgą.

- Jak się czujesz, kochanie? – zapytał czule.

- Dalej mnie boli, ale czuję się coraz lepiej. Jakieś nowe wieści od szeryfa?

- Jeszcze nie. Zostawiłem wiadomość w dyspozytorni... - W tej chwili telefon J.C. zadzwonił. Przerwał, żeby odebrać. Widząc, że dzwoni Banks, przełączył na tryb głośnomówiący.

- Federalni dopadli Barry'ego Todda na lotnisku w Atlancie - oznajmił Banks. - Najwyraźniej zamierzał schronić się w Ameryce Południowej. Wysłali szeryfów federalnych, żeby zawieźli go na proces do Denver. Słyszałem, że kancelaria Colie w Jacobsville ma na niego dość, żeby załatwić mu dożywocie.

- Mam coś, co może w tym pomóc - odezwała się Colie. - Dzień dobry, szeryfie.

- Dzień dobry, Colie. Czujesz się już lepiej?

- Dużo lepiej. - Wzięła głęboki oddech. Poczowała, jak J.C. bierze ją za rękę. - Widziałam, jak Barry Todd daje mojemu bratu walizkę pełną narkotyków, i słyszałam, jak radzi mu, jak najszybciej można je sprzedać.

- Mój Boże! - zawołał Banks. - Widziałaś to na własne oczy?

Colie potwierdziła. J.C. tymczasem wyglądał, jakby trafił w niego piorun.

- Wyjechałam, żeby przekonać Barry'ego, że nie zdradzę jego tajemnicy. Chciałam ochronić mojego ojca i dziecko.

- Żałuję, że z tym do mnie nie przyszedłeś - powiedział Banks. - Załatwiłbym ci należytą ochronę.

- Bałam się - trochę niepewnie wyjaśniła Colie. - Poza tym byłam po pewnych traumatycznych przeżyciach i nie myślałam jasno. Po prostu uciekłam. Nie jestem z tego

dumna.

J.C. zamknął oczy. Wiedział, o czym mówi. Wyrzucił ją za drzwi, polegając na słowach złodzieja i dilerka narkotyków. Już zawsze będzie musiał żyć z tą świadomością.

- Rozumiem - odparł Banks. - Czy zeznasz w sądzie to, co właśnie powiedziałaś? Zapewnię ci bezpieczeństwo.

Colie wiedziała, że Banks rzuca słowa na wiatr. Jeśli Barry pragnął zemsty, nikt nie zdoła jej ochronić. Ale była pewna, że cokolwiek by się działo, J.C. zaopiekuje się Ludie. Dość uciekania.

- Tak - powiedziała. - Będę zeznawać.

- Przekażę to federalnym - odparł Banks. - Będziesz musiała też zeznawać w sprawie strzelaniny. Rozumiesz?

- Rozumiem. Przykro mi, że mój brat jest w to zamieszany. Znaleziono go?

- Nie - odparł szorstko Banks. - Ale jesteśmy na jego tropie. Nasz detektyw ściga go z wielką determinacją. Przykro mi, Colie, ale za łamanie prawa się płaci.

- Wiem. Po prostu poza Ludie jest moim jedynym żyjącym krewnym.

- Mój kuzyn poszedł siedzieć za morderstwo - wyznał Banks. - Czułem się z tym strasznie. Bardzo się przyjaźniliśmy. Ale prawo to prawo.

- Wiem. Pracowałam dla dwóch kancelarii prawniczych - przypomniała Colie. - Trochę wiem o wymiarze sprawiedliwości.

- A zatem rozumiesz, o czym mówię. Powiadomię was, kiedy dowiem się czegoś więcej - obiecał Banks.

Podziękowali mu, a potem J.C. schował telefon do kieszeni.

Ludie popatrywała na nich przez chwilę, a potem powiedziała miękki, urokliwym głosem:

- Będzie dobrze. Zły pan więcej nas nie skrzywdzi.

Colie podniosła wzrok na J.C.

- Oj, mam nadzieję, że masz rację, Ludie – powiedziała, obejmując córkę ramieniem.

- Kocham cię, mamo.

- Ja ciebie też, skarbie. – Colie z trudem powstrzymywała łzy. Ból wciąż był silny, a prócz tego dolegały jej nudności.

- Chodź, mała. Dajmy mamie odpocząć – powiedział J.C., podnosząc dziewczynkę. Cmoknął ją w policzek. – Moja mała lalczka Shirley Temple.

- Kim jest Shirley Temple? – chciała wiedzieć Ludie.

- Znajdę film na YouTube i obejrzymy go razem – obiecał J.C.

- Dziękuję ci, J.C. – odezwała się Colie. – Za wszystko.

Pochylił się i pocałował ją lekko.

- Muszę dbać o swoich – szepnął. Jego oczy mówiły więcej niż słowa.

Colie wyciągnęła rękę, krzywiąc się z bólu, i dotknęła jego twarzy.

- Tyle lat...

- Wielkie nieszczęście, a potem wielka radość. – Uśmiechnął się czule. – Pomyśl nad tym.

Colie zrozumiała. Nauczki od losu bywały bolesne, ale prawie zawsze następowały po nich okresy wielkiego



szczęścia. Miała przeczucie, że tak właśnie będzie w jej przypadku.

- Mam ci jeszcze jedną rzecz do powiedzenia – dodał J.C. z błyskiem w oku. – Czytałem książki!

- Książki. – Minęło kilka sekund, nim Colie zrozumiała, o czym mówi. Zarumieniła się gwałtownie.

- Dobre książki. – Uśmiechnął się szeroko. – Możemy o tym porozmawiać, kiedy lepiej się poczujesz.

- Hm, no dobrze. – Colie się skrzywiła. – Moi szefowie! Nie wiedzą, co się dzieje, a powinnam ich informować na bieżąco...

- Zadzwonię do nich dzisiaj i wyjaśnię sytuację. Potrzebuję tylko numeru telefonu.

- Jest zapisany w mojej komórce. Torebka jest w szufladzie.  
- Colie wskazała szafkę nocną koło łóżka.

J.C. wyciągnął telefon z jej torebki i podał go jej.

- To ten – powiedziała, oddając mu telefon z wybranym kontaktem. – Pan Copeland. Jest szefem kancelarii, odkąd... odkąd Darby odszedł... – Jego wspomnienie wciąż sprawiało jej ból. Był dla niej taki dobry.

- Wszystko im opowiem – obiecał J.C. Wysłał sobie dane kontaktu i schował jej telefon z powrotem do torebki.

- Bądź grzeczna i słuchaj J.C. – przykazała Colie córce.

- Będę grzeczna, mamo. Miła pani nas narysowała.

- Narysowała?

- Merrie naszkicowała nas, kiedy pierwszy raz przyprowadziłem ze sobą Ludie – wyjaśnił J.C. – Jest świetną malarką. Jestem pewien, że to będzie arcydzieło. Nie wiem,

czy wiesz, ale kiedyś ocalała własne życie, malując portret gangstera – powiedział ze śmiechem. – Potem zaprowadził ją do ołtarza, kiedy brała ślub z Renem.

- Lubię Merrie. Zawsze była dla mnie miła.

- Wasza sypialnia już na was czeka – zapewnił ją J.C. – Jutro znowu przyjdziemy. Pada śnieg, więc pracujemy w pocie czoła, żeby przygnać ciężarne krowy i jałówki do obory.

- Uważaj na siebie – ostrzegła Colie.

- Tak, proszę pani.

Patrząc na J.C., Colie czuła się jak nowo narodzona. Tym razem było inaczej. Mniej pierwotnego fizycznego pociągu, a więcej czułości i przywiązania. Nie mogła się doczekać, żeby wyjść ze szpitala.

A potem przypomniała sobie o swoim bracie i uśmiech spełził jej z twarzy.

- Wujek Rod wróci – wtrąciła Ludie. – Doniesie na złego pana, mammo.

Colie wymieniła spojrzenia z J.C. Jeśli Ludie miała rację, to wszystko mogło skończyć się lepiej, niż sądzili. Może Rodney ugra przynajmniej mniejszy wyrok?

- Kuruj się – powiedział J.C. – Ja zajmę się Ludie.

Colie uśmiechnęła się sennie.

- Wiem, że się nią zajmiesz.

- Pa, mammo! – zawołała dziewczynka.

Colie spała, zanim dotarli do windy.

Trzy dni później Colie wyzdrowiała na tyle, żeby opuścić szpital. J.C. i Ludie przyjechali, żeby ją odebrać.

- Wszyscy w szpitalu byli bardzo mili, ale cieszę się, że mogę wrócić do normalnego życia – powiedziała, gdy odjeżdżali. Ludzie była przypięta do swojego fotelika na tylnym siedzeniu, a Colie siedziała obok J.C.

- Jak się czujesz? – zapytał.

- Trochę obolała. Lekarz mówił, że to normalne.

- Po drodze wejdziemy do apteki i wykupimy ci lekarstwa.

- Lekarstwa są bardzo drogie...

- Kochanie, stać mnie na wszystko, co zechcesz – powiedział łagodnie J.C. Zatrzymał się przed światłami, obrócił się i uśmiechnął się do Colie. – Wystarczy poprosić.

- A mógłbyś mi kupić spokojne życie, w którym nie zagraża mi żaden pałający żądzą zemsty diler?

- Tym zajmie się wymiar sprawiedliwości.

- To nie zawsze działa – zauważyła Colie – Czasem nie udaje się udowodnić winy.

- Za każde przewinienie jest kara – odparł J.C., po czym dodał, wzruszając ramionami: – Zaczynam mówić jak twój ojciec.

Colie znowu chciało się płakać. To było za dużo. Śmierć ojca, przestępstwa Rodneya, uniknięcie cudem śmierci...

J.C. delikatnie ujął jej rękę.

- Twój ojciec nauczył mnie jeszcze czegoś. Trzeba mieć nadzieję, Colie.

Niemal słyszała, jak tata mówi to samo. Uścisnęła dłoń J.C.

- Dobrze – odparła po prostu.

Ku zaskoczeniu Colie, J.C. nie pojechał do Rena. Zamiast

tego zaparkował samochód przed własnym domem.

- Ale...

J.C. podał jej miękkie, aksamitne puzderko.

- W gazecie już o tym piszą. Przypuszczam, że kiedy sprawdzisz telefon, znajdziesz mnóstwo wiadomości. - Zmarszczył brwi. - Pierwsza pewnie będzie od Lucy, zresztą strasznie oburzonej, że nie powiedziałaś jej pierwszej.

- Lucy...?

Wziął jej bagaże i zaniósł do domu, a Colie wyjęła z torebki telefon. Istotnie miała nieprzeczytaną wiadomość od Lucy:

*Gratulacje! I dlaczego nic mi nie mówiłaś?!*

Poczekala, aż J.C. wróci, żeby wypiąć Ludie z fotelika.

- Dlaczego nie powiedziałam Lucy czego?

- Otwórz puzderko..

Gdy wykonała polecenie, ujrzała pierścionek z brylantami i szmaragdami i wysadzaną szmaragdami obrączkę. Kamienie były inkrustowane.

J.C. zostawił Ludie w domku i wrócił po Colie. Popatrzyła na niego w osłupieniu.

- Kupiłem je trzy lata temu - powiedział cicho. - Miałem je w kieszeni, kiedy twój brat i jego wspólnik przyjechali po mnie na lotnisko.

Colie przygryzła wargę. J.C. nigdy niczego jej nie obiecywał, nigdy nie zdradził, jak wyobraża sobie ich przyszłość. Kompletnie się tego nie spodziewała.

Po jej policzkach popłynęły łzy wzruszenia.

J.C. delikatnie wziął ją w ramiona.

- Nawaliłem, Colie - powiedział miękko. - Uciekłem. Chciałem założyć z tobą rodzinę, ale moja rodzina była daleka od normalności. Nie miałem szczęśliwego dzieciństwa, lecz tragiczne i pełne przemocy. - Westchnął z żalem. - Znienawidziłem siebie za to, że posłuchałem Roda. Ale czasu nie można cofnąć. Trzeba iść naprzód.

To mówiąc, zaniósł Colie do domu i postawił ją na podłodze. Spojrzał w jej łagodne, zielone oczy.

- Czy potrafisz mi wybaczyć krzywdy, jakie ci wyrządziłem?  
- zapytał.

Colie wzięła głęboki wdech.

- Potrafię.

- Nigdy więcej nie zdradzę twojego zaufania - obiecał żarliwie.

- Tato, chcę ser! - wtrąciła Ludie, patrząc prosząco na J.C.

Parsknął śmiechem.

- Fanka sera - mruknął. - Mam go pełną lodówkę. Odkąd Ludie go odkryła, chce, żebym dodawał go do każdego posiłku.

- Też lubię ser - powiedziała Colie, idąc do kuchni. - Naprawdę mam dość żelatyny!

J.C. się roześmiał.

- Byłem kilka razy w szpitalu. Wiem, o czym mówisz.

Wyjął naczynia i zaczął kroić ser. Położył go na krakersach, nalał mleko dla Ludie i napoje dla siebie i Colie. Pamiętał, że lubiła piwo imbirowe. Uśmiechnęła się na jego widok.

- To moje ulubione.

- Wiem. - J.C. odchylił się na krześle i obserwował swoją córkę. - Jest bardzo inteligentna.

- Aż nazbyt inteligentna - zaśmiała się Colie. - Ludzie się jej boją.

- W Catelow mamy żonę Tanka Kirka. Jesteśmy przyzwyczajeni.

- Tę jasnowidzącą - przypomniała sobie Colie. - Chętnie bym ją poznała.

- Przedstawię was sobie. Ren ostatnio kupił od niego trochę bydła. Tank jest dobrym człowiekiem. Kiedyś był w straży granicznej. Dostał kulkę, ale udało mu się przeżyć. Jego brat Mallory ożenił się z dziewczyną z Teksasu, córką Kinga Brannta.

- O, słyszałam o niej od kuzynki Annie. Zna wszystkich w południowym Teksasie, albo przynajmniej tak mi się czasem wydaje.

J.C. przekrzywił głowę i przyjrzał się Colie.

- Myślisz, że mogłabyś tu mieszkać?

Zamarła z piwem w połowie drogi do ust. To było ważne, fundamentalne pytanie. Ściśle wiązało się z pierścionkiem i obrączką, które wciąż trzymała w dłoni. Popatrzyła na jedyne go mężczyznę, jakiego kiedykolwiek kochała, i poczuła dawną namiętność. Tyle że tym razem to nie była tylko namiętność. To było coś głębszego. Słodszego. J.C. dawał jej nowe życie. Wystarczyło, by zechciała je przyjąć.

- Tak - powiedziała wreszcie, a on rozpromienił się. - Tak, mogłabym tu mieszkać, J.C.

- John Calvin - wtrąciła Ludie, przeżuując ser.

Policzki J.C. lekko poróżwiały.

- Mówiłeś jej, jak masz na drugie imię? – zdziwiła się Colie.

- Nie – odparł J.C. – Nikomu nie mówiłem. Moja matka była Irlandką, ale jej rodzice pochodzili ze Szkocji. Byli zagorzałymi prezbiterianami, którzy czcili Johna Calvina, jednego z założycieli kościoła protestanckiego. Nazwano mnie na jego cześć. Wychodząc za mojego ojca, moja matka przeszła na katolicyzm.

- To szlachetne, nazwać dziecko na cześć kogoś takiego – powiedziała Colie. – Ja nazywam się Colleen Mary, po mojej prababce ciotecznej, która była pierwszą dziennikarką w Wyoming.

- Aż do teraz nie wiedziałem, jak masz na drugie imię – zauważył J.C. z uśmiechem.

- Nie rozmawialiśmy zbyt wiele.

- Teraz mamy tyle czasu na rozmowy, ile tylko chcemy. Ale najpierw musimy spełnić smutny obowiązek – dodał J.C., poważniejąc. – Rozmawiałem z pastorem. Ustaliliśmy, że najlepiej będzie urządzić pogrzeb w sobotę, żebyś miała czas odpocząć po wyjściu ze szpitala.

Colie skinęła głową.

- Nasz nowy pastor jest dobrym człowiekiem. Tata bardzo go lubił. – Podniosła wzrok. – On i jego żona odwiedzili mnie wczoraj wieczorem, po tym, jak wyszedłeś. Są uroczą parą.

- Jego żona gra w tenisa. – Zaśmiał się pod nosem. – Za każdym razem go ogrywa.

- Wiem. Ciągłe o tym opowiada.

- Ale wiesz, kobieta powinna pozwolić mężczyźnie wygrać –

pouczył J.C. – To poprawia mu samoocenę, sprawia, że czuje się ważny.

- Bzdura!

- No dobrze, wystarczy tej propagandy. Dalej lubisz oglądać *Sherlocka*?

- Jasne!

- W takim razie kiedy mała pójdzie spać, możemy pooglądać nowe odcinki.

- Byłoby wspaniale!

- Kto jest mały, tato? – zapytała Ludie.

J.C. pochylił się i pocałował ją w nos.

- Ty, kruszynko.

Ludie roześmiała się perliście.

- Jesteś taki śmieszny, tato!

- Jestem szczęśliwy. – Dotknął je rudych włosów. – Moja urocza dziewczynka. Moja córeczka – powiedział z dumą.

Ludie objęła go za szyję.

- Kocham cię, tato.

- Ja też cię kocham. A teraz czas do łóżka.

- Pójdę się przebrać w piżamę – powiedziała, schodząc z krzesła.

- Nigdy nie widziałem, żeby dziecko w jej wieku potrafiło same się ubrać – zauważył J.C.

- Jest bardzo pojętna – powiedziała Colie. – Nie przestaje mnie zaskakiwać. Zna już alfabet, wszystkie kolory i umie liczyć do dziesięciu. W Teksasie chodziła do żłobka... – Colie



umilkła. Jeśli miały zostać w Wyoming, żłobek był jedną z wielu rzeczy, z jakimi będą musiały się pożegnać.

- W Catelow jest bardzo dobre przedszkole - zauważył J.C.  
- I możesz rozmawiać ze swoimi kuzynami przez Skype'a.

- Masz rację.

J.C. ujął jej dłoń i pocałował ją namiętnie.

- Nigdy cię nie opuszczę, Colie - powiedział ochryple. -  
Nigdy!

Dotknęła czubkami palców jego policzka.

- Minęło tyle czasu...

- Zbyt wiele - zgodził się. - Twój ojciec też za tobą tęsknił. Na początku myślał, że to przeze mnie nie chcesz wrócić. Potem, kiedy dowiedział się więcej o poczynaniach Rodneya, przyszedł mu do głowy inny scenariusz. Uznał, że cię szantażowano.

- Miał rację, ale nie mogłam mu powiedzieć. - W jej oczach widniał smutek. - To sprawiłoby, że on też znalazłby się na celowniku. Chciałam powiedzieć tobie, ale Rodney mi przeszkodził.

- Po jakimś czasie zrozumiałem, że nigdy byś mnie nie oszukała. Ale kiedy wrócił mi zdrowy rozsądek, ty zdążyłaś już wyjść za mąż. Gdyby nie twój ojciec, chyba bym oszalał.

- Ty, grający z tatą w szachy - powiedziała Colie, kręcąc głową. - Na początku nie potrafiłam w to uwierzyć.

- Dostrzegł, że nie jestem całkowicie straconym przypadkiem, więc dał mi szansę. Nigdy nie poznałem kogoś takiego jak on. Był dla mnie niczym ojciec. Zrobiłbym dla niego wszystko.

- Był wyjątkowy – zgodziła się Colie.

Przez chwilę milczeli pogrążeni we wspólnej żałobie. J.C. delikatnie objął Colie, nie chcąc sprawić jej bólu.

- Czas na nowy początek – powiedział miękko. – Od teraz, jeśli powiesz, że niebo jest zielone i rosną na nim kwiaty, uwierzę ci bez zastrzeżeń.

- Dobrze. – Colie się uśmiechnęła.

J.C. musnął wargami jej usta.

- I zawsze będę cię kochał, Colie – szepnął. – Do końca życia i jeszcze dłużej.

Jej oczy napełniły się łzami.

- Nigdy nie przestałam cię kochać – szepnęła w odpowiedzi. – Nie mogłam. Zawsze byłeś tylko ty!

J.C. zamknął jej usta pocałunkiem. Ujął jej twarz w dłonie i całował ją tak długo, aż brakło im tchu. Zarumieniona podniosła wzrok i popatrzyła mu głęboko w oczy.

Nagle usłyszeli dziecięcy głosik dobiegający z sąsiedniego pomieszczenia:

- Mamo, wrzuciłam skarpetkę do sedesu!

- Teraz wiesz już wszystko o rodzicielstwie – zażartowała Colie.

J.C. wzruszył ramionami.

- To tylko skarpetka. Możemy kupić jej nową parę.

- W zeszłym tygodniu spuściła w toalecie dwie ścierki – poinformowała go Colie. – Trzeba było wezwać hydraulika.

- Ciekawość świata – bronił córki J.C. – Po prostu lubi eksperymentować.

Colie się uśmiechnęła.

- Skoro jesteś w rodzinnym nastroju, co powiesz na to, żeby pójść rano do urzędu miasta i wziąć ślub?

- Byłoby cudownie.

Colie westchnęła.

- Też tak myślę. Ale zanim się pobierzemy, musimy urządzać pogrzeb. Poza tym pozostaje kwestia mojego brata i pewnego barona narkotykowego, który może próbować się mścić, nawet gdy będzie siedział w więzieniu.

- Tym będziemy się martwić jutro – zdecydował J.C. – Dziś musimy zająć się poważną sprawą, jaką jest skarpetka w sedesie.

- Ty pierwszy – zaoferowała Colie.

J.C. zaśmiał się i poszedł wyłowić rzeczony obiekt. Czuł się, jakby wygrał na loterii. Nie spodziewał się, że Colie czuje to samo, a już na pewno, że postanowi dać mu drugą szansę. Nigdy jej nie zawiedzie, nigdy!

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Pogrzeb był cichy i pełen godności, czyli taki, jaki był sam Jared Thompson. Mszę odprawiał nowy pastor w kościele w Catelow. Mówił o dobroci Jareda, jego oddaniu dla parafian i głębokiej wierze w Boga.

Śpiewano ulubione pieśni Jareda. Kiedy zabrzmiała „Cudowna Boża łaska”, Colie wybuchnęła płaczem. J.C. otoczył ją ramieniem i przytulił ją do siebie, a Ludie przytuliła się do jego drugiego boku. Po raz pierwszy w życiu J.C. naprawdę czuł, że ma rodzinę. Tęsknił za ojcem Colie. Jego spokojne, mądre rady odmieniły jego życie. Dałby wszystko, żeby jego relacja z Colie potoczyła się inaczej. Ale to było niemożliwe. Jedyne, co mógł zrobić, to zaopiekować się nią i wynagrodzić wyrządzone jej krzywdy.

Colie zdawała się wyczuwać jego żal. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego przez łzy. J.C. odwzajemnił jej uśmiech.

Jej ojciec był weteranem wojennym, więc jego trumna była przykryta flagą i czuwała nad nią gwardia honorowa. Kiedy zdjęto i złożono flagę, oficer podał ją Colie, składając kondolencje.

Pochowali Jareda na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na odległe, ośnieżone wierzchołki Gór Skalistych. Podczas ceremonii Ludie ani razu się nie odezwała. Stała między matką a ojcem i w ciszy słuchała modlitwy.

Nowy pastor parafii, Marvin Compton, podszedł do Colie,

żeby złożyć jej kondolencje.

- Był wspaniałym człowiekiem – powiedział. – To dla mnie przywilej, że mogłem go poznać.

- Dla mnie także – odparła Colie ze smutnym uśmiechem.

- Dziadzia w niebie – wtrąciła Ludie, uśmiechając się do pastora. – Dziadzia z babcią.

- Ja też tak myślę, młoda damo – odparł przyjaźnie młody pastor. – Przyjdziecie na niedzielną mszę?

- Przyjdę – obiecała Colie. – Nie wiem, jak... – Zerknęła ostrożnie na J.C.

- Miałem na myśli ciebie i Ludie – zaśmiał się pastor. – J.C. jest w pierwszej ławce w każdą niedzielę.

- W drugiej – poprawił J.C. – Twoje dzieciaki zajmują większość pierwszej.

Marvin zaśmiał się cicho.

- One, moja żona, moja matka i moja teściowa – sprecyzował. – Kochają naszą parafię.

- Tak jak mój tata – odparła Colie. – I tak, ja i Ludie przyjdziemy jutro z J.C. Przystąpiłam do kościoła, kiedy miałam piętnaście lat – dodała.

- Tak, twój ojciec mi mówił – odparł pastor. – J.C. dołączył dwa lata temu.

To była dla Colie nowość, choć niezbyt zaskakująca. Podniosła wzrok na J.C.

- Twój ojciec był bardzo przekonujący – powiedział, wzruszając ramionami.

Colie się uśmiechnęła.

- No to do zobaczenia w niedzielę. I jeszcze raz, bardzo mi przykro, Colie – powtórzył Marvin.

- Dziękuję, pastorze.

Po nim podeszli do niej znajomi i sąsiedzi. Był między nimi Ren Colter i jego żona Merrie, a także ich malutki synek.

- Był dobrym człowiekiem, Colie – powiedział łagodnie Ren.  
- Wszyscy wiemy, gdzie poszedł.

- Dokładnie – potwierdziła Merrie. Uśmiechnęła się do Ludie. – Maluję wasz portret, wiesz? Twój i twojego taty.

- Wiem! Jest bardzo ładny. Ta pani bardzo ładnie maluje! – dodała Ludie, patrząc na matkę.

- Wiem, już widziałam jej obraz – odparła Colie. – Nie mogę się doczekać, aż go zobaczę – dodała, zwracając się do Merrie. – To takie miłe z twojej strony. Portret J.C. jest niesamowity.

- Był fascynującym modelem.

- Choć nie mógł się równać z mafiosą – zażartował Ren. – Namalowanie tamtego portretu uratowało jej życie.

- Pamiętam – powiedział J.C. – To były mroczne czasy.

- A zatem czy jesteśmy zaproszeni na wesele? – zażartował Ren.

- Oczywiście, że tak. W następną niedzielę o czternastej.

- Dokładnie tak – powiedział Marvin, klepiąc Rena po ramieniu. – Ja będę prowadził ceremonię.

- Przypuszczam, że zjawi się połowa Catelow – stwierdził Ren. – Nikt się nie spodziewał, że ten tu kiedykolwiek się ożeni.

J.C. wziął Colie za rękę.

- Już jesteśmy rodziną, brakuje tylko pierścionka - zażartował, patrząc na swoją córkę, która uśmiechała się promiennie.

- Skąd jej się wzięły te rude włosy? - zastanowił się Marvin.

- Po mojej matce - wyjaśnił J.C. - Pochodziła z Dublina. Miała kręcone rude włosy, tak, jak Ludie, i szare oczy. Odziedziczyłem po niej oczy.

- Twój ojciec pewnie miał ciemne włosy?

Colie popatrzyła z niepokojem na J.C. Zawsze wpadał w gniew na samo wspomnienie o ojcu. Tak się jednak nie stało.

- Był Indianinem - powiedział. Zawahał się, po czym mówił dalej: - Obwinałem go o wszystko, co poszło w moim życiu nie tak. Jednak ojciec Colie nauczył mnie, że zemsta do niczego nie prowadzi, że chowanie urazy to tylko pielęgnowanie w sobie jątrzącej rany. - Wzruszył ramionami. - Zatrudniłem prywatnego detektywa, żeby go odnalazł. Chciałbym się z nim pogodzić, o ile jeszcze żyje.

- Mój drugi dziadzio ma kołnierzyk - wtrąciła Ludie. - Ma kołnierzyk. - Ziewnęła.

J.C. pokręcił głową. Ludie musiała być zmęczona.

- Lepiej już chodźmy. Komuś przydałaby się drzemka.

- Zauważyłem. - Marvin uścisnął im dłonie. Ren zrobił to samo, a Merrie wszystkich przytuliła. - Do zobaczenia w sobotę - powiedziała. - Oczywiście zostaniemy na weselu.

- Przyjdziemy - obiecała Colie, patrząc z czułością na J.C.

Na ślubie zjawili się nie tylko wielu gości, ale też

dziennikarz i kamerzysta, który nagrywał ceremonię. Colie, w prostej białej sukience i welonie, nie spodziewała się, że jej ślub będzie tematem reportażu. Zobaczyła zadowolony uśmiech Rena Coltera i domyśliła się, że ma z tym coś wspólnego. Zresztą była zbyt szczęśliwa, żeby się tym martwić. Ostatecznie mieszkali w Catelow. To naturalne, że miejscowa społeczność chciała zobaczyć, jak jedno z nich bierze ślub; dwoje, wliczając J.C.

Lucy i Merrie były jej druhnami; Ludie, ubrana w śliczną białą sukienkę, niosła koszyczek z płatkami róż. Stojąc u boku J.C., oszałamiająco przystojnego w ciemnym garniturze, Colie pomyślała o ostatnich latach swojego życia. O wszystkich nieszczęściach, jakie ją spotkały. Przypomniała sobie przepowiednię swojej babci, tę, która tak zaskakująco pasowała do przepowiedni J.C. Wielkie nieszczęście, po którym miała nadejść wielka radość. Podniosła wzrok na J.C. i poczuła tę radość, która ją rozpierała. Po jego oczach widziała, że czuje to samo.

Pastor ogłosił ich mężem i żoną. J.C. uroczyście podniósł welon. Spojrzał Colie głęboko w oczy, a potem pochylił się i pocałował ją z czcią, głaszcząc dłonią jej zaróżowiony policzek.

Colie przykryła jego rękę swoją dłonią. Uśmiechnęła się promiennie.

Znów zabrzmiał marsz weselny, sygnał, by wyszli z kościoła. Idąc nawą, Colie nie przestawała się uśmiechać.

- Szczęśliwa? - zapytał J.C. w drodze na salę weselną.

- Bardzo - potwierdziła Colie. - Przebyliśmy długą drogę.

J.C. skinął głową.



- Myślę, że było warto. - Spojrzał na córkę, uśmiechnął się i wziął ją na ramiona. - Już byliśmy rodziną, wystarczyło dodać obrączki - powtórzył ze śmiechem.

- Mój tatuś - westchnęła Ludie i położyła policzek na ramieniu J.C.

J.C. przytulił ją mocno.

- Mój aniołek - odparł i cmoknął czubek jej głowy.

Colie wciąż nie mogła się nadziwić, jak łatwo J.C. wszedł w rolę ojca. Tyle razy zarzekał się, że nie chce mieć nic do czynienia z dziećmi.

- Moje gratulacje! - zawołała Lucy, podchodząc do nich z synem na ramionach. Jej mąż, Ben, zawtórował żonie.

- Dziękuję za wszystko, Lucy - powiedziała Colie.

- Proszę cię bardzo. Mam nadzieję... - Lucy przerwała i spojrzała nad jej ramieniem na zbliżającą się postać. Był nią Cody Banks. - Ojej...

Colie obróciła się i na widok miny szeryfa przestała się uśmiechać. Wzięła J.C. za rękę i uścisnęła mocno.

- Przepraszam - powiedział Cody, podchodząc. - Dziś jest wasz szczęśliwy dzień i nie chcę wam go psuć, ale lepiej, żebyście dowiedzieli się ode mnie niż z Facebooka albo Twittera.

- Miejmy to już za sobą - powiedziała Colie, przygotowując się na najgorsze.

- Twój brat jest w areszcie.

Colie spojrzała na niego z przerażeniem.

- Nie jest tak źle, jak może się wydawać - dodał szybko Cod. - Sam oddał się w ręce władz i zamierza zeznawać

przeciwko Barry'emu Toddowi.

- Rod?!

- Takiego Roda poznałem – powiedział cicho J.C. – Wygląda na to, że wrócił na właściwą drogę.

- Owszem – zgodził się szeryf. – Będzie musiał odsiedzieć swoje, ale na pewno dostanie niższy wyrok. Dzięki niemu rozbijemy całą tę szajkę na dobre i wsadzimy Barry'ego za kratki.

- Byłoby cudownie – westchnęła Colie. Uśmiechnęła się do Banksa. – A ja nic dla ciebie nie mam – zażartowała

- Lubię babkę kakaową – zasugerował.

- Zajmę się tym, jak tylko wrócę z jutrzejszej rozmowy o pracę – obiecała.

- Jakiej rozmowy o pracę? – zapytał J.C.

- Szefowie Lucy szukają kogoś na moje dawne stanowisko – wyjaśniła, a Lucy przytaknęła entuzjastycznie. – Ich druga sekretarka przeprowadza się do Montany, żeby zająć się starzejącą się matką.

J.C. się uśmiechnął.

- Wiesz, że nie musisz pracować, prawda? – powiedział J.C.  
- Rodzinny budżet na tym nie ucierpi.

- Wiem, kochanie, ale zawsze pracowałam – zauważyła Colie. – Dzięki temu czuję się potrzebna. Ludzie, którzy przychodzą do kancelarii, zwykle są przerażeni, smutni albo rozżaleni. Cieszę się, że mogę pomóc im przez to przejść.

- Colie jest bardzo dobra w uspokajaniu klientów – powiedziała Lucy.

- Cokolwiek zechcesz, kochanie – powiedział łagodnie J.C. –

Cokolwiek postanowisz, zawsze będę cię wspierać.

Colie oparła się o niego i położyła głowę na jego szerokiej piersi.

- Z mojej strony możesz oczekiwać tego samego.

- Chcę ciasto – wtrąciła Ludie. – Proszę...

Wszyscy się roześmiali.

- Dobrze, mała, zobaczymy, co tu mają – zgodził się J.C. i ruszył w stronę sali weselnej.

Mimo smutnych wieści to było huczne, radosne wesele.

- Przynajmniej Rod w końcu postępuje słusznie – zauważyła Colie, popijając szampana.

- Mam nadzieję, że Todd dostanie ze sto lat – odparł zimno J.C.

- Ja też, ale spodziewam się raczej dziesięciu.

- Żałuję, że nie możemy zacząć od nowa, kochanie. Zrobiłbym wszystko, żeby zacząć od nowa.

Colie dotknęła jego policzka.

- Ależ to właśnie robimy – zauważyła.

J.C. westchnął i przytulił ją.

- Szkoda, że nie mamy czasu na miesiąc miodowy...

- Każdy dzień, poczynając od dzisiaj, będzie naszym miesiącem miodowym – przerwała mu z uśmiechem. – Na sto procent.

J.C. parsknął śmiechem.

- W porządku.

Kiedy wracali do domu, na dworze padał śnieg. Ludie spała

na tylnym siedzeniu i trzeba było zanieść ją do sypialni. Obudziła się tylko na chwilę, kiedy Colie przebierała ją w piżamę.

- Dziadzia ma kołnierzyk – powtórzyła sennie.

Colie nie miała pojęcia, o co chodzi, więc po prostu się uśmiechnęła i pocałowała ją w policzek.

- Miłych snów, kochanie.

Ludie uśmiechnęła się i prawie od razu zasnęła.

Kilka tygodni później, kiedy lekarz potwierdził, że Colie w pełni wróciła do zdrowia, nadszedł czas na to, na co mentalnie przygotowywała się od ślubu. Mimo czułych pocałunków i pieszczot, jakimi obsypywał ją J.C. przez cały okres rekonwalescencji, wciąż dobrze pamiętała tę nieprzyjemną część ich związku. Gdy tylko w sypialni zgasty światła, jej ciało zeszywniało ze strachu.

- W porządku – powiedział łagodnie J.C. Pocałował ją lekko.

- Rozumiem, co czujesz. Musisz mi zaufać.

Colie zmusiła się, by rozluźnić napięte mięśnie.

- Na pewno nie będzie boleć?

J.C. zaśmiał się lekko.

- Mówiłem ci. Czytałem książki...

Colie westchnęła, gdy dotknął jej w nowy, zaskakująco przyjemny sposób.

- Po prostu się odpręż – szepnął. – Wystarczy, że się rozluźnisz. O tak, bardzo dobrze.

To, co jej robił, sprawiło, że całkiem zapomniała o strachu. Nigdy nie słyszała o czymś takim. W romansach o tym nie pisali!

Jej ciało wygięło się w łuk i wydała z siebie dźwięk, który nigdy dotąd nie wydobył się z jej gardła. Drżała pod jego nieśpieszną, umiejętną pieśzczotą. Przez cały czas J.C. ją całował, podgryzał jej wargi, pieścił językiem jej usta. Colie czuła chłodne powietrze na swojej nagiej skórze, a także ciężar jego ciepłego, silnego ciała, włoski na jego piersi, które ocierały się o jej wrażliwe sutki. Wiła się na łóżku, wyginając, jak tylko mogła najmocniej, w milczeniu błagając, by zakończył tę rozkoszną udrękę. W końcu położył ręce na jej udach i delikatnie, lecz stanowczo je rozchylił... ale zamiast od razu ją posiąść, drażnił się z nią, nie dając jej tego, czego pragnęła.

- Och... proszę... - wydyszała. - Proszę!

Dopiero wtedy J.C. w nią wszedł; wydawał się większy, niż zapamiętała, ale zarazem delikatny i cierpliwy. Upewniwszy się, że nie czuje żadnego dyskomfortu, zaczął miarowo w nią wchodzić, coraz szybciej i mocniej, czując, jak drży z rozkoszy. Colie ponagłajaco wbiła paznokcie w jego biodra, obejmując go udami. Czuła, że nie wytrzyma wiele dłużej. Wyginała się do niego, jęcząc głośno, błagając, by dał jej spełnienie.

Wtedy J.C. poddał się pożądaniu; pozwolił, by władzę nad nim przejął czysty instynkt, dążący do seksualnego zaspokojenia. Huragan ekstazy porwał ich oboje i wysłał ich ku wyżynom rozkoszy na kilka cudownych sekund, które przeminęły zdecydowanie zbyt szybko.

Colie była mokra od potu. Nie potrafiła złapać tchu. Leżała u boku J.C., czując, jak wstrząsają nią ostatnie dreszcze.

J.C. przytulił ją mocniej do siebie.

- Lepiej? - szepnął jej do ucha.

- O... Boże! – wykrztusiła. – Nie wiedziałam...!

- Ja też nie wiedziałem, kochanie – powiedział cicho J.C., gładząc jej ciemne włosy. – Znałem tylko jeden sposób. Wszystkie moje kochanki były dzikimi, drapieżnymi kocicami. Nie potrzebowały czułości, więc nigdy się jej nie nauczyłem.  
- Westchnął z zadowoleniem. – Ale wydaje mi się, że zacznę coś łapać – dodał ze śmiechem.

- Mało powiedziane!

J.C. pocałował jej włosy.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze o antykoncepcji – powiedział po minucie.

- Lubię małych chłopczyków – powiedziała po prostu Colie.  
- Myślę, że powinniśmy sobie sprawić przynajmniej jednego, nie sądzisz?

J.C. zaśmiał się, uradowany.

- Dziewczynkom też niczego nie brakuje, ale twój pomysł brzmi rozsądnie. – Ucałował jej powieki. – Przykro mi z powodu Roda – dodał. – Znajdziemy mu dobrego adwokata i zrobimy wszystko co w naszej mocy.

- Mnie też jest przykro. Z drugiej strony, jestem z niego bardzo dumna – szepnęła Colie. Głos załamał jej się lekko.

- Ja też – powiedział J.C.

Leżeli przytuleni w ciepłej ciszy sypialni. Na dworze padał śnieg.

Pewnego dnia poszli odwiedzić Roda w miejscowym areszcie. Był cichy, skruszony. Wyglądał tak, jak Colie zapamiętała go z dzieciństwa.

- Przepraszam, siostró – powiedział, patrząc na nią przez

szklaną szybę.

- Przykro mi, że cię to spotkało – odparła. – Jestem z ciebie taka dumna!

Rod zarumienił się lekko.

- To wszystko, co mogłem zrobić. Za późno, za mało. Wyrzuciłem tyle zła...

- Jesteś moim bratem – odparła Colie. – Kocham cię. Nieważne, co zrobiłeś. Po prostu chcę ci pomóc. Uratowałeś mi życie.

Rod się skrzywił.

- Powinienem przy tobie zostać. Uciekłem. – Przewrócił oczami. – W tym jestem najlepszy. Ale chcę się zmienić. Tata by tego ode mnie oczekiwał. – Rod zamrugał, powstrzymując łzy. – Tak bardzo żałuję. Byłoby mu za mnie wstyd!

- Zrozumiałby. Wiesz, jaki był. Nie gardził ludźmi, nieważne, co zrobili.

Rod skinął głową.

- Był wyjątkowy.

- Tak.

Chwilę milczeli, pogrążeni we wspólnej żałobie. Potem Rod przeniósł wzrok na J.C.

- Przepraszam za kłamstwa, jakich ci naopowiadałem – powiedział. – Gdyby nie ja, mógłbyś od początku uczestniczyć w życiu swojej córki.

J.C. położył rękę na ramieniu Colie.

- Twój ojciec odmienił moje życie – powiedział. – Był przekonany, że wszystko ma swój cel. Powiedziałby, że

najwidoczniej tak właśnie musiało być.

- Tak, tak by powiedział – zgodził się Rod. – Przynajmniej Barry już nie będzie przeszkadzał. Siedzi w izolatce za napaść za strażnika.

- Zły ruch – stwierdził J.C.

- Bardzo zły – zgodził się Rod. – A to tylko początek jego kłopotów. Oszukiwał swoich wspólników. Ktoś już na pewno to zauważył. Nawet w więzieniu nie uchroni się przed zemstą.

- Słyszałam o tym – odparła Colie. – Może nawet nie dożyć procesu.

- Nigdy nic nie wiadomo – skwitował Rod.

Zgodnie z domysłami Roda, Barry Todd został znaleziony martwy w swojej celi trzy dni później. Stwierdzono przedawkowanie opioidów mimo powszechnie znanego faktu, że sam nie zażywał narkotyków. Podejrzewano, że rozgniewał niebezpiecznych ludzi w swojej organizacji. Koniec końców, nikt za nim nie tęsknił.

Colie odzyskała dawną pracę, dzieląc się obowiązkami z Lucy. Ona i J.C. na zmianę zawozili i odbierali Ludie z przedszkola. Colie była szczęśliwa jak nigdy dotąd. Odpowiadało jej małżeńskie życie. J.C. najwyraźniej też, bo nie przestawał się uśmiechać. Uwielbiał chwalić się swoją rodziną przy każdej okazji, czy to w kościele, czy to w sklepie spożywczym. Nawet ludzie, którzy kiedyś go krytykowali, zaczęli go lubić. Pracował bez wytchnienia w jadłodajni i przytułku dla bezdomnych. Colie także. Kontynuowali dzieło jej ojca.

Historia ich małżeństwa pojawiła się w miejscowej gazecie,



a że akurat nie działo się nic interesującego, podchwyciło ją kilka innych gazet. Jedna z nich trafiła w ręce niespodziewanego czytelnika.

Pewnego sobotniego popołudnia na kilka tygodni przed świętami Bożego Narodzenia przed domem Calhounów zaparkował szary sedan. J.C. i Colie właśnie pomagali Ludie wysiąść z samochodu po zakupach w niedalekim Walmarcie.

J.C. gestem dał do zrozumienia Colie, żeby poczekała z Ludie na werandzie. Czujny i ostrożny, poczekał, aż wysoki, siwowłosy mężczyzna o oliwkowej skórze wysiądzie z samochodu. Miał na sobie czarny płaszcz. Wyglądał smutno i dostojnie.

- Czy mogę w czymś pomóc? – zapytał J.C., dyskretnie stając między swoją rodziną a nieznanym.

Starszy mężczyzna przekrzywił głowę i długo patrzył na J.C.

- Nie poznajesz mnie.

J.C. zadrżał. Głos wydawał mu się znajomy, ale nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie słyszał go po raz ostatni.

- Nie – odparł sztywno.

Mężczyzna zrobił krok w jego stronę. Popatrzył na werandę i niespodziewanie się uśmiechnął.

- Przeczytałem o waszym weselu w starej gazecie z Montany, którą przyniósł mi jeden z parafian. Tam teraz mieszkam, w Billings. Ty pewnie jesteś Coleen? – powiedział do Colie. – A ty Beth Louise. Ludie?

- Dziadzia! – zawołała Ludie. – Dziadzia ma kołnierzyk!

J.C. poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. To był jego ojciec? Po wszystkich tych latach samotności, ucieczki,

piekła...!

Otworzył usta, ale zanim zdążył coś powiedzieć, jego ojciec rozpiął płaszcz. Na szyi miał koloratkę.

J.C. opadła szczęka.

Colie podeszła, trzymając Ludie za rękę.

- Kiedyś powiedziała nam, że nosi pan koloratkę - odezwała się w oszołomieniu.

Mężczyzna spojrział na dziewczynkę.

- Wyglądasz jak moja żona - powiedział miękko. - Miała kręcone rude włosy i szare oczy. Była piękna.

- Dziadzia! - zawołała Ludie. Puściła rękę matki i podbiegła do przybysza. Ten podniósł ją i przytulił. W jego oczach błyszczały łzy wzruszenia.

- Jesteś śliczna. Taka śliczna - szepnął.

J.C. stał jak wmurowany. Gniew walczył w nim z ciekawością.

Donald Sześć Drzew popatrzył na niego swoimi spokojnymi, ciemnymi oczami.

- Mam ci tyle do powiedzenia. Nawet nie wiem, od czego zacząć. Czuję, że powinienem przeproszać cię przez dziesięć minut, zanim chociaż spróbuję wyjaśnić, dlaczego postąpiłem tak, a nie inaczej.

J.C. był nieufny, ale nie kazał mu sobie pójść. Po prostu na niego patrzył.

- Twój ojciec był pastorem, prawda? - zapytał Donald Colie.

- Tak - odparła ze smutnym uśmiechem. - Straciłam go... straciliśmy go - poprawiła - kilka tygodni temu.

- Słyszałem o nim od wspólnego znajomego, pastora metodystów, który mieszka w Billings. Przykro mi z powodu waszej straty.

- Może chciałbyś napić się kawy? – zaproponowała Colie, zerkając ostrożnie na J.C.

- Chętnie – odparł Donald – Jeśli tobie to nie przeszkadza – dodał, zerkając na syna, w którego oczach kłębiły się sprzeczne emocje.

- Pamiętaj, co mówił tata – przypomniała Colie mężowi.

J.C. wziął głęboki oddech.

- Pamiętam – powiedział po minucie. Odwrócił wzrok. – Ja też chętnie napiłbym się kawy.

- W takim razie chodźcie – zaprosiła Colie, uśmiechając się.

Starszy mężczyzna, wciąż trzymając Ludie, wszedł za nią do domu.

- Mój teść mawiał, że za każdym zachowaniem stoi jakaś przyczyna – powiedział J.C., popijając kawę przy kuchennym stole.

- Owszem. Niektóre trudniej zrozumieć niż inne – odparł jego ojciec. Odstawił filiżankę na stół. – Wtedy, kiedy zginęła twoja matka, miałem powód, żeby pić. Pracowałem w kopalni z moim bratem. Za wcześnie odpaliłem ładunek. Ziemia się osunęła, a on zginął pod gruzami. – Twarz Donalda była ściągnięta bólem. – Już wcześniej piłem, ale odkąd zobaczyłem ciało mojego brata, porzuciłem wszelkie granice. Jego żona padła na ziemię i przytuliła się do martwego ciała. Nazwała mnie mordercą. Sam już wcześniej się tak nazywałem, ale słowa wypowiedziane na głos zyskują nową moc. Po tym poszedłem prosto do baru i upiłem się do

nieprzytomności. Ledwie dowlokłem się do domu. Twojej matce bardzo zależało na wywiadówkach. Nie chciałem iść, ale nalegała. Powiedziałem, że jestem pijany, ale odparła, że dam radę przejechać trzy kilometry. Sama dwa dni wcześniej skręciła kostkę i nie mogła prowadzić. – Donald przymknął oczy. – Byłem zbyt pijany, żeby myśleć logicznie. Po prostu wsiadłem za kierownicę i ruszyłem przed siebie. Nie zauważyłem zakrętu i spadłem do rzeki. – Pokręcił głową. – Uciekłem. Daleko, jak najdalej. Wiedziałem, że zginęła na miejscu i jeśli mnie złapią, wsadzą mnie na dożywocie. – Donald podniósł wzrok na syna. – Uciekanie nigdy nie rozwiązuje problemów. Tylko pogarsza sytuację. Minęły dwa lata, zanim stawiłem czoła temu, co zrobiłem. Nie tylko zabiłem twoją matkę, ale też porzuciłem cię, kiedy najbardziej mnie potrzebowałaś. Próbowałem cię odszukać, ale powiedzieli, że masz nowy, lepszy dom...

- Lepszy – powtórzył J.C. z pogardą. – Na pewno.

Jednak Donald wiedział więcej, niż J.C. zdawał sobie sprawę.

- Skierowałem się na wschód. Chwytałem się różnych prac, aż pewien benedyktyński ksiądz wziął mnie pod swoje skrzydła. Przywrócił moją wiarę i nauczył, że muszę najpierw wybaczyć sobie, zanim ktokolwiek inny będzie miał ze mnie pożytek. Dzięki niemu zrozumiałem, że przez całe życie stawiałem siebie na pierwszym miejscu. Nigdy kogoś innego. – Donald się skrzywił. – Nie było mi łatwo się zmienić, ale dałem radę. Poszedłem do seminarium i podjąłem pracę w parafii księdza, który mnie ocalił. W zeszłym roku zmarł, a ja przejąłem jego obowiązki. Ale nigdy nie przestałem cię szukać – dodał, patrząc prosto w napiętą twarz J.C. – Trwało to tak długo, że niemal straciłem nadzieję... aż pewnego dnia

zobaczyłem wasze zdjęcie w gazecie. Od razu wiedziałem, że to ty. – Wzruszył ramionami. – Wyglądasz dokładnie tak jak ja w twoim wieku. Twoja matka ochrzciła cię J.C. Calvin, a ojciec twojej matki miał na nazwisko Calhoun. W gazecie napisano, że za młodu mieszkałeś w Jukonie. Nietrudno było ułożyć sobie to wszystko w całość.

J.C. otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Po chwili wahania zamknął je. Znow otworzył usta i znow nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Musicie się pogodzić, tato – wtrąciła Ludie, opierając się o jego udo. – To mój jedyny dziadzia.

- Ma trochę racji – dodała łagodnie Colie, uśmiechając się do niego.

J.C. wyglądał na rozdartego. W końcu, po długim milczeniu, pogłaskał rude loki swojej córki.

- Ma trochę racji – zgodził się. – Nienawiść niczego nie zmienia.

Donald się uśmiechnął.

- Przebaczenie zbliża nas do Boga.

- Boga. – J.C. spojrzał na mężczyznę, którego nienawidził przez całe życie, i zdał sobie sprawę, że tylko się krzywdził. Tak jak mówił Jared Thompson, za każdym działaniem stoi jakaś przyczyna. Nawet za tym, które wydaje nam się okrutne i niezrozumiałe. – To jakiś początek – dodał nieobecny tonem.

- Nawet najdłuższe podróże zaczynają się od jednego kroku – odparł jego ojciec. Zawahał się. – Zrobię go, jeśli chcesz.

J.C. myślał o tym przez dłuższą chwilę. W końcu skinął głową.

- Ja też go zrobię.

Donald rozpromienił się; jego oczy błysnęły jak ognisko w zimną noc.

Musiało upłynąć wiele czasu, ale J.C. i jego ojciec nareszcie się pogodzili. Ludie miała rację, mówiąc, że został jej tylko jeden dziadek. Starszy mężczyzna nie był tą samą osobą, którą J.C. pamiętał z koszmarne dzieciństwa. Było widać na pierwszy rzut oka, że odnalazł drogę i pokochał syna. J.C. zgadzał się z Colie, że przebaczenie jest ważniejsze niż zemsta. Jego ojciec zapłacił wysoką cenę za swoje błędy. Najwyższy czas, by puścić je w niepamięć.

Kilka tygodni po ślubie Colie przywitała J.C. w drzwiach i z ekscytacją położyła jego dłoń na swoim brzuchu. Nic nie powiedziała, ale J.C. od razu zrozumiał, co ma na myśli. Wziął ją w ramiona i okręcił, a potem obsypał ją pocałunkami.

- Będę mieć braciszka! - zawołała Ludie, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Pewnie to będzie kolejna dziewczynka - zażartował J.C. - Są takie słodkie!

Ludie pokręciła główką.

- To będzie chłopczyk! - powiedziała i zachichotała.

Osiem miesięcy później J.C. i Colie Calhoun ogłosili przyjście na świat nowego członka rodziny: chłopca, którego nazwali Jared Rodney Thompson Calhoun. Ludie nawet się nie przechwalała.

Tytuł oryginału: *Wyoming Winter*

Pierwsze wydanie: Harlequin Books, 2017

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Alicja Oczko

Opracowanie redakcyjne: Jakub Sosnowski

Korekta: Roma Król

© 2017 by Diana Palmer. All rights reserved.

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa,  
2019

Niniejsze wydanie zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25\_

[www.harpercollins.pl](http://www.harpercollins.pl)

ISBN 9788327645067D